

**MICHAEL  
CONNELLY**

**Punkt widokowy**

**Przełożył Łukasz Praski**

## Prószyński i S-ka

1

Telefon zadzwonił o północy. Harry Bosch czuwał, siedząc w salonie pogrążonym w mroku. Lubił myśleć, że dzięki ciemnościom lepiej słyszy saksofon. Tłumiąc jeden zmysł, wyostrzał inny.

Ale w głębi serca znał prawdę. Czekał.

Dzwonił Larry Gandle, jego przełożony w specjalnej sekcji zabójstw. Było to pierwsze wezwanie Boscha w nowej pracy. Na nie właśnie czekał.

- Harry, nie śpisz?
- Nie śpię.
- Czego słuchasz?
- Franka Morgana, z koncertu w „Jazz Standard” w Nowym Jorku. W tym momencie słyszysz George'a Cablea na fortepianie.

- Brzmi jak „Ali Blues”.
- Trafieś.
- Niezły kawałek. Przykro mi, że ci przerywam.

Bosch pilotem wyłączył muzykę.

- O co chodzi, poruczniku?
- Hollywood chce, żebyście wzięli z Iggym jedną sprawę. Dzisiaj mają na tapecie już trzy i z czwartą sobie nie poradzą. Chyba zapowiada się nowe hobby. Robota wygląda na egzekucję.

Departament Policji Los Angeles obejmował siedemnaście lokalnych komend, z których każda miała swój komisariat i biuro detektywów, z wydzieloną sekcją zabójstw. Ale detektywi z komend, działając na pierwszej linii, nie mogli grzęznąć w długich sprawach. Gdy jakieś morderstwo miało związek z polityką, mediami albo kimś znanym, dochodzenie zwykle przekazywano specjalnej sekcji zabójstw, wchodzącej w skład wydziału rabunków i zabójstw w Parker Center. Każda sprawa wyglądająca na szczególnie trudną i czasochłonną-która jak hobby mogła bardzo długo pozostawać przedmiotem zainteresowania śledczych - także zostawała murowaną kandydatką do specjalnej sekcji zabójstw. To była jedna z nich.

- Gdzie? - zapytał Bosch.
- W punkcie widokowym nad zaporą Mulholland. Wiesz, gdzie to jest?
- Aha, znam to miejsce.

Bosch wstał i podszedł do stołu w jadalni. Otworzył szufladę przeznaczoną na sztuce, z której wyciągnął długopis i mały notatnik. Na pierwszej stronie zapisał datę i miejsce morderstwa.

- Znamy jakieś szczegóły? - spytał.

- Niewiele - odparł Gandle. - Jak mówiłem, z opisu wynika, że to egzekucja. Dwa strzały w tył głowy. Ktoś wziął gościa nad tamę i obryzgał jego mózgiem piękny widok.

Bosch zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym zadał kolejne pytanie.

- Wiadomo, kim był denat?

- Ludzie z komendy jeszcze nad tym pracują. Może będą już coś mieli, kiedy przyjedziesz. To prawie po sąsiedzku od ciebie, zgadza się?

- Niedaleko.

Gandle podał Boschowi bliższe informacje na temat miejsca zdarzenia, pytając, czy Harry sam zawiadomi swojego partnera. Bosch odrzekł, że się tym zajmie.

- Dobra, Harry, jedź tam, zorientuj się co i jak, a potem zadzwoń do mnie. Po prostu mnie obudź. Wszyscy to robią.

Bosch pomyślał, że to typowe dla zwierzchnika skarżyć się na uciążliwość nocnych telefonów człowiekowi, którego w trakcie ich współpracy zamierzał stale budzić.

- Załatwione - powiedział Bosch.

Rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Ignacia Ferrasa, swojego nowego partnera. Ciągłe się obwąchiwali. Ferras był ponad dwadzieścia lat młodszy od niego i pochodził z innej kultury. Bosch był pewien, że wytworzy się między nimi więź, ale to wymagało czasu. Jak zawsze.

Jego telefon zbudził Ferrasa, który szybko jednak oprzytomniał i wydawał się skory do działania, a to był dobry znak. Jedyne kłopot polegał na tym, że Ferras mieszkał aż w Diamond Bar, mógł więc

dotrzeć na miejsce zdarzenia co najmniej za godzinę. Bosch rozmawiał z

nim o tym pierwszego dnia, gdy zostali partnerami, lecz Ferras nie był zainteresowany przeprowadzką. W Diamond Bar miał system pomocy rodzinnej i nie chciał z niego rezygnować.

Bosch wiedział, że zjawi się na miejscu zdarzenia na długo przed Ferrasem, co oznaczało, że będzie musiał samotnie załagodzić zadrażnienia z miejscowymi funkcjonariuszami. Odebranie sprawy zespołowi z komendy zawsze wymagało delikatności. Takiej decyzji zwykle nie podejmowali detektywi obecni na miejscu morderstwa, ale przełożeni. Żaden detektyw z wydziału zabójstw wart złocień na swojej odznace nigdy nie oddałby sprawy z własnej woli. Taki krok był sprzeczny z jego misją.

- Do zobaczenia na miejscu, Ignacio - powiedział Bosch.

- Harry - odrzekł Ferras. - Prosiłem cię. Mów mi Iggy. Wszyscy mnie tak nazywają.

Bosch zbył uwagę milczeniem. Nie chciał mu mówić Iggy. Nie sądził, aby to imię brzmiało stosownie do rangi ich zadań i misji. Wolał, by jego partner sam doszedł do tego wniosku i przestał go poprawiać.

Przypomniawszy sobie o czymś, Bosch polecił Ferrasowi wpaść po drodze do Parker Center i wziąć przydzielony im samochód. Wiedział, że to opóźni jego przyjazd o kilka minut, ale Bosch zamierzał dotrzeć na miejsce własnym samochodem, a miał już prawie pusto w baku.

- Dobra, do zobaczenia - zakończył Bosch, dając spokój imionom.

Odłożył słuchawkę, po czym wyciągnął płaszcz z szafy przy drzwiach wejściowych. Nakładając go, zerknął na swoje odbicie w lustrze na wewnętrznej stronie skrzydła drzwi. Mimo swoich pięćdziesięciu sześciu lat był szczupły i wysportowany, mógłby nawet przytyć parę kilogramów,

podczas gdy innym detektywom w jego wieku rosły już brzuszki. W specjalnej sekcji zabójstw pracowała para detektywów, których z powodu coraz okrągłej szych sylwetek nazywano Crate i Barrel\*. Bosch nie musiał się tym przejmować.

\* „Crate and Barrel” (dosł. „skrzynka i beczka”) - nazwa sieci sklepów meblowych (przyp. tłum.).

Siwizna nie objęła jeszcze niepodzielnego panowania nad jego ciemną czupryną, choć była na dobrej drodze do zwycięstwa. W bystrych brązowych oczach malowała się gotowość sprostania wyzwaniu, jakie czekało go w punkcie widokowym. Bosch napotkał w lustrze wzrok gliniarza od zabójstw w pełni świadomego charakteru swojej pracy - który wiedział, że gdy wyjdzie z domu, będzie chciał i potrafił doprowadzić rzecz do końca, bez względu na konsekwencje. Na ten widok poczuł się, jak gdyby był kuloodporny.

Lewą ręką sięgnął po broń, spoczywającą w kaburze na prawym biodrze. Pistolet Kimber Ultra Carry. Szybko sprawdził magazynek i działanie mechanizmu, po czym włożył broń z powrotem do kabury.

Był gotów. Otworzył drzwi.

Porucznik niewiele wiedział o sprawie, lecz nie mylił się co do jednego. Miejsce zdarzenia znajdowało się niedaleko domu Boscha. Harry zjechał ze wzgórza na Cahuenga, potem skręcił w Barham Boulevard po drugiej stronie autostrady 101. Stąd krótki odcinek Lake Hollywood Drive prowadził do skupiska domów na wzgórzach otaczających zbiornik i zaporę Mulholland. Nie były to tanie domy.

Okrażył ogrodzony sztuczny zbiornik, zatrzymując się tylko raz, gdy natknął się na stojącego na drodze kojota. Oczy zwierzęcia zaślniły w blasku reflektorów. Po chwili kojot odwrócił się i powolutku przeszedł na drugą stronę, znikając w zaroślach. Nie spieszył się, jak gdyby chciał sprowokować Boscha do jakiejś reakcji. Widok zwierzęcia przypomniat mu czasy, kiedy służył w patrolu i widział podobnie wyzywające spojrzenia u większości młodych ludzi, jakich spotykał na ulicy.

Minąwszy jezioro Hollywood, ruszył dalej Tahoe Drive i po chwili dotarł do wschodniego końca Mulholland Drive. Znajdował się tu nieoficjalny punkt widokowy, z którego roztaczała się panorama miasta. Napisy na tablicach głośiły „ZAKAZ PARKOWANIA” i „PUNKT WIDOKOWY NIECZYNNY PO ZMROKU”, ale na ogół je ignorowano, bez względu na porę dnia.

Bosch zatrzymał się za kilkoma służbowymi pojazdami - furgonetkami ekipy kryminalistycznej i koronera oraz nieoznakowanymi samochodami policyjnymi. Za żółtą taśmą otaczającą miejsce zdarzenia stało srebrne porsche carrera z otwartą maską. Auto zostało odgrodzone kolejnym odcinkiem żółtej taśmy, z czego Bosch odgadł, że to najprawdopodobniej pojazd ofiary.

Bosch zaparkował i wysiadł. Funkcjonariusz z patrolu, pilnujący granicy miejsca zdarzenia, zanotował jego nazwisko razem z numerem odznaki - 2997 - i wpuścił go za żółtą taśmę. Bosch zbliżył się do miejsca zbrodni. Po obu stronach ciała leżącego pośrodku polany, która górowała nad miastem, ustawiono dwa rzędy przenośnych reflektorów. Podchodząc bliżej, Bosch zobaczył techników kryminalistyki i ekipę koronera przeprowadzających oględziny ciała i terenu. Jeden z techników,

uzbrojony w kamerę, robił zapis wideo z miejsca zdarzenia.

- Tutaj, Harry.

Bosch odwrócił się i zobaczył detektywa Jerry'ego Edgara opartego o maskę nieoznakowanego radiowozu. Edgar trzymał w dłoni kubek kawy i sprawiał wrażenie, jak gdyby po prostu czekał. Gdy Bosch ruszył w jego stronę, oderwał się od samochodu.

Edgar był niegdyś partnerem Boscha, kiedy Harry pracował w komendzie Hollywood. Bosch był wówczas szefem zespołu w sekcji zabójstw. Dziś tę funkcję pełnił Edgar.

- Czekałem na kogoś z rabunków i zabójstw - powiedział Edgar. - Nie wiedziałem, stary, że to będziesz ty.

-To ja.

- Pracujesz nad tym sam?

-Nie, mój partner już jedzie.

-Nowy partner, nie? Nie dawałeś znaku życia od tamtej afery w Echo Park w zeszłym roku.

- Aha. Co mamy?

Bosch nie miał ochoty rozmawiać z Edgarem o Echo Park. Właściwie z nikim. Pragnął skupić się na bieżącej sprawie. To było jego pierwsze wezwanie od przeniesienia do specjalnej sekcji zabójstw. Wiedział, że jego poczynania będzie obserwować wiele osób. Niektórzy z nich będą mieli nadzieję, że mu się nie powiedzie.

Edgar odsunął się, aby Bosch mógł zobaczyć, co zostało rozłożone na masce samochodu. Bosch wyciągnął okulary i nałożył je, pochylając się bliżej. Mimo skąpego światła dojrzał szereg torebek na dowody rzeczowe. Spoczywały w nich oddzielnie przedmioty należące do ofiary. Były wśród



nich portfel, klucze i przypinany identyfikator. Prócz tego klips na banknoty z grubym plikiem gotówki, oraz terminal BlackBerry, wciąż włączony i sygnalizujący zieloną lampką gotowość do transmisji rozmów, których jego właściciel już nigdy nie miał odebrać ani nawiązać.

- Właśnie dał mi to wszystko facet od koronera - rzekł Edgar. -Powinni skończyć z ciałem za jakieś dziesięć minut.

Bosch wziął torebkę z identyfikatorem i uniósł ją bliżej światła. Pochodził z Kliniki dla Kobiet św. Agaty. Na plakietce widniało zdjęcie mężczyzny o ciemnych włosach i ciemnych oczach, a z podpisu wynikało, że był to doktor Stanley Kent. Uśmiechał się do obiektywu. Bosch zauważył, że identyfikator był równocześnie kartą magnetyczną do otwierania drzwi.

- Często rozmawiasz z Kiz?

Edgar pytał o byłą partnerkę Boscha, która po sprawie Echo Park przeniosła się na kierownicze stanowisko do biura komendanta policji.

- Nie za bardzo. Ale dobrze jej idzie.

Bosch skierował uwagę na następną torebkę, chcąc przerwać rozmowę o Kiz Rider i skierować ją na obecną sprawę.

- Jerry, możesz mi w skrócie opowiedzieć, jak to wygląda?

- Chętnie - odparł Edgar. - Trupa znaleziono jakąś godzinę temu. Jak widziałeś na tablicach od ulicy, nie można tu parkować ani pętać się po zmroku. Kilka razy w nocy zagłada tu patrol z Hollywood, żeby przegonić ciekawskich. Tutejsi bogacze są spokojniejsi. Słyszałem, że w tamtym domu mieszka Madonna. Albo mieszkała.

Wskazał okazałą rezydencję około stu metrów od polanki. W blasku księżycy rysowała się sylwetka wieży wznoszącej się nad budynkiem. Mury były w rdzawo-żółte pasy i dom wyglądał jak kościół w stylu

toskańskim. Rezydencja stała na wzniesieniu, dzięki czemu z okien roztaczał się wspaniały, rozległy widok na miasto w dole. Bosch wyobraził sobie, jak gwiazda pop spogląda władczo z wieży na miasto leżące u jej stóp.

Bosch spojrzał na swojego dawnego partnera, czekając na resztę raportu.

- Koło jedenastej przejeżdżał tędy patrol i zobaczył porsche z otwartą maską. W tych modelach silnik jest z tyłu, Harry. Czyli otwarty był bagażnik.

- Zauważyłem.

- Okej. W każdym razie patrol zatrzymuje się, nie widzi nikogo w porsche ani obok, więc obaj gliniarze wysiadają. Jeden wchodzi na polankę i znajduje faceta. Gość leży twarzą do ziemi z dwiema kulkami z tyłu głowy. Egzekucja jak nic.

Bosch wskazał na identyfikator w torebce na dowody.

- I ten facet to Stanley Kent?

- Na to wygląda. Z plakietki i dokumentów w portfelu wynika, że to Stanley Kent, czterdzieści dwa lata, zamieszkały tu za rogiem, na Arrowhead Drive. Sprawdziliśmy numery porsche, zarejestrowane na firmę „Fizyka Medyczna K & K”. Właśnie sprawdziłem Kenta w komputerze, wychodzi na to, że ma prawie czyste konto. Parę mandatów za szybką jazdę, ale nic więcej. Uczciwy gość.

Bosch kiwał głową, notując w pamięci wszystkie informacje.

- Nie będę miał do ciebie żalu za to, że weźmiesz sprawę, Harry - powiedział Edgar. - W tym miesiącu jeden z moich partnerów siedzi w sądzie, a drugiego zostawiłem na miejscu pierwszej sprawy, jaką dzisiaj trafiliśmy - trzy trupy, czwarta ofiara w „Queen of Angels” podłączona do

aparatury podtrzymującej życie.

Bosch pamiętał, że detektywi sekcji zabójstw w Hollywood nie pracują w tradycyjnych parach, ale w systemie trójkowym.

- Nie ma możliwości, żeby to miało związek z tamtą potrójną robotą?

Wskazał na grupkę techników otaczającą zwłoki na punkcie widokowym.

- Nie, to gangsterskie porachunki, na sto procent - odrzekł Edgar. - Moim zdaniem zupełnie inna historia i cieszę się, że mogę ci ją oddać.

- W porządku - powiedział Bosch. - Zaraz będziesz mógł iść. Ktoś już zaglądał do samochodu?

- Właściwie nie. Czekaliśmy na ciebie.

- Dobra. Ktoś był w domu ofiary na Arrowhead?

- Też nie.

- Ktoś szukał świadków?

- Jeszcze nie. Najpierw sprawdzaliśmy miejsce.

Edgar najwyraźniej już na wstępie uznał, że sprawa zostanie przekazana wydziałowi rabunków i zabójstw. Bosch martwił się, że niczego nie zrobiono, lecz równocześnie wiedział, że będą mogli z Ferrasem zacząć wszystko od początku, co nie było złe. Departament miał długą historię spraw, które spartaczono albo narażono na szwank podczas przekazywania ich przez lokalną komendę detektywom z centrum.

Spojrząwszy na oświetloną polanę, Bosch naliczył pięciu ludzi z kryminalistyki i zespołu koronera pracujących przy zwłokach i wokół nich.

- No więc jeżeli najpierw sprawdzaliście miejsce - powiedział -to czy ktoś szukał śladów stóp w pobliżu ciała, zanim wpuściliście techników?

Nie potrafił powstrzymać nuty rozdrażnienia, jaka zabrzmiała w jego

głosie.

- Harry - odrzekł Edgar tonem zdradzającym rozdrażnienie rozdrażnieniem Boscha. - Na tym cholernym punkcie widokowym codziennie stoi kilkaset osób. Gdybyśmy mieli czas, moglibyśmy szukać śladów do Bożego Narodzenia. Uznałem, że nie mamy. W publicznym miejscu leżał trup i trzeba było się nim zająć. Poza tym wygląda mi to na robotę zawodowca. To znaczy, że do tej pory buty, broń, samochód i reszta już zdążyły zniknąć.

Bosch przytaknął. Chciał już dać temu spokój i zająć się sprawą.

- Dobra - rzekł spokojnie. - Wobec tego chyba jesteś wolny.

Edgar skinął głową, a Boschowi przyszło na myśl, że może się czuć zakłopotany.

- Mówiłem, Harry, nie spodziewałem się, że to ty.

Chciał przez to powiedzieć, że nie utrudniałby pracy Harry'emu tylko komuś innemu z RiZ.

- Jasne - powiedział Bosch. - Rozumiem.

Kiedy Edgar odjechał, Bosch wyciągnął z bagażnika swojego samochodu latarkę. Wrócił do porsche, nałożył rękawiczki i otworzył drzwi od strony kierowcy. Wsunął głowę do auta i rozejrzał się. Na siedzeniu pasażera leżała aktówka. Nie była zamknięta, a gdy zwolnił zatrzaski, zobaczył w środku kilka teczek z dokumentami, kalkulator oraz bloczki, długopisy i gazety. Zamknął ją i odłożył na miejsce. Fakt, że znajdowała się na siedzeniu, oznaczał, że ofiara prawdopodobnie przyjechała na punkt widokowy sama. I tu spotkała swojego zabójcę. Bosch uznał to za istotną informację.

Następnie otworzył schowek, z którego wypadło kilka przypinanych

identyfikatorów, takich jak tamten znaleziony przy zwłokach. Oglądając je po kolei, zobaczył, że każdy z nich pochodził z innego szpitala. Ale na każdym magnetycznym kluczu widniało to samo nazwisko i zdjęcie. Stanleya Kenta, człowieka, który, jak przypuszczał Bosch, leżał martwy na polance.

Bosch zauważył, że z tyłu każdego identyfikatora jest odrębna notatka. Przypatrywał się im przez dłuższą chwilę. Były to głównie cyfry z literami L lub P na końcu, z czego wywnioskował, że to kody do zamków.

Zajrzał głębiej do schowka i znalazł więcej identyfikatorów i kluczy magnetycznych. Odniósł wrażenie, że zamordowany - jeśli to naprawdę był Stanley Kent - miał dostęp do prawie wszystkich szpitali w okręgu Los Angeles. Znał także kody zamków cyfrowych w niemal każdym szpitalu. Bosch przez moment zastanawiał się, czy identyfikatory i klucze magnetyczne nie są fałszywkami używanymi przez ofiarę do jakiegoś przekrętu.

Bosch włożył wszystko z powrotem do schowka i zamknął go. Potem zajrzał pod i między siedzenia, nie znalazł jednak niczego wartego uwagi. Wycofał się z wnętrza samochodu i podszedł do otwartego bagażnika.

Bagażnik był mały i pusty. W świetle latarki Bosch dostrzegł jednak cztery wgłębienia w wykładzinie na dnie. Wyraźnie było widać, że w bagażniku przewożono coś ciężkiego i kwadratowego na czterech nogach lub kółkach. Kiedy znaleziono samochód, kłapa była otwarta, więc prawdopodobnie tajemniczy przedmiot został zabrany podczas zabójstwa.

- Detektywie?

Bosch odwrócił się, kierując snop światła latarki na twarz funkcjonariusza z patrolu. Był to policjant, który spisał jego nazwisko i numer odznaki

przy żółtej taśmie. Harry opuścił latarkę

- O co chodzi?
- Przyjechała agentka FBI. Prosi o pozwolenie wejścia na miejsce zbrodni.
- Gdzie ona jest?

Funkcjonariusz zaprowadził go do granicy miejsca zdarzenia. Zbliżając się do taśmy, Bosch ujrzał kobietę stojącą obok otwartych drzwi samochodu. Była sama i miała pochmurną minę. Na jej widok serce zabiło mu niespokojnie.

- Cześć, Harry - powiedziała, gdy go zobaczyła.
- Cześć, Rachel - odrzekł.

2

Minęło prawie pół roku, odkąd Bosch ostatni raz widział agentkę specjalną Federalnego Biura Śledczego Rachel Walling. Podchodząc do niej, uświadomił sobie, że w ciągu tych sześciu miesięcy nie było ani jednego dnia, w którym by o niej nie myślał. Nigdy nie wyobrażał sobie jednak, że ich drogi przetną się - jeśli w ogóle miałyby do tego dojść - w środku nocy na miejscu morderstwa. Rachel miała na sobie dzinsy, koszulę i granatową marynarkę. Jej ciemne włosy były w nieładzie, ale mimo to wyglądała pięknie. Najwyraźniej wezwano ją prosto z domu, tak jak Boscha. Brak uśmiechu na jej twarzy przypominał mu, jak fatalnie zakończyło się ich ostatnie spotkanie.

- Słuchaj - powiedział - wiem, że cię ignorowałem, ale nie musiałś zadawać sobie tyle trudu i szukać mnie na miejscu zbrodni, żeby...
- Naprawdę nie czas na żarty - ucięła. - Jeżeli moje przypuszczenia się

sprawdzą.

Zerwali kontakty po sprawie Echo Park. Rachel pracowała wówczas w tajemniczej komórce FBI kryjącej się pod nazwą „wydział wywiadu taktycznego”. Nigdy mu nie powiedziała, czym właściwie zajmowała się ta komórka, a Bosch nie domagał się wyjaśnień, ponieważ nie było to istotne dla śledztwa w sprawie Echo Park. Zwrócił się do niej o pomoc ze względu na jej doświadczenie w opracowywaniu profili psychologicznych - a także na ich prywatną historię. Sprawa Echo Park, podobnie jak szansa na dalszy ciąg romansu, wymknęła mu się z rąk. Patrząc na Rachel, Bosch nie miał wątpliwości, że zjawiała się tu z powodów wyłącznie służbowych i że niebawem pozna rodzaj zadań wydziału wywiadu taktycznego.

- Co to za przypuszczenia? - zapytał.

- Powiem ci, jak będę mogła. Pozwolisz mi zobaczyć miejsce?

Bosch niechętnie uniósł taśmę, reagując na jej zdawkową odpowiedź typowym dla siebie sarkazmem.

- No więc zapraszam, agentko Walling - rzekł. - Czuj się jak u siebie w domu.

Weszła na zagrodzony teren i przystanąła, przynajmniej respektując jego prawo, by sam zaprowadził ją na miejsce zbrodni.

- Myślę, że naprawdę będę mogła ci pomóc - powiedziała. - Jeżeli zobaczę ciało, być może uda mi się oficjalnie zidentyfikować denata.

Uniosła teczkę, którą dotąd trzymała w opuszczonej ręce.

- Wobec tego chodźmy - odparł Bosch.

Zaprowadził ją na polankę, gdzie w sterylnym świetle przenośnych reflektorów fluorescencyjnych spoczywały zwłoki. Denat leżał na pomarańczowej ziemi około półtora metra od urwiska na skraju punktu

widokowego. Blask księżycy odbijał się od tafli zbiornika poniżej. Za zaporą rozpościerał się kobierzec miliona świateł miasta, które migotały w nocnym chłodzie jak unoszące się w powietrzu senne widziadła.

Bosch wyciągnął rękę, aby zatrzymać Walling na skraju kręgu światła. Lekarz zdążył już odwrócić ofiarę na wznak. Mężczyzna miał otarcia na twarzy i czole, lecz mimo to Boschowi wydawało się, że rozpoznaje w nim człowieka ze zdjęć na szpitalnych identyfikatorach znalezionych w schowku. To był Stanley Kent. Rozpięta koszula ukazywała bladą nieowłosioną pierś. Z boku widniał ślad po nacięciu, przez które lekarz wprowadził do wątroby sondę do pomiaru temperatury.

- Dobry wieczór, Harry - przywitał go Joe Felton, lekarz z ekipy koronera. - Chociaż chyba powinienem raczej powiedzieć: dzień dobry. Kim jest twoja koleżanka? Myślałem, że przydzielono ci Iggy'ego Ferrasa.

- Pracuję z Ferrasem - odrzekł Bosch. - To jest agentka specjalna Walling z wydziału wywiadu taktycznego FBI.

- Wywiadu taktycznego? Co oni jeszcze wymyślą?

-Zdaje się, że to coś w stylu Bezpieczeństwa Krajowego. Rozumiesz, zero pytań, zero odpowiedzi. Mówi, że może nam potwierdzić identyfikację.

Walling posłała Boschowi spojrzenie, z którego wyczytał, że zachowuje się jak szczeniak.

- Możemy już wejść, doktorze? - spytał Bosch.

- Jasne, Harry, prawie skończyliśmy.

Bosch ruszył naprzód, ale Walling szybko go wyprzedziła i pierwsza wkroczyła w jasną plamę światła. Bez wahania stanęła nad zwłokami. Z teczki wyciągnęła zdjęcie formatu osiem na dziesięć. Pochyliła się i przysunęła fotografię do twarzy denata. Bosch zbliżył się, by samemu



porównać twarze.

- To on - oznajmiła Rachel. - Stanley Kent.

Bosch przytaknął skinieniem głowy, po czym podał jej rękę, żeby pomóc jej przekroczyć ciało. Ignorując wyciągniętą dłoń, zrobiła to sama. Bosch spojrzał na Feltona, który kucał obok zwłok.

- No więc, doktorze, powiesz nam, co mamy?

Bosch schylił się po drugiej stronie ciała, by mieć lepszy widok.

- Mamy faceta, który po coś tu przyjechał albo został przywieziony, a potem ktoś mu kazał klęknąć na ziemi.

Felton wskazał na spodnie ofiary. Na obu kolanach były ślady pomarańczowego kurzu.

- Później ktoś dwa razy strzelił mu w tył głowy i facet padł na twarz. Obrażenia na twarzy to skutek tego upadku. W tym momencie już nie żył. Bosch pokiwał głową.

- Brak ran wylotowych - dodał Felton. - Prawdopodobnie coś małego, na przykład dwudziestkadwójka, z rykoszetem wewnątrz czaszki. Bardzo skuteczne.

Bosch uświadomił sobie, że Gandle użył przerośniętych, mówiąc o tym, że mózg ofiary obryzgał piękny widok. Na przyszłość będzie musiał pamiętać o skłonności porucznika do przesady.

- Czas śmierci? - zapytał Feltona.

- Na podstawie temperatury wątroby można powiedzieć, że cztery do pięciu godzin temu - odparł lekarz. - Mniej więcej o ósmej.

Ostatnia informacja zaniepokoiła Boscha. O ósmej było już ciemno i punkt widokowy już dawno opuścili wszyscy miłośnicy zachodów słońca. Ale huk dwóch strzałów musiał dobiec do domów na pobliskich skarpach. A

jednak nikt nie zadzwonił na policję, a zwłoki dopiero trzy godziny później przypadkowo znalazł patrol.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział Felton. - Dlaczego nikt nic nie słyszał? Chyba da się to wytłumaczyć. Chłopaki, przekreśmy go z powrotem.

Bosch wyprostował się i odsunął, robiąc miejsce Feltonowi i jednemu z jego asystentów, którzy odwrócili zwłoki. Zerknął na Walling, a kiedy na moment ich oczy się skrzyżowały, ponownie spojrzała na ofiarę.

Po odwróceniu ciała ujrzeli rany wlotowe z tyłu głowy. Czarne włosy mężczyzny zlepiła krew. Tył białej koszuli był spryskany kropelkami jakiejś brązowej substancji, która natychmiast przykuła uwagę Boscha. Nie potrafiłby zliczyć miejsc zbrodni, które widział w życiu. Domyślił się, że plamy na koszuli denata to nie krew.

- To nie jest krew, prawda?

- Rzeczywiście, nie - potwierdził Felton. - Z badań laboratoryjnych dowiemy się zapewne, że to pocziwy syrop coca-coli. Osad, jaki zostaje na dnie pustej butelki albo puszki.

Zanim Bosch zdążył odpowiedzieć, ubiegła go Walling.

- Prowizoryczny tłumik do wygłuszenia odgłosu strzałów - wyjaśniła. - Taśmą przyklej a się do lufy pustą litrową butelkę po coli i dzięki temu znacznie zmniejsza się huk wystrzału, bo butelka pochłania większość fal dźwiękowych. Jeżeli w butelce została resztko coli, płyn ochlapuje cel.

Felton spojrzał na Boscha i z aprobatą pokiwał głową.

- Skądżeś ją wziął, Harry? Prawdziwy skarb.

Bosch zerknął na Rachel. Też był pod wrażeniem.

- Wiem z internetu - powiedziała.

Bosch skinął głową, choć w to nie wierzył.

- Powinniście zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz - dodał Felton, odwracając się do zwłok.

Bosch znów się pochylił. Felton wyciągnął rękę i pokazał dłoń ofiary po stronie, gdzie stał Bosch.

- Ma to na obu rękach.

Lekarz wskazywał czerwoną plastikową obrączkę na środkowym palcu. Bosch przyjrzał się jej, po czym sprawdził drugą dłoń. Rzeczywiście na palcu tkwiła identyczna czerwona obrączka. Na każdej z nich po wewnętrznej stronie dłoni była biała nakładka wyglądająca jak kawałek taśmy.

- Co to jest? - zapytał Bosch.

- Jeszcze nie wiem - odrzekł Felton. - Ale wydaje mi się...

- Ja wiem - wtrąciła Walling.

Bosch uniósł wzrok. Skinął głową. Oczywiście, że wiedziała.

- To są dawkomierze pierścionkowe TLD - wyjaśniła Rachel. - Tak zwane dozymetry termoluminescencyjne. Przyrządy ostrzegawcze. Służą do pomiaru promieniowania.

Po tych słowach zapadła pełna grozy cisza, którą przerwała Walling.

- Dam wam jeszcze jedną wskazówkę - ciągnęła. - Kiedy obrączki są odwrócone w taki sposób, detektorem TLD do wewnątrz dłoni, zwykle oznacza to, że noszący je człowiek ma bezpośredni kontakt z materiałem radioaktywnym.

Bosch wyprostował się.

- Dobra, niech wszyscy się cofną - polecił. - Cofnąć się, wszyscy.

Technicy kryminalistyczni, ludzie koronera i Bosch zaczęli się

odsuwać od zwłok. Ale Walling nie ruszyła się z miejsca. Uniosła ręce, jak gdyby chciała prosić o uwagę wiernych zebranych w kościele.

- Zaraz, chwileczkę - powiedziała. - Nikt nie musi się cofać. Spokojnie, wszystko w porządku. Jest bezpiecznie.

Przystanęli, lecz nikt nie wrócił na poprzednie miejsce.

- Gdyby tu było zagrożenie promieniotwórcze, detektory TLD na obrączkach zrobiłyby się czarne - ciągnęła. - To sygnał ostrzegawczy. Ale są białe, czyli wszyscy jesteśmy bezpieczni. Poza tym mam to.

Uchyliła połę marynarki, ukazując małą czarną skrzyneczkę przypiętą do paska jak pager.

- Monitor promieniowania - wyjaśniła. - Gdybyśmy mieli problem, możecie mi wierzyć, narobiłby jazgotu jak stado psów, a ja pierwsza bym stąd zwała. Ale nic się nie dzieje. Wszystko w porządku, jasne?

Ludzie zaczęli z wahaniem wracać na swoje miejsca. Harry Bosch przysunął się blisko Walling i ujął ją za łokieć.

- Możemy chwilkę pogadać?

Opuścili polankę, kierując się w stronę Mulholland. Bosch czuł, że sytuacja się zmienia, lecz starał się tego nie okazywać. Nie chciał stracić kontroli nad miejscem zdarzenia, a tym właśnie groził sygnał tego rodzaju.

- Co ty tu robisz, Rachel? - zapytał. - I co się właściwie dzieje?

- Tak jak ty dostałam telefon w środku nocy. Ściągnęli mnie z łóżka.

- Nic mi to nie mówi.

- Zapewniam cię, że chcę ci pomóc.

- No więc zacznij i powiedz dokładnie, co tu robisz i kto cię przysłał.

To na pewno mi pomoże.

Walling rozejrzała się i zwróciła wzrok na Boscha. Wskazała za żółtą taśmę.

- Możemy?

Bosch wyciągnął rękę, dając jej znak, by poszła przodem. Opuścili zagrodzony teren i wyszli na ulicę. Kiedy ocenił, że nikt spośród osób zgromadzonych przy zwłokach nie może ich usłyszeć, przystanął i popatrzył na nią.

- Dobra, tyle wystarczy - powiedział. - Co się dzieje? Kto ci tu kazał przyjechać?

Utkwiła spojrzenie w jego oczach.

- Słuchaj, to, co ci powiem, musi zostać między nami - ostrzegła. - Przynajmniej na razie.

- Rachel, nie mam czasu na...

- Stanley Kent jest na pewnej liście. Kiedy ty czy któryś z twoich kolegów sprawdzaliście dzisiaj jego nazwisko w bazie danych NCIC, w Waszyngtonie zaraz to wyłapali i zadzwonili do mnie do taktycznego.

- Kim on był, terrorystą?

- Nie, fizykiem medycznym. I praworządnym obywatelem, o ile wiem.

-No to o co chodzi z tymi obrączkami i czemu FBI zjawia się w środku nocy? Na jakiej liście był Stanley Kent?

Walling zignorowała pytanie.

- Powiedz mi, Harry, czy ktoś już był w jego domu albo rozmawiał z jego żoną?

- Jeszcze nie. Najpierw zabraliśmy się do zabezpieczenia miejsca. Zamierzam...

- W takim razie musimy to zaraz zrobić - powiedziała nagłym tonem. - Możesz mnie pytać w drodze. Weź jego klucze na wypadek, gdyby dom był zamknięty. Idę po samochód.

Walling zaczęła się oddalać, ale Bosch złapał ją za rękę.

- Pojedziemy moim.

Pokazał swojego mustanga i zostawił ją. Ruszył w kierunku radiowozu, na którego masce wciąż leżały rozłożone torebki z dowodami. Zaczynał żałować, że tak szybko zwolnił Edgara. Przywołał gestem sierżanta.

- Słuchaj, muszę pojechać do domu ofiary. Powinienem niedługo wrócić, a lada moment przyjedzie tu detektyw Ferras. Pilnujcie miejsca, dopóki jeden z nas się nie zjawi.

- Załatwione.

Bosch wyciągnął telefon i zadzwonił do swojego partnera.

- Gdzie jesteś?

- Właśnie wyjechałem z Parker Center. Będę za dwadzieścia minut.

Bosch poinformował Ferrasa, że opuszcza miejsce zdarzenia i polecił mu się pośpieszyć. Rozłączył się, złapał leżącą na masce torebkę z kluczami i wrzucił do kieszeni.

Podchodząc do samochodu, zauważył, że Walling siedzi już w środku. Kończyła rozmowę i zamykała klapkę telefonu.

Do kogo dzwoniłaś? - spytał Bosch, wsiadając. - Do prezydenta?

- Do swojego partnera - odparła. - Umówiłam się z nim w domu ofiary. A gdzie twój partner?

- Już jedzie.

Bosch uruchomił silnik. Ledwie ruszyli, zasypał ją pytaniami.

- Jeżeli Stanley Kent nie był terrorystą, to na jakiej był liście?

- Jako fizyk medyczny miał bezpośredni dostęp do materiałów promieniotwórczych. Dlatego trafił na listę.

Bosch pomyślał o szpitalnych identyfikatorach, które znalazł w porsche ofiary.

- Dostęp? Gdzie? W szpitalach?

- Właśnie. Tam się je przechowuje. To substancje wykorzystywane głównie do leczenia raka.

Bosch skinął głową. Zaczynał rozumieć, wciąż jednak miał za mało informacji.

- W porządku, Rachel, tylko ciągle czegoś tu nie kapuję. Możesz jaśniej?

- Stanley Kent miał bezpośredni dostęp do materiałów, na których chcieliby położyć łapę inni ludzie. Do materiałów, które dla tych ludzi mogą być bardzo, bardzo cenne. Ale nie do leczenia raka.

- Mówisz o terrorystach.

- Otóż to.

- Chcesz powiedzieć, że facet może ot tak sobie wejść do szpitala i spokojnie to wynieść? Nie ma żadnych przepisów?

Walling skinęła głową.

- Zawsze są przepisy, Harry. Ale same przepisy nie wystarczą. Powtarzalność, rutyna - to szczeliny każdego systemu zabezpieczeń. Kiedyś nie zamykaliśmy drzwi do kabiny pilotów w samolotach linii komercyjnych. Teraz je zamykamy. Zmianę procedur i wzmocnienie środków ostrożności wymusza dopiero zdarzenie o tragicznych skutkach. Rozumiesz, co mam na myśli?

Przypomniał sobie notatki na odwrotnej stronie niektórych

identyfikatorów w samochodzie ofiary. Czyżby Stanley Kent do tego stopnia nie przejmował się bezpieczeństwem tych substancji, że zapisywał kody dostępu na identyfikatorach? Instynkt podpowiadał Boschowi, że odpowiedź na to pytanie jest prawdopodobnie twierdząca.

- Rozumiem - rzekł.

- No, więc gdybyś zamierzał obejść system zabezpieczeń, wszystko jedno, szczelny czy nie, do kogo byś się zwrócił?

Bosch pokiwał głową.

- Do kogoś z gruntowną znajomością tego systemu.

- Otóż to.

Bosch skręcił w Arrowhead Drive i zaczął szukać numerów na krawężniku.

- Czyli twierdzisz, że to może być zdarzenie o tragicznych skutkach?

- Nie twierdzę. Jeszcze nie.

- Znałaś Kenta?

Bosch zerknął na Walling, która wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem. To był strzał w ciemno, ale zadał je, by sprawdzić reakcję, niekoniecznie uzyskać odpowiedź. Walling odwróciła się i spojrzała w okno. Bosch dobrze znał ten gest. Klasyczny sygnał. Wiedział, że zaraz usłyszy kłamstwo.

- Nie, nigdy go nie spotkałam.

Bosch wjechał w najbliższy podjazd i zatrzymał samochód.

- Co robisz? - spytała.

- To tu. Dom Kenta.

Stali przed domem, w którym nie paliły się żadne światła w środku ani na zewnątrz. Wyglądał, jak gdyby nikt w nim nie mieszkał.



- Nie, to nie tu - powiedziała Walling. - Jego dom jest za następną przecznicą i...

Urwała, zdając sobie sprawę, że Bosch ją zdemaskował. Bosch w milczeniu przyglądał się jej przez chwilę w ciemnościach.

- Powiesz mi wreszcie prawdę, czy wolisz wysiąść?
- Słuchaj, Harry, mówiłam ci. Są rzeczy, o których nie mogę...
- Wysiadaj, agentko Walling. Sam sobie poradzę.
- Harry, musisz zrozu...
- To jest sprawa zabójstwa. Moja sprawa. Wysiadaj.

Nie drgnęła.

- Wystarczy jeden mój telefon i odbiorą ci śledztwo, zanim wrócisz na miejsce zbrodni - powiedziała.

- To dzwoń. Wolę od razu dostać kopa, niż być frajerem, któremu federalni będą opowiadać bajeczki. Może to jeden ze sloganów biura? Wciskać gliniarzom ciemnotę, aż się udławiają? Nie mnie, nie dzisiaj, nie przy mojej własnej sprawie.

Sięgnął do drzwi po jej stronie, aby pociągnąć klamkę. Walling odepchnęła go i uniosła ręce w geście kapitulacji.

- Już dobrze, dobrze - powiedziała. - Co chcesz wiedzieć?
- Tym razem chcę usłyszeć prawdę. Całą prawdę.

3

Bosch zmienił pozycję na siedzeniu, by móc patrzeć prosto na Walling. Nie zamierzał nigdzie ruszać, dopóki Rachel nie zacznie mówić.

- To jasne, że wiedziałaś, kim był Stanley Kent i gdzie mieszkał -

powiedział. - Okłamałaś mnie. Gadaj, był terrorystą czy nie?

- Mówiłam już, że nie. Naprawdę. Był zwykłym obywatelem. Fizykiem. Znalazł się na liście obserwowanych, bo miał kontakt ze źródłami promieniowania, które w niewłaściwych rękach mogłyby posłużyć do wyrządzenia krzywdy ludziom.

- O czym ty mówisz? Jak to by się mogło stać?

- Przez napromieniowanie. W różnej formie. Na przykład atak na jednego człowieka - pamiętasz ostatnie Święto Dziękczynienia i tego Rosjanina, któremu w Londynie podano dawkę polonu? To był zamach na konkretną osobę, chociaż nie obyło się bez dodatkowych ofiar. Materiał, do którego miał dostęp Kent, mógłby być też wykorzystany na większą skalę - w centrum handlowym, w metrze, gdziekolwiek. Wszystko zależy od ilości i oczywiście od urządzenia dyspersyjnego.

- Urządzenia? Mówisz o bombie? Ktoś mógłby skonstruować brudną bombę z tą substancją?

- Owszem, do niektórych celów.

- Myślałem, że to tylko mit, że nigdy nie skonstruowano brudnej bomby.

- Formalne określenie to improwizowany ładunek wybuchowy. Faktycznie, to tylko mit, ale tylko do momentu, gdy ktoś zdetonuje taki ładunek pierwszy raz.

Bosch skinął głową i wrócił do tematu, wskazując dom przed nimi.

- Skąd wiedziałaś, że to nie jest dom Kenta?

Walling zmęczonym gestem potarła czoło, jak gdyby od jego natarczywych pytań rozboleła ją głowa.

- Bo już u niego byłam, rozumiesz? Jeszcze w tym roku przyjechałam

do niego ze swoim partnerem, żeby ostrzec Kenta i jego żonę przed potencjalnymi zagrożeniami związanymi z jego zajęciem. Sprawdziliśmy zabezpieczenia w domu i poradziliśmy zachować ostrożność. Zrobiliśmy to z polecenia Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, jasne?

- Tak, jasne. To było rutynowe działanie wywiadu taktycznego i Departamentu Bezpieczeństwa czy pojechaliście tam, bo ktoś mu groził?

- Nie, nikt nie groził mu osobiście. Słuchaj, tracimy tylko...

- No to komu? Komu grożono?

Walling poprawiła się na siedzeniu i westchnęła z irytacją.

- Nikt nie groził nikomu konkretnemu. Zrobiliśmy to po prostu na wszelki wypadek. Szesnaście miesięcy temu ktoś dostał się do kliniki onkologicznej w Greensboro w Karolinie Północnej, obszedł skomplikowane zabezpieczenia i zabrał dwadzieścia dwie małe tuleje z radioizotopem cez-137. Ten materiał w takich opakowaniach był przeznaczony do radioterapii nowotworów ginekologicznych. Nie wiemy, kto to był ani po co go zabrał, ale izotop zniknął. Kiedy dotarła do nas wiadomość o kradzieży, ktoś ze specjalnej grupy do zwalczania terroryzmu w Los Angeles pomyślał, że byłoby dobrze ocenić zabezpieczenia materiałów promieniotwórczych w tutejszych szpitalach i ostrzec ludzi, którzy się nimi zajmują, żeby zachowali czujność i byli ostrożni. Będziesz już łaskaw ruszyć?

- I to byłaś ty.

- Tak jest, zgadłeś. Zadziałała federalna teoria powszechnej korzyści. Na mnie i mojego partnera spadło zadanie przeprowadzania rozmowy z ludźmi takimi jak Stanley Kent. Złożyliśmy wizytę doktorowi i jego żonie, przy okazji obejrzelśmy dom i powiedzieliśmy mu, że powinien zacząć na

siebie uważać. Z tego samego powodu zadzwonili właśnie do mnie, kiedy sprawdzaliście jego nazwisko w bazie.

Bosch wrzucił wsteczny bieg i szybko wyjechał z podjazdu.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu?

Samochód ruszył ostro naprzód.

- Bo w Greensboro nikt nie zginął - odparła przekornym tonem Walling. - Twoja sprawa mogła nie mieć z tym żadnego związku. Kazano mi zachować ostrożność i dyskrecję. Przepraszam, że cię okłamałam.

-Trochę za późno, Rachel. Wasi ludzie odzyskali ciez z Greensboro?

Nie odpowiedziała.

- No?

- Jeszcze nie. Podobno izotop został sprzedany na czarnym rynku. Sam materiał ma dość dużą wartość pieniężną, nawet jeżeli jest wykorzystywany w celach medycznych. Dlatego nie jesteśmy pewni, z czym właściwie mamy tu do czynienia. I dlatego mnie przysłano.

Dziesięć sekund później znaleźli się za przecznicą i Bosch znów zaczął się rozglądać za numerem, ale Walling pokazała mu właściwy dom.

- To chyba ten po lewej. Z czarnymi żaluzjami. W ciemności trudno rozróżnić.

Bosch zahamował i ze zgrzytem ustawił dźwignię w pozycji „parking”, zanim jeszcze samochód się zatrzymał. Wskoczył i podbiegł do drzwi. W domu było ciemno. Nie świeciła się nawet lampa nad wejściem. Ale zbliżając się do drzwi, Bosch zauważył, że są uchylone.

- Otwarte - powiedział.

Bosch i Walling wyciągnęli broń. Bosch położył dłoń na drzwiach i lekko je pchnął. Z uniesionymi pistoletami weszli do cichego i ciemnego domu.

Bosch szybko wymacał na ścianie wyłącznik.

Zapaliło się światło, ukazując salon, utrzymany w idealnym porządku, ale pusty i bez śladów niczego niepokojącego.

- Pani Kent? - zawołała na cały głos Walling. Ciszej powiedziała do Boscha: - Jest tylko żona, nie mają dzieci.

Zawołała jeszcze raz, lecz w domu wciąż panowała cisza. W prawo odchodził korytarz i Bosch ruszył w tę stronę. Znalazł następny wyłącznik i oświetlił przedpokój z czworgiem zamkniętych drzwi i wnęką.

We wnęce urządzono gabinet do pracy, który był pusty. Bosch ujrzał na szybie błękitny poblask monitora komputerowego. Minęli wnękę i zaczęli sprawdzać drzwi, zaglądając po kolei do pokoju gościnnego, potem do domowej siłowni, gdzie stał sprzęt do ćwiczeń, a na ścianie wisiały maty. Trzecie drzwi prowadziły do łazienki dla gości, gdzie nie było nikogo, a czwarte do sypialni gospodarzy.

Weszli do ostatniego pomieszczenia i Bosch znów pstryknął włącznikiem światła. Znaleźli panią Kent.

Leżała na łóżku, naga, zakneblowana i związana, z rękami skrepowanymi z tyłu. Miała zamknięte oczy. Walling podbiegła do łóżka sprawdzić, czy kobieta żyje, a Bosch przeszedł przez sypialnię, by sprawdzić łazienkę i garderobę. Nie było tam nikogo.

Gdy zawrócił, Walling wyjęła już kobiecie knebel i scyzorykiem rozcięła czarne plastikowe opaski z zatrzaskiem, którymi skrepowano jej za plecami ręce i nogi. Rachel zakrywała właśnie narzutą jej nieruchome, nagie ciało. W pokoju unosił się wyraźny zapach moczu.

- Żyje? - spytał Bosch.

- Żyje. Chyba tylko zemdląca. Tak ją zostawili.

Walling zaczęła rozcierać kobiecie przeguby i nogi w kostkach. Jej dłonie i stopy pociemniały od braku krążenia, przybierając niemal fioletową barwę.

- Wezwij pomoc - poleciła mu Rachel.

Zły na siebie, że sam nie zareagował, Bosch wyciągnął telefon i wyszedł na korytarz, by zadzwonić do centrali zgłoszeniowej po karetkę.

- Będą za dziesięć minut - poinformował, wracając do sypialni.

Ogarnęła go fala podniecenia. Mieli żywego świadka. Leżąca na łóżku kobieta mogła im podać przynajmniej parę szczegółów na temat tego, co się stało. Wiedział, że koniecznie trzeba ją będzie jak najszybciej skłonić do mówienia.

Rozległ się głośny jęk i kobieta odzyskała przytomność.

-Pani Kent, już wszystko dobrze - powiedziała Walling. -W porządku. Jest pani bezpieczna.

Kobieta stężała i szeroko otworzyła oczy, widząc przed sobą dwoje nieznanym. Walling pokazała legitymację.

- FBI, pani Kent. Pamięta mnie pani?

- Co? Co się... gdzie jest mój mąż?

Zaczęła się podnosić, ale zorientowawszy się, że jest naga, próbowała szczelniej otulić się narzutą. Nadal miała zdrtwiałe palce i nie potrafiła ich zacisnąć. Walling pomogła się jej okryć.

- Gdzie Stanley?

Walling uklękła u nóg łóżka, tak że ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Spojrzała na Boscha, jak gdyby szukając wskazówek, jak odpowiedzieć na jej pytanie.

- Pani Kent, pani męża tu nie ma - powiedział Bosch. - Detektyw

Bosch z policji Los Angeles, a to agentka Walling z FBI. Staramy się ustalić, co się stało z pani mężem.

Kobieta popatrzyła na Boscha, potem na Walling, zatrzymując wzrok na agentce.

- Pamiętam panią. Przyszła pani do nas, żeby nas ostrzec. O to chodzi? Ludzie, którzy tu byli, złapali Stanleya?

Rachel pochyliła się i łagodnym głosem powiedziała:

- Pani Kent... Ma pani na imię Alicia, prawda? Alicio, musi się pani trochę uspokoić, żebyśmy mogli porozmawiać i pomóc pani. Chciałaby się pani ubrać?

Alicia Kent skinęła głową.

- Dobrze, zostawimy panią na chwilę - obiecała Walling. -Zaczekamy w salonie, aż się pani ubierze. Najpierw jednak proszę mi powiedzieć, czy odniosła pani jakieś obrażenia?

Kobieta przecząco pokręciła głową.

-Na pewno...?

Walling nie dokończyła, jak gdyby przestraszyło ją własne pytanie. Bosch nie miał takich oporów. Musieli dokładnie wiedzieć, co się tu wydarzyło.

- Pani Kent, czy dokonano na pani gwałtu?

Kobieta znów pokręciła głową.

- Kazali mi się rozebrać. Tylko tyle.

Bosch spojrzał jej uważnie w oczy, mając nadzieję, że będzie z nich potrafił wyczytać oznaki kłamstwa.

- No dobrze - odezwała się Walling, przerywając chwilę ciszy. -Proszę się ubrać. Kiedy przyjadą ratownicy, mimo wszystko będziemy chcieli, żeby panią zbadali.

- Nic mi nie jest - odparła Alicia Kent. - Co się stało z moim mężem?
- Nie jesteśmy pewni - rzekł Bosch. - Gdy się pani ubierze i przyjdzie do salonu, powiemy pani, ile wiemy.

Przytrzymując narzutę, w którą była owinięta, Alicia Kent ostrożnie podniosła się z łóżka. Bosch zobaczył plamę na materacu i pomyślał, że albo oddała mocz ze strachu, albo za długo czekała na ratunek.

Zrobiła krok w kierunku garderoby i zachwiała się, tracąc równowagę. Bosch skoczył naprzód i chwycił ją, zanim upadła.

- Dobrze się pani czuje?
- Tak. Chyba trochę kręci mi się w głowie. Która godzina?

Bosch zerknął na cyfrowy budzik na szafce nocnej po prawej stronie łóżka, ale wyświetlacz był pusty. Zegar nie działał albo był wyłączony z sieci. Nie puszczając Alicii Kent, przekręcił prawą rękę i spojrzał na zegarek.

- Dochodzi pierwsza w nocy.

Poczuł, jak jej ciało się napina.

- Boże drogi! - krzyknęła. - Tyle godzin... gdzie jest Stanley?

Bosch przesunął ręce na jej ramiona i pomógł jej stanąć prosto.

- Porozmawiamy o tym, kiedy się pani ubierze - powiedział.

Niepewnym krokiem podeszła do garderoby i otworzyła drzwi.

Do zewnętrznej strony ich skrzydła było przymocowane lustro. Gdy Alicia Kent je uchyliła, Bosch zobaczył w nim swoje odbicie. Przez moment zdawało mu się, że ujrzał w swoich oczach coś nowego. Coś, czego nie było, kiedy spojrzał na siebie w lustrze przed wyjściem z domu. Wyraz zaniepokojenia, może nawet lęk przed nieznanym. Uznał, że to całkiem



zrozumiałe. Rozpracował tysiące morderstw, ale żadna z tych spraw nie przybierała takiego kierunku jak ta. Może lęk był stosowną reakcją.

Alicia Kent wyciągnęła z szafy biały szlafrok frotte i skierowała się w stronę łazienki. Zostawiła otwarte drzwi garderoby, więc Bosch musiał odwrócić wzrok od własnego odbicia.

Walling wyszła z sypialni, a Bosch podążył za nią.

- Co myślisz? - zapytała.

- Mamy szczęście, że znaleźliśmy świadka - odrzekł Bosch. -Będzie nam mogła powiedzieć, co się stało.

- Miejmy nadzieję.

Czekając na Alicię Kent, Bosch postanowił jeszcze raz obejrzeć dom. Tym razem sprawdził ogród i garaż, a także ponownie wszystkie pomieszczenia. Nie znalazł niczego podejrzanego, choć zwrócił uwagę, że garaż przeznaczony na dwa pojazdy był pusty. Jeśli Kentowie poza porsche mieli jeszcze jeden samochód, nie było go na terenie domu.

Przeszedł korytarzem do ogrodu i patrząc na litery HOLYWOOD na zboczu wzgórza, zadzwonił do centrali, prosząc o przysłanie zespołu kryminalistycznego do zabezpieczenia śladów w domu Kentów. Zapytał też o karetkę wezwaną do zbadania Alicii Kent i usłyszał, że przyjedzie za pięć minut. Dziesięć minut wcześniej powiedziano mu, że ratownicy zjawią się za dziesięć minut.

Następnie zadzwonił do porucznika Gandle'a, budząc go. Przełożony słuchał w milczeniu, gdy Bosch przekazywał mu najnowsze informacje.

Wiadomość o zaangażowaniu w sprawę służb federalnych i prawdopodobieństwie motywu terrorystycznego skłoniła Gandle'a do chwili namysłu.

- Taak... - rzekł, kiedy Bosch skończył. - Wygląda na to, że będę musiał obudzić parę osób.

Oznaczało to, że zamierzał powiadomić wyższe szczeble hierarchii departamentu o rosnącym ciężarze gatunkowym sprawy. Ostatnią rzeczą jakiej pragnąłby każdy porucznik z wydziału rabunków i zabójstw, było poranne wezwanie do biura komendanta z pytaniem, dlaczego wcześniej nie ostrzegł dowództwa przed możliwymi konsekwencjami śledztwa. Gandle będzie się starał chronić siebie i równocześnie czekać na wskazówki z góry. Bosch spodziewał się takiej postawy i rozumiał ją. Ale jego także sytuacja skłoniła do chwili namysłu. Policja Los Angeles miała swoje własne Biuro Bezpieczeństwa Krajowego. Na jego czele stał człowiek, który w oczach większości funkcjonariuszy departamentu przypominał na tym stanowisku małpę z brzytwą.

- Czy jedną z nich będzie kapitan Hadley? - spytał Bosch.

Kapitan Don Hadley był bratem bliźniakiem Jamesa Hadleya, który, jak się składało, zasiadał w komisji policyjnej, zespole politycznym, który nadzorował pracę Departamentu Policji Los Angeles, a także miał upoważnienie do mianowania i odwoływania komendanta. Niespełna rok po zaaprobowanej przez radę miasta decyzji burmistrza o powołaniu Jamesa Hadleya w skład komisji, jego brat bliźniak, dotychczasowy zastępca naczelnika wydziału ruchu drogowego w Dolinie, awansował na dowódcę nowo utworzonego Biura Bezpieczeństwa Krajowego. Uznano to wówczas za polityczny ruch ówczesnego komendanta policji, który za wszelką cenę starał się utrzymać stanowisko. Nie udało się. Został zwolniony i mianowano nowego komendanta. Hadley utrzymał jednak swoją funkcję.

Zadanie BBK polegało na współpracy z instytucjami federalnymi i wymianie danych wywiadowczych. W ciągu minionych sześciu lat Los Angeles co najmniej dwa razy znalazło się na celowniku terrorystów. W każdym z tych przypadków policja dowiadywała się o zagrożeniu dopiero wtedy, gdy federalni udaremnili atak. Stawiało to departament w kłopotliwym położeniu, a BBK powstał przecież po to, by stać się narzędziem policji do zdobywania informacji o tym, co rząd federalny wie o jej własnym podwórku.

Kłopot w tym, że powszechnie podejrzewano, iż federalni nadal nie dopuszczają policji do swoich sekretów. Pragnąc więc zamaskować ten przykry fakt i uzasadnić istnienie dowodzonej przez siebie komórki, kapitan Hadley zaczął występować na częstych konferencjach prasowych i w towarzystwie swoich ludzi w czarnych uniformach asystował przy każdym zdarzeniu, które miało choćby nikły związek z terroryzmem. Kiedy na Hollywood Freeway przewróciła się cysterna, na miejscu wypadku stawiała się liczna grupa funkcjonariuszy BBK, lecz wkrótce ustalono, że cysterna przewoziła mleko. Z podobną czujnością zareagowali na zastrzelenie rabina w synagodze w Westwood, dopóki nie ustalono, że przyczyną incydentu był miłosny trójkąt.

I tak dalej. Po mniej więcej czwartej akcji BBK, która okazała się niewypałem, funkcjonariusze departamentu przechrzcili kapitana Dona Hadleya, nazywając go kapitanem Done Badly\*.

\* Done badly - nieudane, sfuszerowane.

Mimo to pozostał dowódcą BBK dzięki politycznej mgiełce okrywającej

zagadkę jego awansu. Według ostatnich wieści, jakie dotarły do Boscha pocztą pantoflową, Hadley wysłał cały swój oddział do akademii na ćwiczenia z zakresu taktyki operacji w terenie miejskim.

- Co do Hadleya, nie wiem - odrzekł Gandle. - Prawdopodobnie zostanie wtajemniczony. Zacznę od swojego kapitana, a on zdecyduje, komu dalej przekazać wiadomość. Ale to już nie twoje zmartwienie, Harry. Rób swoje i nie przejmuj się Hadleyem. Musisz za to uważać na federalnych.

- Jasne.

- Pamiętaj, z federalnymi zawsze trzeba się mieć na baczności, kiedy zaczynają ci mówić dokładnie to, co chciałbyś usłyszeć.

Bosch skinął głową. Rada porucznika była zgodna z kultywowaną w policji Los Angeles długą tradycją nieufności wobec FBI. Oczywiście FBI równie długo podtrzymywała tę tradycję, nie darząc zaufaniem policji Los Angeles. Z tego powodu narodziło się BBK.

Po powrocie do domu Kentów Bosch zobaczył, że Walling rozmawia z kimś przez telefon, a w salonie stoi mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkał. Był wysoki, miał czterdzieści kilka lat i emanował pewnością siebie, którą Bosch widział już wielokrotnie i która bez wątpienia świadczyła, że ma do czynienia z agentem FBI. Mężczyzna wyciągnął do niego dłoń.

- Detektyw Bosch, jak sądzę - rzekł. - Jack Brenner. Rachel jest moją partnerką.

Bosch podał mu rękę. Sposób, w jaki Brenner poinformował go, że Rachel jest jego partnerką, dużo powiedział Boschowi. To był władczy ton. Brenner dawał mu do zrozumienia, że zjawił się ważniejszy z dwojga

partnerów, bez względu na to, jakie zdanie na ten temat miała sama Rachel.

- Widzę, że już się poznaliście.

Bosch odwrócił się. Walling właśnie zakończyła rozmowę przez telefon.

-Przepraszam - powiedziała. - Składałam relację szefowi. Postanowił poświęcić tej sprawie cały taktyczny. Wysłała do szpitali trzy zespoły, żeby zaczęły sprawdzać, czy Kent był dzisiaj w którymś gorącym laboratorium.

- W gorących laboratoriach trzyma się materiały promieniotwórcze? - zapytał Bosch.

- Tak. Kent miał wstęp do prawie wszystkich w okręgu. Musimy ustalić, czy był dzisiaj w którymś z nich.

Bosch wiedział, że prawdopodobnie może zawęzić pole poszukiwań do jednej placówki medycznej. Do Kliniki dla Kobiet św. Agaty. Gdy Kent został zamordowany, miał przypięty identyfikator tego szpitala. Walling i Brenner o tym nie wiedzieli, lecz Bosch postanowił jeszcze im nie mówić. Wyczuwał, że śledztwo wymyka mu się spod kontroli, chciał więc zatrzymać dla siebie przynajmniej jedną poufną informację.

- Co z policją? - spytał tylko.

- Z policją? - powtórzył Brenner, zanim zdążyła odpowiedzieć Walling. - Czyli z tobą, Bosch? Pytasz o siebie?

- Tak, o siebie. Jaką mam rolę? Brenner rozłożył ręce w geście życzliwości.

- Nie martw się, nie wypadasz z gry. Pracujesz cały czas z nami. Agent federalny pokiwał głową, jak gdyby to była najlepsza obietnica.

- To dobrze - odparł Bosch. - Właśnie to chciałem usłyszeć. Spojrzał na Walling, szukając w jej oczach potwierdzenia słów jej partnera. Ale

odwróciła wzrok.

4

Kiedy Alicia Kent wreszcie wyszła z sypialni, miała uczesane włosy i umytą twarz, ale ubrała się tylko w biały szlafrok. Dopiero teraz Bosch zobaczył, jak atrakcyjną była kobietą. Drobna, smągła, o nieco egzotycznej urodzie. Przypuszczał, że pod nazwiskiem męża kryje się rodowód z jakiegoś odległego kraju. Czarne, lśniące włosy otaczały oliwkową twarz, która była piękna i zarazem smutna.

Zauważyła Brennera, który przywitał ją skinieniem głowy i przedstawił się. Alicia Kent była tak oszołomiona rozwojem wypadków, że zdawała się nie pamiętać Brennera, choć przedtem poznała Walling. Brenner wskazał jej kanapę i poprosił, żeby usiadła.

- Gdzie mój mąż? - zapytała znowu, tym razem bardziej stanowczym i spokojniejszym tonem. - Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Rachel usiadła obok niej, gotowa podtrzymać ją na duchu, gdyby to było konieczne. Brenner zajął krzesło obok kominka. Bosch wolał stać. Nigdy nie lubił wygodnie się rozsiadać, przekazując takie wiadomości.

- Pani Kent - odezwał się Bosch, przejmując inicjatywę i starając się zaznaczyć, że nadal on prowadzi sprawę. - Jestem detektywem z wydziału zabójstw. Przyjechałem tu, ponieważ dziś w nocy znaleźliśmy zwłoki mężczyzny, którym, jak sądzimy, mógł być pani mąż. Bardzo mi przykro, że muszę to pani powiedzieć.

Słyszając wiadomość, raptownie pochyliła głowę, a potem uniosła ręce i ukryła w nich twarz. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz i zza dłoni rozległ się stłumiony, bezradny jęk. Po chwili zanosła się szlochem, dygocząc tak

gwałtownie, że musiała opuścić ręce i przytrzymać szlafrok, by nie zsunął się jej z ramion. Walling łagodnie położyła jej dłoń na karku.

Gdy Brenner zaproponował jej szklanekę wody, skinęła głową. Wyszedł, a Bosch przyjrzał się kobiecie i zobaczył łzy spływające po jej policzkach. Zawiadamianie ludzi o śmierci najbliższych to było parszywe zadanie. Mimo że robił to setki razy, nie potrafił się z tym oswoić ani się tego nauczyć. Sam to przeżył. Kiedy przed ponad czterdziestu laty zamordowano jego matkę, usłyszał tę wiadomość od policjanta w chwili, gdy wychodził z basenu w domu dziecka. Wskoczył z powrotem do wody i próbował zostać na dnie.

Brenner przyniósł wodę i świeża wdowa wypła duszkiem połowę. Zanim ktokolwiek zdążył zadać jej pytanie, rozległo się pukanie do drzwi i Bosch wpuścił dwóch ratowników dźwigających wielkie torby ze sprzętem. Bosch odsunął się na bok, a sanitariusze przystąpili do badania kobiety. Dał znak Walling i Brennerowi, by poszli z nim do kuchni, gdzie mogli naradzić się szeptem. Zdał sobie sprawę, że już wcześniej powinni o tym porozmawiać.

- Jak chcecie to z nią załatwić? - zapytał.

Brenner znów szeroko rozłożył ręce, jak gdyby był otwarty na propozycje. Wyglądało to jak jego gest firmowy.

- Chyba ty powinieneś poprowadzić przesłuchanie - rzekł agent. - Włączmy się, kiedy będzie trzeba. Jeżeli się obawiasz, że moglibyśmy...

- Nie, to dobry pomysł. Przesłucham ją.

Spojrzał na Walling, czekając na sprzeciw, ale ona też nie miała zastrzeżeń. Chciał wyjść z kuchni, ale Brenner zatrzymał go w progu.

- Bosch, chcę być z tobą szczery - powiedział.

Bosch odwrócił się do niego.

- To znaczy?
- To znaczy, że kazałem cię sprawdzić. Podobno...
- Jak to, kazałeś mnie sprawdzić? Wypytywałeś o mnie?
- Musiałem wiedzieć, z kim będziemy pracować. O twojej dotychczasowej pracy wiedziałem tylko tyle, ile słyszałem o Echo Park. Chciałem...
- Jeżeli masz jakieś pytania, możesz je zadać mnie.

Brenner uniósł ręce, otwierając dłonie.

- W porządku.

Bosch wyszedł z kuchni i stanął w salonie, czekając, aż ratownicy skończą opatrywać Alicję Kent. Jeden z nich smarował jakąś maścią otarcia na jej nadgarstkach i kostkach. Drugi mierzył jej ciśnienie. Bosch zobaczył, że nałożyli opatrunki na szyi i przegubie, widocznie na rany, których wcześniej nie dostrzegł.

Zadzwoił jego telefon i Bosch wrócił do kuchni, żeby odebrać. Zauważył, że Walling i Brenner już wyszli, znikając w innej części domu. Zaniepokoił się. Nie wiedział, czego szukają ani co planują.

Dzwonił jego partner. Ferras wreszcie dotarł na miejsce zdarzenia.

- Ciało jeszcze tam jest? - spytał go Bosch.
- Nie, ludzie koronera już je zabrali - odrzekł Ferras. - Kryminalistyka też już chyba kończy.

Bosch przekazał mu najnowsze szczegóły śledztwa, mówiąc o udziale federalnych w sprawie i potencjalnie niebezpiecznych materiałach, do których miał dostęp Stanley Kent. Następnie polecił mu zacząć chodzić po domach i szukać świadków, którzy mogli coś widzieć czy słyszeć podczas



zabójstwa Kenta. Wiedział, że mająnikłe szanse, ponieważ nikt nie zadzwonił pod 911.

- Harry, teraz mam się do tego zabrać? Jest środek nocy i ludzie śpią...

- Tak, Ignacio, masz się do tego zabrać teraz.

Bosch nie przejmował się porą. Prawdopodobnie generator, który dostarczał prądu ludziom pracującym na miejscu zbrodni, i tak już zbudził wszystkich w pobliskich domach. Ale koniecznie należało przesłuchać mieszkańców okolicy i zawsze lepiej było znaleźć świadków wcześniej niż później.

Kiedy Bosch opuścił kuchnię, ratownicy pakowali już sprzęt i wychodzili. Poinformowali go, że stan fizyczny Alicii Kent jest dobry, jeśli nie liczyć drobnych zranień i otarć. Powiedzieli też, że podali jej tabletkę na uspokojenie i zostawili tubkę maści, którą miała smarować otarcia na przegubach i kostkach.

Walling znów siedziała obok niej na kanapie, a Brenner przy kominku.

Bosch usiadł na krześle przy szklanym stoliku, naprzeciw Alicii Kent.

- Pani Kent - zaczął. - Bardzo nam przykro z powodu śmierci pani męża i koszmaru, jaki pani przeżyła. Nie możemy jednak zwlekać ze śledztwem. Gdybyśmy żyli w świecie idealnym, zaczekalibyśmy, aż będzie pani gotowa z nami porozmawiać. Ale świat nie jest idealny. Wie pani o tym lepiej od nas. Musimy zadać pani kilka pytań na temat tego, co się tu dzisiaj stało.

Założyła ręce na piersi i ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Wobec tego zaczynajmy - powiedział Bosch. - Może nam pani powiedzieć, co się zdarzyło?

- To byli dwaj mężczyźni - odrzekła głosem drżącym od płaczu. - Nie

widziałam ich. To znaczy ich twarzy. Nie widziałam ich twarzy. Ktoś zapukał do drzwi i poszłam otworzyć. Nikogo nie było. A kiedy zaczęłam zamykać drzwi, nagle się pojawili. Wskoczyli jak spod ziemi. Mieli maski i kaptury - takie bluzy z kapturem. Wdarli się do domu i złapali mnie. Mieli nóż i jeden z nich przyłożył mi go do gardła. Powiedział, że poderżnie mi gardło, jeżeli nie zrobię tego, co mi każą.

Musnęła dłonią opatrunek na szyi.

- Pamięta pani, która była wtedy godzina? - zapytał Bosch.

- Dochodziła szósta. Było już ciemno i miałam właśnie zacząć przygotowywać kolację. Stanley zwykle wraca około siódmej. Chyba że akurat pracuje na południu albo na pustyni.

Wspomnienie o zwyczajach męża sprawiło, że w oczach Alicii Kent znów zaśniły łzy i głos zaczął się jej łamać. Starając się, by rozmowa nie zbaczała z tematu, Bosch przeszedł do następnego pytania. Zdawało mu się, że Alicia Kent zaczyna mówić trochę wolniej. Zaczynała działać tabletką podana przez ratowników.

- Co zrobili ci mężczyźni? - spytał.

- Zabrali mnie do sypialni. Kazali mi usiąść na łóżku i rozebrać się. Potem jeden z nich zaczął mnie wypytywać. Byłam przerażona. Chyba wpadłam w histerię, bo uderzył mnie w twarz i zaczął na mnie krzyczeć. Mówił, żebym się uspokoiła i odpowiadała na jego pytania.

- O co panią pytał?

- Nie pamiętam dokładnie. Za bardzo się bałam.

- Proszę spróbować sobie przypomnieć, pani Kent. To ważne. Może nam pomóc odnaleźć morderców pani męża.

- Spytał mnie, czy mamy broń, a potem gdzie ją...

- Chwileczkę, pani Kent-przerwał jej Bosch. - Wszystko po kolei. Zapytał, czy ma pani broń. Co mu pani powiedziała?

- Bałam się. Powiedziałam, że tak, mamy broń. Zapytał, gdzie jest, więc powiedziałam, że w szufladzie szafki nocnej mojego męża. Kupiliśmy broń, kiedy nas pani ostrzegła o niebezpieczeństwie związanym z pracą Stana.

Przy ostatnim zdaniu spojrzała na Walling.

- Nie bała się pani, że zastrzelą panią z tego pistoletu? - pytał dalej Bosch. - Dlaczego powiedziała im pani, gdzie jest broń?

Alicia Kent opuściła wzrok na swoje ręce.

- Siedziałam naga. Byłam już pewna, że mnie zgwałcą i zabiją. Pomyślałam chyba, że to i tak nie ma już znaczenia.

Bosch skinął głową, jak gdyby rozumiał.

- O co jeszcze panią pytali?

- Chcieli wiedzieć, gdzie są kluczyki do samochodu. Powiedziałam im. Mówiłam wszystko, co chcieli wiedzieć.

- Pytali o pani samochód?

- Tak, o mój. W garażu. Trzymam kluczyki na blacie w kuchni.

- Sprawdziłem garaż. Jest pusty.

- Słyszałam, jak otwierała się brama garażu - kiedy już stąd wyszli. Musieli zabrać samochód.

Brenner zerwał się z miejsca.

- Trzeba się tym zająć - wtrącił. - Może nam pani podać markę wozu i numer rejestracyjny?

- Chrysler trzysta. Numeru nie pamiętam. Mogłabym zajrzeć do polisy ubezpieczeniowej.

Chciała wstać, lecz Brenner uniósł ręce, powstrzymując ją.

- To niekonieczne. Sam mogę ustalić numer. Najlepiej od razu to zgłoszę.

Wstał i wyszedł zadzwonić do kuchni, nie chcąc przeszkadzać. Bosch wrócił do przesłuchania.

- O co jeszcze panią pytali, pani Kent?

- O aparat fotograficzny. Aparat, który można podłączyć do komputera męża. Powiedziałam im, że Stanley ma aparat i chyba trzyma go w biurku. Zawsze kiedy odpowiadałam na pytanie, jeden z nich -ten, który je zadawał - tłumaczył moją odpowiedź drugiemu na jakiś język. Ten drugi wyszedł z pokoju, chyba po aparat.

Walling wstała i skierowała się do korytarza prowadzącego do sypialni.

- Rachel, niczego nie dotykaj - uprzedził Bosch. - Zaraz przyjedzie ekipa z kryminalistyki.

Walling machnęła ręką, znikając w korytarzu. Po chwili wrócił Brenner i skinął Boschowi głową.

- Komunikat nadany - powiedział.

- Jaki komunikat? - zapytała Alicia Kent.

- O poszukiwaniu pani samochodu - wyjaśnił Bosch. - Co się potem stało z tymi mężczyznami, pani Kent?

Odpowiadając, znów zaczęła płakać.

- Potem... potem związali mnie w ten okropny sposób i zakneblowali krawatem męża. Kiedy wrócił tamten z aparatem, ten drugi zrobił mi zdjęcie.

Bosch dostrzegł na jej twarzy rumieniec upokorzenia.

- Zrobił zdjęcie?

- Tak, nic więcej. Potem obaj wyszli z pokoju. Ten, który mówił po angielsku, pochylił się nade mną i szepnął, że mąż przyjdzie mnie uratować. I wyszedł.

Nastąpiła długa cisza. Po chwili Bosch podjął przerwany wątek.

- Czy po wyjściu z sypialni od razu opuścili dom? - zapytał.

Kobieta pokręciła głową.

- Słyszałam, jak jeszcze przez chwilę rozmawiali, a potem usłyszałam bramę garażową. Wtedy zawsze cały dom huczy jak przy trzęsieniu ziemi. Poczułam to dwa razy - brama otworzyła się i zamknęła. Później chyba już odjechali.

Brenner znów wtrącił się do przesłuchania.

- Gdy byłem w kuchni, chyba mówiła pani, że jeden z nich tłumaczył drugiemu pani odpowiedzi. Wie pani, w jakim języku rozmawiali?

Bosch zdenerwował się na Brennera za to pytanie. Zamierzał spytać o język, jakim posługiwali się intruzi, ale nie chciał poruszać więcej niż jednego aspektu przesłuchania naraz. Z poprzednich spraw wiedział, że to najlepszy sposób w przypadku rozmowy ze zszokowaną ofiarą.

- Nie jestem pewna. U tego, który mówił po angielsku, słyszałam obcy akcent, ale nie wiem skąd. Chyba z Bliskiego Wschodu. A kiedy rozmawiali ze sobą, mogli mówić po arabsku. Tak gardłowo. Ale nie znam się na obcych językach.

Brenner pokiwał głową, jak gdyby odpowiedź potwierdzała jego podejrzenia.

- Przypomina sobie pani coś jeszcze, o czym mówili albo pytali panią po angielsku? - ciągnął Bosch.

- Nie, to wszystko.

- Wspomniała pani, że mieli maski. Jakiego rodzaju?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Nakładane na głowę. Takie jakie noszą bandyci w filmach albo narciarze.

- Wełniane kominiarki.

Skinęła głową.

- Właśnie.

- Czy to były kominiarki z jednym otworem na oczy czy z dwoma oddzielnymi otworami?

- Chyba... chyba z oddzielnymi. Tak, z oddzielnymi.

- Czy był w nich otwór na usta?

- Hm... tak, był. Pamiętam, że patrzyłam na usta tego mężczyzny, kiedy mówił w obcym języku. Próbowałam go zrozumieć.

- Świetnie, pani Kent. Bardzo nam pani pomaga. O co jeszcze pani nie spytałam?

- Nie rozumiem.

- Pamięta pani jakiś szczegół, o jaki nie zapytałam?

Zamyśliła się, po czym pokręciła głową.

- Nie wiem. Chyba powiedziałam panu wszystko, co pamiętam.

Bosch nie był przekonany. Odtworzył jeszcze raz przebieg wydarzeń, analizując te same informacje z innej strony. Była to sprawdzona technika uzyskiwania od przesłuchiwanego nowych szczegółów, która i tym razem go nie zawiodła. Najciekawszą informacją ujawnioną w trakcie powtórnej analizy zdarzenia był fakt, że mężczyzna, który mówił po angielsku, zapytał Alicję Kent o hasło do jej konta poczty elektronicznej.

- Do czego było mu potrzebne?

- Nie wiem - odrzekła. - Nie pytałam. Po prostu podałam im hasło.

Pod koniec powtórnej relacji z jej koszmarnego przeżycia zjawił się zespół kryminalistyczny i Bosch zarządził przerwę w przesłuchaniu. Alicia Kent została na kanapie, a Harry zaprowadził techników do sypialni, aby tam zaczęli zabezpieczanie śladów. Następnie stanął w kącie pokoju i zadzwonił do swojego partnera. Ferras zawiadomił go, że dotąd nie znalazł nikogo, kto widział lub słyszał coś na punkcie widokowym. Bosch powiedział mu, że jeśli chce zrobić sobie przerwę w chodzeniu po domach, powinien sprawdzić dane broni należącej do Stanleya Kenta. Musieli ustalić markę i model. Wszystko wskazywało na to, że prawdopodobnie został zamordowany ze swojej własnej broni.

W chwili, gdy Bosch zamknął telefon, Walling zawołała go z gabinetu do pracy. Harry zastał tam Rachel i Brennera, którzy stali za biurkiem, patrząc na ekran monitora.

- Spójrz na to - powiedziała Walling.

- Mówiłem, że na razie nie powinnaś niczego dotykać - zauważył Bosch.

-Nie możemy dłużej tracić czasu - powiedział Brenner. -Popatrz.

Bosch obszedł biurko, by spojrzeć na monitor.

- Jej e-mail był otwarty - wyjaśniła Walling. - Weszłam do folderu z wysłaną pocztą. A to wysłano pod adres e-mailowy jej męża wczoraj dwadzieścia po szóstej wieczorem.

Wcisnęła klawisz i otworzyła wiadomość wysłaną z konta Alicii Kent na konto męża. Jej temat brzmiał:

**ZAGROŻENIE W DOMU: PRZECZYTAĆ NATYCHMIAST!**

W wiadomość wstawiono fotografię nagiej Alicii Kent leżącej na łóżku ze

związanymi rękami i nogami. Wymowa zdjęcia byłaby oczywista dla każdego, nie tylko jej męża. Pod fotografią biegł tekst wiadomości:

Mamy twoją żonę. Musisz zdobyć dla nas wszystkie źródła cezowe, do które masz dostęp. Przywieś je w bezpiecznym pojemniku na punkt widokowy na Mulholland niedaleko twojego domu o ósmej. My będziemy cię obserwować. Jeżeli komuś powiesz albo zadzwonisz, my się dowiemy. W rezultacie twoja żona będzie zgwałcona, torturowana i pocięta na tyle kawałków, że ich nie policzysz. Przy źródłach cezowych zabezpiecz środki ostrożności. Nie spóźnij się, bo ją zabijemy.

Bosch przeczytał wiadomość dwa razy z uczuciem podobnej grozy, jaka musiała ogarnąć Stanleya Kenta.

- Źródła, do które masz dostęp... my się dowiemy... zabezpiecz środki ostrożności... - czytała Walling. - Błąd ortograficzny w „przywieś” i dziwna konstrukcja niektórych zdań. Nie sądzę, żeby napisał to ktoś mówiący po angielsku od urodzenia.

Bosch też to zobaczył i w duchu przyznał jej rację.

- Wysłali wiadomość stąd - powiedział Brenner. - Mąż odebrał ją w biurze albo na swoim palmtopie - miał przy sobie palmtop?

Bosch nie miał fachowej wiedzy w tej dziedzinie. Zawahał się.

- Kieszonkowy komputer - podpowiedział Brenner. - Wiesz, taki jak palm pilot albo telefon z mnóstwem gadżetów.

Bosch skinął głową.

- Chyba tak - odparł. - Znaleziono u niego telefon BlackBerry. Miał chyba miniklawiaturę.

- To by wystarczyło - orzekł Brenner. - Mógł więc w każdym miejscu odebrać wiadomość i zapewne obejrzeć zdjęcie.



Wszyscy troje zamilkli, uświadamiając sobie, jaki szok musiała wywołać u Kenta fotografia. Wreszcie odezwał się Bosch, czując wyrzuty sumienia z powodu zatajenia przed nimi jednego szczegółu.

- Właśnie coś sobie przypomniałem. Do zwłok był przypięty identyfikator. Ze szpitala św. Agaty w Dolinie.

Oczy Brennera błysnęły czujnie.

- Właśnie przypomniałeś sobie taką istotną informację? - spytał ze złością.

- Zgadza się. Zapom...

- To i tak teraz nie ma znaczenia - wtrąciła Walling. - Święta Agata to klinika onkologiczna dla kobiet. Cez wykorzystuje się prawie wyłącznie w terapii raka macicy i szyjki macicy.

Bosch skinął głową.

- Lepiej już chodźmy - powiedział.

5

Klinika dla Kobiet św. Agaty znajdowała się w Sylmar na północnym końcu San Fernando Valley. Była głęboka noc, więc dość szybko pokonywali autostradę 170. Bosch siedział za kierownicą swojego mustanga, spoglądając jednym okiem na wskazówkę poziomu paliwa. Wiedział, że przed powrotem do miasta będzie musiał zatankować. Obok niego siedział Brenner. Zdecydowano - ściślej mówiąc, zdecydował Brenner - że Walling zostanie z Alicią Kent, by dalej ją przesłuchiwać i uspokajać. Walling nie wydawała się uszczęśliwiona tym zadaniem, lecz Brenner, chcąc zaznaczyć, kto z dwojga partnerów jest starszy rangą, uciął wszelkie dyskusje na ten temat.

Przez większą część drogi Brenner odbierał telefony i dzwonił do swoich przełożonych oraz innych agentów. Z tego, Boschowi udało się usłyszeć, jasno wynikało, że wielka federalna machina szykuje się do bitwy. Zarządzono alarm wyższego stopnia. Wysłany do Stanleya Kenta e-mail nadał śledztwu konkretny kierunek, a sprawa, która dotychczas mogła jedynie wzbudzać zaciekawienie federalnych, przybrała zupełnie nieoczekiwany wymiar.

Gdy Brenner wreszcie zamknął komórkę i wsunął ją do kieszeni marynarki, zmienił pozycję na siedzeniu, by spojrzeć na Boscha.

- Wysłałem do Świętej Agaty zespół OR - powiedział. - Żeby sprawdzili sejf z materiałami promieniotwórczymi.

- Zespół OR?

- Ochrony radiologicznej.

- Kiedy tam przyjadą?

- Nie pytałem, ale mogą być przed nami. Mają śmigłowiec.

Bosch był pod wrażeniem. Oznaczało to, że gdzieś w środku nocy dyżuruje grupa szybkiego reagowania. Pomyślał, jak sam czuwał tej nocy, czekając na telefon. Członkowie zespołu ochrony radiologicznej czekają na wezwanie, mając zapewne nadzieję, że nigdy go nie otrzymają. Przypomniawszy sobie o ćwiczeniach z taktyki operacji w terenie miejskim, na które wysłano funkcjonariuszy policyjnego BBK. Ciekawe, czy kapitan Hadley też miał swój zespół OR.

- Kroci się operacja totalna - ciągnął Brenner. - Z Waszyngtonu akcję będzie nadzorować Departament Bezpieczeństwa Krajowego. O dziewiątej rano na wschodnim i zachodnim wybrzeżu odbędą się spotkania, żeby skoordynować działania wszystkich służb.

- Wszystkich, czyli kogo?
- Mamy protokół. Włączamy Bezpieczeństwo Krajowe, JTTF i tak dalej. Zrobi się z tego alfabetyczny bigos. NRC, DOE, RAP... kto wie, zanim opanujemy sytuację, może nawet rozłoży obóz FEMA\*. To będzie federalne pandemonium.

\* JTTF - Połączony Zespół do Zwalczenia Terroryzmu; NRC - Komisja Nadzoru Nuklearnego; DOE - Departament Energii; RAP - Program Wsparcia Ochrony Radiologicznej; FEMA - Federalna Agencja Zarządzania w Sytuacjach Kryzysowych.

Bosch nie wiedział, co oznaczają niektóre skróty, ale nie musiał wiedzieć. Pod każdym z nich kryło się jedno słowo: „federalni”.

- Kto będzie kierował akcją?

Brenner spojrzał na Boscha.

- Wszyscy i nikt. Mówię ci, pandemonium. Jeżeli po otwarciu sejfu u Świętej Agaty okaże się, że cez zniknął, trzeba będzie zrobić wszystko, żeby go odnaleźć i odzyskać, zanim o dziewiątej rozpęta się piekło. Wtedy Waszyngton weźmie nas pod lupę i zwiąże nam ręce.

Bosch skinął głową. Przyszło mu na myśl, że być może źle osądzał Brennera. Wydawało się, że agent nie zamierza grzęznąć w biurokratycznym bagnie, ale naprawdę chce działać.

- A jaką rolę w tej operacji totalnej będzie miała policja?
- Już ci mówiłem, policja zostaje w grze. Tu nic się nie zmienia. Ty też zostajesz w grze, Harry. Przypuszczam, że już przerzuca się mosty między

naszymi i waszymi ludźmi. Wiem, że policja ma własne biuro bezpieczeństwa krajowego, które na pewno zostanie włączone do śledztwa. Do tej akcji trzeba wezwać wszystkich na pokład.

Bosch zerknął na niego. Brenner miał poważną minę.

- Pracowałeś kiedyś z naszym BBK? - spytał Bosch.
- Współpracuję od czasu do czasu. Wymienialiśmy się informacjami przy paru sprawach.

Bosch skinął głową, odnosił jednak wrażenie, że Brenner jest nieszczerzy albo zupełnie naiwny, nie zdając sobie sprawy, jak głęboka przepaść dzieli gliniarzy i federalnych. Ale jego uwadze nie umknął fakt, że Brenner zwrócił się do niego po imieniu. Zastanawiał się, czy to właśnie jeden ze wspomnianych przez agenta mostów.

- Mówiłeś, że mnie sprawdzałeś. Gdzie sprawdzałeś?
- Harry, dobrze się nam współpracuje, po co to psuć? Jeżeli popełniłem błąd, przepraszam.
- W porządku. Gdzie mnie sprawdzałeś?
- Słuchaj, powiem ci tylko tyle, że spytałem agentki Walling, kto prowadzi sprawę z ramienia policji i podała mi twoje nazwisko. Jadąc do domu Kentów, zadzwoniłem do paru miejsc. Powiedziano mi, że jesteś bardzo kompetentnym detektywem. Że masz na koncie ponad trzydzieści lat służby, kilka lat temu poszedłeś na emeryturę, nie bardzo ci się podobało i wróciłeś do firmy badać stare sprawy. Sprawa Echo Park trochę wymknęła ci się spod kontroli - mówię o tej historii, w którą wciągnąłeś agentkę Walling. Nie pracowałeś przez parę miesięcy, kiedy, hm, wyjaśniano szczegóły, ale już wróciłeś i zostałeś przeniesiony do specjalnej sekcji zabójstw.

- Co jeszcze?
- Harry...
- Co jeszcze?
- No dobra. Doszły mnie słuchy, że bywasz trudnym partnerem, zwłaszcza jeżeli chodzi o współpracę ze służbami federalnymi. Ale muszę przyznać, że jak dotąd niczego takiego nie zauważyłem.

Bosch domyślał się, że większość tych informacji pochodzi od Rachel - widział, jak rozmawia przez telefon. Powiedziała mu wtedy, że rozmawiała ze swoim partnerem. Rozczarowała go, jeśli rzeczywiście mówiła o nim takie rzeczy. Wiedział też, że Brenner prawdopodobnie nie wyjawiał mu większości z nich. W rzeczywistości tyle razy ścierał się z federalnymi -jeszcze zanim poznał Rachel Walling - że prawdopodobnie miał u nich teczkę grubą jak księga morderstwa.

Po mniej więcej minucie ciszy Bosch postanowił zmienić temat.

- Opowiedz mi coś o cezcie - rzekł.
- Co mówiła ci Walling?
- Niewiele.
- To produkt uboczny. Powstaje przy rozszczepieniu uranu i plutonu. Po katastrofie w Czarnobylu do atmosfery przedostał się właśnie cez. Występuje w postaci proszku albo srebrzystego metalu. Kiedy przeprowadzano próby nuklearne na południowym Pacyfiku...
- Nie pytam o szczegóły naukowe. Szczegóły naukowe mnie nie obchodzą. Powiedz mi, z czym tu mamy do czynienia.

Brenner zastanowił się przez chwilę.

- Dobra - powiedział. - Materiał, o który nam chodzi, jest w kawałkach wielkości gumki do ołówka. Umieszcza się go w szczelnych tulejach ze

stali nierdzewnej wielkości naboju kalibru czterdzieści pięć. W leczeniu nowotworów ginekologicznych wprowadza się go na dokładnie obliczony czas do ciała kobiety - do macicy - żeby napromieniować guz. Krótkie dawki są podobno bardzo skuteczne. A zadanie takich ludzi jak Stanley Kent polega na ustaleniu okresu napromieniowania - na podstawie obliczeń fizycznych określają wymaganą dawkę. Potem pobierają cez ze szpitalnego sejfu i osobiście dostarczają onkologowi na salę operacyjną. Ten system jest po to, żeby lekarz miał jak najkrótszy kontakt z materiałem promieniotwórczym. Chirurg podczas zabiegu nie może nosić żadnej odzieży ochronnej, więc musi ograniczyć do minimum czas ekspozycji, rozumiesz, co mam na myśli?

Bosch przytaknął.

- Te tuleje chronią człowieka, który ma z nimi kontakt?
- Nie, jedynym zabezpieczeniem przed promieniowaniem gamma jest ołów. Sejf, w którym trzymają pojemniki z cezem, jest wyłożony ołowiem. Urządzenie do transportu tulei też jest z ołowiu.
- No dobra. Jak niebezpieczny może być ten materiał, gdyby wydostał się na zewnątrz?

Brenner odpowiedział po krótkim namyśle.

- Gdyby wydostał się na zewnątrz, wszystko zależy od ilości, dyspersji i lokalizacji. To są zmienne czynniki. Okres połowicznego rozpadu cezu wynosi trzydzieści lat. Na ogół przyjmuje się margines bezpieczeństwa równy dziesięciu okresom połowicznego rozpadu.
- Zaraz, bo się gubię. Jaki z tego wniosek?
- Taki, że zagrożenie promieniowaniem zmniejsza się o połowę co trzydzieści lat. Gdyby rozproszyć dużą ilość tego materiału w zamkniętej

przestrzeni - na przykład na stacji metra albo w biurowcu - wtedy obiekt zostałby wyłączony z użytku na trzysta lat.

Słyszając to, Bosch osłupiał.

- A ludzie? - zapytał.

- To też zależy od dyspersji i jej opanowania. Promieniowanie o wysokim natężeniu mogłoby zabić człowieka w ciągu paru godzin. Ale gdyby izotop został rozproszony za pomocą bomby na stacji metra, przypuszczam, że ofiar takiego ataku byłoby niewiele. Nie chodzi tu jednak o liczbę ofiar śmiertelnych. Tym ludziom zależy na czynniku strachu. Do eksplozji dochodzi w jednym miejscu, ale fala strachu zalewa cały kraj. Pomyśl o takim Los Angeles. Nigdy nie byłoby już tym samym miastem co dawniej.

Bosch skinął tylko głową. Nie było tu nic więcej do powiedzenia.

6

Weszli do głównego holu kliniki św. Agaty i spytali recepcjonistkę o szefa ochrony. Oznajmiła im, że szef pracuje w ciągu dnia, ale postara się poszukać nocnego kierownika ochrony. Czekaając na niego, usłyszeli helikopter lądujący na długim trawniku przed centrum medycznym, a po chwili do szpitala wkroczył czteroosobowy zespół radiologiczny. Każdy z jego członków miał na sobie ubranie ochronne i trzymał w ręku osłonę twarzy. Dowódca grupy - z plaketką z nazwiskiem KYLE REID - miał ręczny monitor promieniowania.

Wreszcie, po dwukrotnym ponagleniu kobiety w recepcji, w holu zjawił się mężczyzna, który wyglądał, jak gdyby właśnie ściągnięto go z łóżka. Powitał ich i przedstawił się jako Ed Romo. Nie potrafił oderwać wzroku

od skafandrow przeciwpromiennych zespołu radiologicznego. Brenner mignął mu legitymacją i przejął dowodzenie. Bosch nie protestował. Wiedział, że znaleźli się na terytorium, na którym powinien pozwolić grać pierwsze skrzypce agentowi federalnemu, jeśli chciał, by śledztwo nie zwalniało tempa.

- Musimy sprawdzić, czy ilość materiału w gorącym laboratorium zgadza się ze spisem - powiedział Brenner. - Musimy też zobaczyć jakiś rejestr nazwisk czy danych kluczy magnetycznych, gdzie odnotowano, kto wchodził do laboratorium w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Romo ani drgnął. Wahał się, jak gdyby próbując pojąć sens sceny rozgrywającej się przed jego oczami.

- O co chodzi? - spytał w końcu.

Brenner zrobił krok w jego stronę, stając tuż przed nim.

-Właśnie mówię - odparł. - Musimy wejść do laboratorium na onkologii. Jeżeli nie może nas pan tam zaprowadzić, proszę znaleźć kogoś innego, kto to zrobi. Natychmiast.

- Najpierw muszę zadzwonić - powiedział Romo.

- Dobrze. Niech pan dzwoni. Daję panu dwie minuty, ale potem będzie pan nam musiał zejść z drogi.

Wygłaszając tę groźbę, Brenner cały czas uśmiechał się i kiwał głową.

Romo wyciągnął telefon komórkowy i odsunął się od grupy, żeby zadzwonić. Brenner przepuścił go, spoglądając z gorzkim uśmiechem na Boscha.

- W zeszłym roku robiłem tu przegląd zabezpieczeń. Mieli zamykane laboratorium, sejf i to wszystko. Później wprowadzili lepszy system. Ale kiedy zbudujesz lepszą pułapkę na myszy, myszy stają się sprytniejsze.



Bosch skinął głową.

Po dziesięciu minutach Bosch, Brenner, Romo i członkowie zespołu radiologicznego wysiedli z windy w piwnicy kliniki. Szef Roma już jechał, lecz Brenner na niego nie czekał. Romo kartą magnetyczną otworzył drzwi laboratorium onkologicznego.

Pomieszczenie było puste. Przy wejściu Brenner znalazł listę inwentarzową oraz rejestr wejść i wyjść z laboratorium i zaczął czytać. Na biurku stał także monitor pokazujący obraz z kamery umieszczonej w sejfie.

- Był tu - powiedział Brenner.
- Kiedy? - zapytał Bosch.
- Z papierów wynika, że o siódmej.

Reid wskazał monitor.

- Rejestrujecie to? - spytał Roma. - Możemy zobaczyć, co Kent robił w środku?

Romo patrzył na monitor, jak gdyby zobaczył go pierwszy raz w życiu.

- Hm, nie, to tylko monitor - rzekł wreszcie. - Człowiek przy biurku ma widzieć, co się zabiera z sejfu.

Romo pokazał przeciwległy koniec laboratorium, gdzie znajdowały się duże stalowe drzwi. Na poziomie wzroku umieszczono trójlistny symbol ostrzegający przed promieniowaniem oraz tablicę:

**UWAGA!**

**ZAGROŻENIE PROMIENIOTWÓRCZE**

**WSTĘP TYLKO W ODZIEŻY OCHRONNEJ**

**CIUDADO! PELIGRO DE RADIACIÓN**

**SE DEBE USAR EQUIPO DE PROTECCION**

Bosch zauważył, że poza szczeliną na kartę magnetyczną drzwi są wyposażone w klawiaturę zamka cyfrowego.

- Tu jest napisane, że zabrał jedno źródło cezu - rzekł Brenner, nadal studiując rejestr. - Jedną tuleję. To przypadek poza tym szpitalem. Miał przetransportować cez do Centrum Medycznego Burbank na zabieg. Jest tu nazwisko pacjentki. Hanover. Według spisu w sejfie zostało trzydzieści jeden zasobników.

- To wszystko, czego potrzebujecie? - zapytał Romo.

- Nie - odrzekł Brenner. - Musimy osobiście skontrolować ilość materiału. Wejdziemy tam i otworzymy sejf. Jaki jest kod?

- Nie znam - powiedział Romo.

- A kto zna?

- Fizycy. Kierownik laboratorium. Szef ochrony.

- Gdzie jest szef ochrony?

- Mówiłem już. Zaraz przyjedzie.

- Dzwon i przełącz na głośnik.

Brenner wskazał telefon na biurku. Romo usiadł. Włączył głośnik i z pamięci wstukał numer. Natychmiast odezwał się głos:

- Tu Richard Romo.

Ed Romo nachylił się nad telefonem, jakby zawstydzony odkryciem jawnego przypadku nepotyzmu.

- Ee, tato, mówi Ed. Ten człowiek z FBI...

- Pan Romo? - wtrącił Brenner. - Tu agent specjalny FBI John Brenner.

Zdaje się, że przed rokiem rozmawialiśmy o szczegółach zabezpieczeń w klinice. Kiedy się pan tu zjawi?

- Za dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Pamiętam...

-Za późno. Musimy zaraz otworzyć sejf w laboratorium, żeby ustalić jego zawartość.

- Nie może go pan otworzyć bez zgody szpitala. Nie obchodzi mnie, kto...

- Panie Romo, mamy powody przypuszczać, że zawartość sejfu dostała się w ręce ludzi, którzy nie przejmują się interesem ani bezpieczeństwem Amerykanów. Musimy otworzyć sejf, żeby dokładnie wiedzieć, co tam jest i czego brakuje. Nie będziemy czekać dwadzieścia minut. Proszę posłuchać, wylegitymowałem się pańskiemu synowi, a w laboratorium jest ze mną zespół ochrony radiologicznej. Musimy działać, proszę pana. Jak mam otworzyć sejf?

W głośniku na parę chwil zapadła cisza. Wreszcie Richard Romo ustąpił.

- Ed, dzwonis z dyżurki w laboratorium, tak?

- Tak.

- Dobra, otwórz biurko i wysuń dolną szufladę po lewej.

Ed Romo odsunął krzesło i przyjrzał się biurku. Górna szuflada z lewej strony była zaopatrzona w zamek, który najwidoczniej zwalniał blokadę wszystkich trzech szuflad. w- Którym kluczem? - zapytał Ed.

- Chwileczkę.

W głośniku rozległ się brzęk kluczy.

- Spróbuj czternaście czternaście.

Ed Romo zdjął z pasa pęk kluczy i odnalazł klucz oznaczony numerem 1414. Następnie wsunął go do zamka szuflady i przekręcił. Dolna szuflada została odblokowana.

- Gotowe.

- W szufladzie jest segregator. Otwórz go i znajdź kartkę z listami

kodów do sejfu. Kombinacja zmienia się co tydzień.

Trzymając segregator, Romo zaczął go otwierać pod takim kątem, by nikt poza nim nie mógł widzieć jego zawartości. Brenner wyciągnął rękę i bezceremonialnie odebrał mu segregator. Położył go przed sobą na biurku, otworzył i zaczął przerzucać protokoły bezpieczeństwa.

- Gdzie to jest? - rzucił niecierpliwie do telefonu.
- Powinno być z tyłu. U góry jest wyraźnie zaznaczone, że to lista kodów do laboratorium gorącego. Ale jest mały haczyk. Trzeba użyć zeszłotygodniowego kodu. Kombinacja z tego tygodnia nie pasuje. Niech pan użyje kodu z zeszłego.

Brenner znalazł właściwą stronę i przesunął palec po kolumnie cyfr, natrafiając na kod z poprzedniego tygodnia.

- Dobra, mam. A jak otworzę drzwi samego sejfu?

Richard Romo poinformował go z samochodu:

- Jeszcze raz użyje pan karty magnetycznej i innego kodu. Ten akurat znam, bo się nie zmienia. Sześć sześć sześć.
- Oryginalnie.

Brenner wyciągnął rękę do Eda Romo.

- Niech mi pan da swoją kartę.

Romo spełnił polecenie, a Brenner podał magnetyczny klucz Reidowi.

- Idź, Kyle - rozkazał Brenner. - Wstukaj kod pięć sześć jeden osiem cztery, a resztę słyszałeś.

Reid odwrócił się i wskazał jednego z mężczyzn w skafandrach ochronnych.

- Będzie ciasno. Wejdę tylko z Millerem.

Dowódca i wybrany przez niego członek zespołu nałożyli osłony na twarz

i za pomocą karty oraz cyfrowego kodu otworzyli sejf. Miller wziął monitor promieniowania i obaj weszli do pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

- Wie pan, ludzie, którzy tu wchodzą, nigdy nie zakładają skafandrów kosmicznych - odezwał się Ed Romo.

- Cieszę się - odparł Brenner. - Dzisiaj mamy jednak trochę inną sytuację, nie sądzi pan? Nie wiadomo, co czyha na nas za tymi drzwiami.

- Tak tylko mówię - bronił się Romo.

- W takim razie bądź łaskaw nic nie mówić, synu. Daj nam robić, co do nas należy.

Obserwując obraz na monitorze, Bosch szybko zauważył lukę w systemie zabezpieczeń. Kamera była zamontowana u góry, ale gdy Reid pochylił się, by wstukać kod na klawiaturze sejfu z materiałami, zasłonił ją ciałem przed obiektywem kamery. Jeśli nawet Kent był obserwowany przez dyżurującego ochroniarza, kiedy wszedł do laboratorium o siódmej poprzedniego wieczoru, bez trudu mógł ukryć to, co stamtąd wynosił.

Niecałą minutę po otwarciu sejfu dwaj mężczyźni w ubraniach przeciwpromiennych wyszli zza stalowych drzwi. Brenner wstał. Agenci zdjęli maski, a Reid popatrzył na Brennera. Pokręcił głową.

- Sejf jest pusty - powiedział.

Brenner wyciągnął z kieszeni telefon. Zanim jednak wybrał numer, Reid podszedł do niego, podając mu kartkę papieru wyrwaną z kołnotatnika.

- Zostało tylko to - dodał.

Bosch ponad ramieniem Brennera spojrzął na kartkę. Nagryzmołono na niej długopisem wiadomość, którą trudno było odcyfrować. Brenner odczytał ją na głos.

- „Siedzą mnie. Jeżeli tego nie zrobię, zabiją moją żonę. Trzydzieści dwa źródła cezu. Niech mi Bóg wybaczy. Nie mam wyboru”.

7

Bosch i agenci federalni milczeli. W laboratorium onkologicznym zapanowała niemal wyczuwalna atmosfera grozy. Właśnie potwierdzono podejrzenia, że Stanley Kent zabrał z sejfu w klinice św. Agaty trzydzieści dwa zasobniki cezu i najprawdopodobniej przekazał je nieznanym sprawcom, którzy potem wykonali na nim egzekucję w punkcie widokowym na Mulholland.

- Trzydzieści dwa pojemniki z cezem - powiedział Bosch. - Ile to może wyrządzić szkód?

Brenner posłał mu ponure spojrzenie.

- Trzeba będzie spytać naukowców, ale moim zdaniem zupełnie by wystarczyło - odrzekł. - Jeśli ktoś chce w ten sposób nadać wiadomość, może być pewien, że będzie czytelna dla wszystkich.

Nagle Bosch pomyślał o czymś, co zupełnie nie pasowało do ujawnionych właśnie faktów.

- Chwileczkę - powiedział. - Dawkomierze na rękach Stanleya Kenta pokazywały, że nie miał kontaktu z materiałem radioaktywnym. Jak to się mogło stać, że zabrał stąd cały cez i te obrączki nie zapaliły mu się jak lampki choinkowe?

Brenner lekceważąco pokręcił głową.

- Na pewno skorzystał ze świni.

- Z czego?

- Tak się nazywa urządzenie do transportu. Wygląda jak ołowiane

wiadro do mopa na kółkach. Oczywiście szczelnie zamykane. Jest ciężkie i niskie - jak świnia. Dlatego nazwali je świnią.

-I mógł ot tak sobie wejść i wyjść z czymś takim?

Brenner pokazał leżącą na biurku podkładkę z listą.

- Transport źródeł izotopowych wykorzystywanych w terapii nowotworów z jednego szpitala do drugiego to całkiem normalna rzecz - powiedział. - Kent wpisał jedno źródło, ale zabrał wszystkie. To już nie była normalna rzecz, ale kto by otwierał świnię i sprawdzał?

Bosch przypomniał sobie wgłębienia w wykładzinie bagażnika porsche. Samochodem przewożono coś ciężkiego. Teraz już wiedział, co to było, i wiedział, że mają jeszcze jeden dowód potwierdzający najgorszy możliwy scenariusz.

Bosch pokręcił głową, a Brenner wziął to za niemy komentarz na temat zabezpieczenia laboratorium.

- Coś ci powiem - rzekł agent. - Zanim w zeszłym roku poprawiliśmy im system bezpieczeństwa, każdy w lekarskim kitlu mógł tu wejść i wyciągnąć z sejfu co mu się żywnie podobało. O żadnych zabezpieczeniach nie było mowy.

- Nie miałem na myśli systemu zabezpieczeń. Chciałem...

- Muszę zadzwonić - przerwał mu Brenner.

Odszedł na bok i wyciągnął telefon. Bosch także postanowił zadzwonić. Znalazł ustronny kąt i wybrał numer swojego partnera.

- To ja, Ignacio.

- Harry, mów mi Iggy. Co u ciebie?

- Nic dobrego. Kent opróżnił sejf. Cały cez zniknął.

- Żartujesz sobie? To ten materiał, z tego można zrobić brudną bombę?

- Ten. Chyba dał im tyle, że mogłoby wystarczyć. Jesteś jeszcze na miejscu?

- Tak. Słuchaj, mam dzieciaka, który być może jest świadkiem.

- Co to znaczy „być może” ? Kto to jest, sąsiad?

- Nie, to trochę pokręcona historia. Wiesz, że stoi tam dom, którego właścicielką była podobno Madonna?

- Tak.

- No więc była, ale już nie jest. Poszedłem tam zapukać i facet, który tam mieszka, powiedział mi, że niczego nie widział ani nie słyszał - to samo mówią mi w każdym domu. W każdym razie zbieram się już do wyjścia i nagle widzę tego gościa chowającego się za drzewami w donicach na dziedzińcu. Wyciągam broń i wzywam wsparcie, rozumiesz, myślę, że to może być nasz kiler z punktu widokowego. Ale okazuje się, że nie. To dzieciak - ma dwadzieścia lat i właśnie przyjechał z Kanady. Myśli, że w tym domu ciągle mieszka Madonna. Ma przy sobie mapę z zaznaczonymi rezydencjami gwiazd, z której wynika, że to jej dom. Próbował ją podglądać, śledzić czy coś w tym rodzaju. Przelazł przez mur, żeby się dostać na dziedziniec.

- Widział strzelaninę?

- Twierdzi, że niczego nie widział i nie słyszał, ale sam nie wiem, Harry. Wydaje mi się, że mógł się kręcić pod domem Madonny, kiedy kropnęli Kenta. Potem się schował i próbował przeczekać. Tyle że go znalazłem.

Bosch czegoś tu nie rozumiał.

- Po co miałby się chować? Dlaczego po prostu stamtąd nie zwiął? Przecież ciało znaleźliśmy dopiero trzy godziny po morderstwie.



- Tak, wiem. To akurat zupełnie nie ma sensu. Może się bał albo myślał, że jeżeli ktoś go widział w pobliżu ciała, zostanie podejrzanym.

Bosch pokiwał głową. Całkiem możliwe.

- Zatrzymałeś go za wtargnięcie na teren prywatny?

- Tak. Rozmawiałem z facetem, który kupił dom od Madonny, i zgodził się nam pomóc. Jeżeli będzie trzeba, wniesie skargę. Więc nie musisz się martwić, możemy przytrzymać chłopaka i trochę nad nim popracować.

- Dobrze. Zabierz go do centrum, wsadź do pokoju i zrób mu małą rozgrzewkę.

- Załatwione, Harry.

- Ignacio, tylko nikomu nie mów o cecie.

- Dobra, nie powiem.

Bosch rozłączył się, zanim Ferras zdążył znowu wtrącić, żeby mówił mu Iggy. Zaczął słuchać końcówki rozmowy Brennera. Nie miał wątpliwości, że agent nie zadzwonił do Walling. Jego zachowanie i ton szacunku w głosie zdradzały, że rozmawia z szefem.

- Według rejestru o siódmej - mówił. - Przekazanie materiału w punkcie widokowym musiało nastąpić około ósmej, czyli w tym momencie mają sześć i pół godziny przewagi.

Brenner przez chwilę słuchał, po czym usiłował odpowiedzieć, ale za każdym razem rozmówca nie dopuszczał go do głosu.

- Tak jest - rzekł wreszcie. - Tak jest. Już startujemy.

Zamknął telefon i spojrzał na Boscha.

-Wracam helikopterem. Muszę poprowadzić telekonferencję z Waszyngtonem i złożyć raport. Wziąłbym cię ze sobą, ale chyba lepiej

będzie, jeżeli poprowadzisz śledztwo z ziemi. Później przyślę kogoś po swój samochód.

- Nie ma sprawy.

- Twój partner znalazł świadka? Dobrze słyszałem?

Bosch zdziwił się, jak Brenner zdołał to wychwycić, sam rozmawiając przez telefon.

- Możliwe, ale to jeszcze nic pewnego. Jadę do centrum, żeby się tym zaraz zająć.

Brenner z poważną miną skinął głową i podał Boschowi wizytówkę.

- Gdybyś miał coś nowego, dzwoń. Tu są wszystkie moje namiary. Jeżeli cokolwiek się zdarzy, dzwoń.

Bosch wziął wizytówkę i włożył do kieszeni. Następnie razem z agentami opuścił laboratorium, a kilka minut później przyglądał się, jak śmigłowiec federalnych wzbija się w ciemne niebo. Wsiadł do samochodu i wyjechał z parkingu przed kliniką, kierując się na południe. Przed zjazdem na autostradę zatankował na stacji przy San Fernando Road.

Ruch w stronę centrum miasta był niewielki, Bosch mógł więc utrzymywać stałą prędkość stu dwudziestu na godzinę. Włączył odtwarzacz i na chybił trafił wybrał płytę. Już po pięciu nutach pierwszego utworu poznał, że to japoński album kontrabasisty Rona Cartera. Płyta świetnie nadawała się do jazdy, więc podkręcił dźwięk.

Muzyka pomogła mu uporządkować myśli. Bosch zdawał sobie sprawę, że śledztwo zmienia kierunek. Federalni przynajmniej zamiast morderców szukali cezu. Była to subtelna różnica, choć zdaniem Boscha bardzo ważna. Wiedział, że musi skupić uwagę na tym, co się zdarzyło na punkcie widokowym, ani na moment nie zapominając o fakcie, że to śledztwo w

sprawie morderstwa.

- Jeżeli znajdą się zabójcy, znajdzie się też - powiedział głośno.

Gdy dotarł do centrum, skręcił z autostrady w Los Angeles Street i zatrzymał wóz na głównym parkingu przed centralą policji. O tej porze nikt nie będzie się przejmował, że nie jest VIP-em ani członkiem kadry kierowniczej.

Budynek Parker Center chylił się ku ruinie. Przed prawie dziesięciu laty zapadła decyzja o budowie nowej siedziby policji, lecz z powodu licznych opóźnień natury politycznej i budżetowej inwestycja dopiero ruszała z miejsca. Tymczasem robiono niewiele, by uchronić obecną siedzibę przed całkowitym rozpadem. Wprawdzie budowa nowego gmachu już trwała, ale do jej ukończenia zostało około czterech lat. Wielu pracowników Parker Center zastanawiało się, czy stary budynek jeszcze tyle wytrzyma. Biuro wydziału rabunków i zabójstw na trzecim piętrze było puste. Bosch wyciągnął komórkę i zadzwonił do swojego partnera.

- Gdzie jesteś?

- Cześć, Harry. Jestem w kryminalistyce. Wezmę co się da, żeby zacząć księgę morderstwa. Przyjechałeś do biura?

- Właśnie wszedłem. Gdzie masz świadka?

- Smaży się w dwójkę. Chcesz z nim sam zacząć?

- Byłoby dobrze, gdyby przycisnął go ktoś, kogo jeszcze nie widział. Ktoś starszy.

To była delikatna sugestia. Potencjalnego świadka znalazł Ferras. Bosch nie zamierzał go przesłuchiwać bez przynajmniej milczącej zgody partnera. Sytuacja nakazywała jednak, aby tak istotne przesłuchanie przeprowadził ktoś z doświadczeniem Boscha.

- Weź go w obroty, Harry. Jak wrócę, usiądę przy monitorze w pokoju obok. Gdybyś mnie potrzebował, daj znak.
- W porządku.
- Gdybyś miał ochotę, w gabinecie kapitana jest kawa.
- To dobrze, przyda mi się trochę kofeiny. Ale najpierw powiedz mi coś o świadku.
- Nazywa się Jesse Mitford. Z Halifaxu. Taki włóczykij. Powiedział mi, że przyjechał tu autostopem i nocuje w schroniskach, a czasem na wzgórzach - kiedy jest w miarę ciepło. Nic więcej nie wiem.

Mało, ale to był dopiero początek.

- Może zamierzał spać pod domem Madonny. Dlatego nie zwiął.
- Nie pomyślałem o tym, Harry. Możesz mieć rację.
- Na pewno go zapytam.

Bosch zakończył rozmowę, wyciągnął z szuflady biurka kubek i skierował się do gabinetu kapitana. W sekretariacie stał stolik z ekspresem. Kiedy Bosch przekroczył próg, w nozdrza uderzył go aromat świeżo parzonej kawy i już sam zapach dostarczył mu potrzebnej dawki energii. Napełnił kubek, wrzucił do koszyka dolara i wrócił na swoje miejsce.

Biurka w pomieszczeniu ustawiono w długich rzędach w taki sposób, że partnerzy siedzieli naprzeciw siebie. Taki układ nie pozwalał na żadną prywatność, ani zawodową, ani osobistą. W większości biur detektywów w mieście zainstalowano boksy z dźwiękoszczelnymi ściankami, lecz w Paker Center nie wydawano już ani grosza na modernizację, ponieważ budynek i tak czekała rozbiórka.

Bosch i Ferras dołączyli do wydziału niedawno, więc ich biurka znajdowały się na samym końcu rzędu, w pozbawionym okien kącie, gdzie

była kiepska wentylacja i skąd mieli najdalej do wyjścia w razie ewakuacji na przykład w czasie trzęsienia ziemi.

Miejsce pracy Boscha było starannie wysprzątane, tak jak je zostawił. Na biurku jego partnera leżał plecak i plastikowa torebka na dowody. Bosch sięgnął najpierw po plecak. Otworzywszy go, zobaczył przede wszystkim ubrania i inne osobiste rzeczy należące do potencjalnego świadka. Znalazł także książkę Stephena Kinga „Bastion” i torebkę ze szczoteczką i pastą do zębów. Był to skromny dobytek świadczący o skromnym życiu.

Odłożył plecak i wziął torebkę na dowody. Znajdowała się w niej niewielka kwota amerykańskiej waluty, klucze, cienki portfel oraz kanadyjski paszport. Poza tym zobaczył złożoną mapę z napisem „Domy gwiazd”. Wiedział, że takie plany Los Angeles sprzedają na rogach ulic w całym Hollywood. Rozłożył mapę i znalazł punkt widokowy przy Mulholland Drive nad Lake Hollywood Drive. Tuż obok po lewej widniała czarna gwiazdka z numerem 23. Była zakreślona długopisem. Bosch zajrzał do indeksu i pod numerem 23 przeczytał: Dom Madonny w Hollywood.

Najwyraźniej mapy nie uaktualniano i Bosch podejrzewał, że niewiele z umieszczonych na niej gwiazdek i pozycji na dołączonej liście sław zgadza się ze stanem rzeczywistym. To mogło wyjaśniać, dlaczego Jesse Mitford obserwował dom, w którym Madonna już nie mieszkała.

Bosch złożył mapę, schował wszystkie przedmioty do plastikowej torebki i odłożył na biurko partnera. Następnie wyciągnął z szuflady blok do pisania oraz formularz rezygnacji z pomocy adwokata, po czym ruszył do pokoju przesłuchań numer 2, który znajdował się w korytarzu na końcu biura wydziału.

Jesse Mitford wyglądał na mniej niż dwadzieścia lat. Miał ciemne, kręcone włosy i kredowobiałą cerę. Jego podbródek pokrywał zarost, którego wyhodowanie zabrało mu chyba całe życie. Nozdrze i jedną brew przebijały srebrne kolczyki. Na jego twarzy malowała się czujność i lęk. Siedział przy małym stole w małym pokoju przesłuchań. Pomieszczenie było przesiąknięte zapachem potu. Mitford pocił się jak mysz i o to oczywiście chodziło. Przed wejściem Bosch zerknął na termostat umieszczony w korytarzu. Ferras ustawił temperaturę w pokoju przesłuchań na dwadzieścia osiem stopni.

- Jak się miewasz, Jesse? - spytał Bosch, zajmując puste krzesło naprzeciw niego.

- Hm, nie za dobrze. Trochę tu gorąco.

- Naprawdę?

- Jest pan moim adwokatem?

- Nie, Jesse, jestem twoim detektywem. Nazywam się Harry Bosch. Pracuję w wydziale zabójstw i prowadzę dochodzenie w sprawie zdarzenia na punkcie widokowym.

Bosch położył na stole blok i postawił kubek z kawą. Zauważył, że Ferras nie rozkuł Mitforda. Było to bardzo zręczne posunięcie, ponieważ mając na rękach kajdanki, chłopak wciąż był zdezorientowany, zdenerwowany i wystraszony.

- Mówiłem temu Meksykaninowi, że nic więcej nie powiem. Chcę adwokata.

Bosch skinął głową.

- To Amerykanin pochodzenia kubańskiego, Jesse - rzekł. - Nie dostaniesz adwokata. Adwokat przysługuje tylko obywatelowi Stanów

Zjednoczonych.

Kłamał, licząc na niewiedzę dwudziestolatka.

- Masz kłopoty, chłopcze - ciągnął. - Co innego śledzić była dziewczynę czy byłego chłopaka, a co innego śledzić znaną osobę. To jest miasto sław w kraju sław, Jesse, a my dbamy o swoje sławy. Nie wiem, jak to wygląda u ciebie w Kanadzie, ale u nas kary za to, co dziś robiłeś, są dość surowe.

Mitford potrząsnął głową, jak gdyby w ten sposób chciał odpędzić od siebie te kłopoty.

- Mówiono mi przecież, że ona już tam nawet nie mieszka. To znaczy Madonna. Czyli tak naprawdę wcale jej nie śledziłem. To by było tylko wtargnięcie na prywatny teren.

Teraz z kolei Bosch pokręcił głową.

- Chodzi o zamiar, Jesse. Myślałeś, że Madonna może tam być. Miałeś mapę, według której to był jej dom. Nawet zaznaczyłeś sobie to miejsce. Tak więc w oczach prawa jesteś podejrzany o śledzenie znanej osoby.

- No to po co sprzedają mapy z domami gwiazd?

- A po co przy barach są parkingi, skoro prowadzenie samochodu po pijanemu jest karalne? Nie będziemy się w to bawić, Jesse. Rzecz w tym, że na mapie nie ma ani słowa o tym, że można przełazić przez ogrodzenie czyjegoś domu, rozumiesz, o czym mówię?

Mitford spuścił wzrok na swoje skute ręce i smutno pokiwał głową.

- Ale coś ci powiem - mówił dalej Bosch. - Głowa do góry, bo nie jest jeszcze tak źle, jak się może wydawać. Zarzuty o śledzenie znanej osoby i wtargnięcie na teren jej domu to poważna rzecz, ale myślę, że dałoby się to jakoś załatwić, jeżeli zgodzisz się ze mną współpracować.

Mitford pochylił się nad stołem.

-Mówiłem już temu Meksy... temu detektywowi kubańskiego pochodzenia, że nic nie widziałem.

Bosch długą chwilę zwlekał z odpowiedzią.

- Nie obchodzi mnie, co mu mówiłeś. Teraz rozmawiasz ze mną, synu. I wydaje mi się, że coś przede mną ukrywasz.

- Wcale nie. Przysięgam na Boga.

W błagalnym geście rozłożył ręce na tyle szeroko, na ile pozwalały mu kajdanki. Bosch nie dał się jednak na to nabrać. Chłopak był za młody, aby udało mu się go okłamać. Bosch postanowił zaatakować wprost.

- Posłuchaj, Jesse. Mój partner jest dobry i wysoko zajdzie. Co do tego nie mam wątpliwości. Ale na razie jako gliniarz jeszcze raczkuje. Został detektywem mniej więcej wtedy, gdy na twojej brodzie pojawił się ten brzoskwiniowy puszek. Ja niejedno już widziałem, a to znaczy, że widziałem niejednego łgarza. Czasami wydaje mi się, że znam samych łgarzy. I wiem, że kłamiesz, Jesse. A ja się nie pozwalam okłamywać.

- Nie! Wcale...

- Dlatego masz trzydzieści sekund, żeby zacząć mówić, bo inaczej zawiozę cię do aresztu okręgowego. Na pewno będzie tam czekał ktoś, kto się postara, żebyś jeszcze przed świtem zaśpiewał do mikrofonu hymn kanadyjski. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o surowych karach za podglądanie.

Mitford wpatrywał się w swoje dłonie spoczywające na stole. Bosch czekał długie dwadzieścia sekund. Wreszcie podniósł się z krzesła.

- Dobra, Jesse, wstawaj. Jedziemy.

- Zaraz, niech pan zaczeka!



- Na co? Powiedziałem, wstawaj! Idziemy. To jest śledztwo w sprawie morderstwa i nie mam zamiaru tracić czasu na...

- Dobrze już, dobrze, powiem. Widziałem to, słyszy pan? Widziałem wszystko.

Bosch przyglądał mu się przez chwilę.

- Mówisz o punkcie widokowym? - zapytał. - Widziałeś strzelaninę na punkcie widokowym?

- Widziałem wszystko.

Bosch przysunął sobie krzesło i usiadł.

8

Bosch nie pozwolił mu mówić, dopóki Jesse Mitford nie podpisał formularza rezygnacji z przysługujących mu praw. Nie miało znaczenia, że był przesłuchiwany jako świadek morderstwa popełnionego w punkcie widokowym na Mulholland. Jeśli udało mu się coś zobaczyć, to tylko dlatego, że sam właśnie popełniał przestępstwo -wchodząc na teren prywatny i obserwując dom. Bosch musiał uważać, by nie popełnić żadnego błędu. By nie dać podstaw do kwestionowania legalności uzyskanego zeznania. Nie podłożyć się. Grał o wysoką stawkę, wiedział, że federalni specjalizują się w wytykaniu wpadek, musiał więc zrobić to jak należy.

- Dobra, Jesse - powiedział, gdy chłopak podpisał formularz. - Opowiesz mi, co widziałeś i słyszałeś na punkcie widokowym. Jeżeli będziesz mówił prawdę i pomożesz mi, wycofam wszystkie zarzuty i wyjdiesz stąd jako wolny człowiek.

Formalnie rzecz biorąc, Bosch znacznie wyolbrzymiał swoje możliwości.

Nie miał prawa wycofywać zarzutów ani zawierać porozumienia z podejrzanymi. W tej sprawie nie musiał jednak tego robić, ponieważ oficjalnie Mitfordowi nie postawiono jeszcze żadnego zarzutu. To właśnie był atut Boscha. Wszystko sprowadzało się do subtelności znaczeniowych. W rzeczywistości Bosch proponował odstąpienie od oskarżenia Mitforda w zamian za uczciwą współpracę ze strony młodego Kanadyjczyka.

- Rozumiem - powiedział Mitford.
- Pamiętaj, interesuje mnie tylko prawda. Tylko to, co widziałeś i słyszałeś. Nic więcej.
- Rozumiem.
- Podnieś rękę.

Mitford spełnił polecenie, a Bosch za pomocą własnego kluczyka zdjął mu kajdanki. Mitford natychmiast zaczął rozcierać przeguby, by pobudzić krążenie. Ten widok przypomniał Boschowi widok Rachel rozcierającej rękę Alicii Kent.

- Lepiej się czujesz? - zapytał.
- Tak, już dobrze - odparł Mitford.
- Dobra, zacznijmy od początku. Powiedz mi, skąd przyjechałeś, dokąd się wybierałeś i co dokładnie zobaczyłeś na punkcie widokowym.

Mitford skinął głową, po czym przedstawił Boschowi dwudziestominutową opowieść, która zaczynała się na Hollywood Boulevard od kupna mapy z domami gwiazd od ulicznego sprzedawcy i długiej pieszej wędrówki na wzgórze. Wspinał się niemal trzy godziny i stąd zapewne wziął się nieprzyjemny zapach potu, jaki wydzielalo jego ciało. Powiedział Boschowi, że kiedy zmęczony dotarł do Mulholland Drive, zapadał już zmrok. W domu, gdzie według mapy mieszkała

Madonna, było ciemno. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma. Rozczarowany postanowił odpocząć po długim marszu i zaczekać w nadziei, że piosenkarka wkrótce przyjedzie do domu. Znalazł miejsce w krzakach, gdzie mógł się oprzeć o mur ogradzający dom jego ofiary - sam nie użył tego słowa - i zaczekać. Mitford powiedział, że zasnął, ale coś go zbudziło.

- Co cię obudziło? - spytał Bosch.
- Głosy. Usłyszałem głosy.
- Co mówiły?
- Nie wiem. Po prostu obudził mnie dźwięk głosów.
- Jak daleko byłeś od punktu widokowego?
- Nie wiem. Może z pięćdziesiąt metrów. Byłem dość daleko.
- Co mówiły głosy, kiedy się już obudziłeś?
- Nic. Rozmowa się skończyła.
- Dobrze, więc co zobaczyłeś po obudzeniu?
- Zobaczyłem trzy samochody zaparkowane obok polanki. Porsche i dwa większe auta. Nie znam marki, ale były takie same.
- Widziałeś ludzi na punkcie widokowym?
- Nie, nikogo nie widziałem. Było za ciemno. Ale po chwili znów usłyszałem głos, który dobiegał stamtąd, z ciemności. Jakby krzyk. I w tym momencie zobaczyłem dwa błyski i usłyszałem strzały. Takie stłumione. W błysku zauważyłem człowieka, który klęczał na polance. Ale błysnęło tak szybko, że nic więcej nie widziałem.

Bosch skinął głową.

- Dobrze, Jesse. Idzie ci bardzo dobrze. Powtórzmy to od początku, żeby wszystko było jasne. Spałeś, potem zbudziły cię głosy i kiedy

spojrzałeś, zobaczyłeś trzy samochody. Zgadza się?

-Tak.

- W porządku. Potem znów usłyszałeś głos i spojrzałeś w stronę punktu widokowego. Wtedy padły strzały. Czy wszystko się zgadza?

- Zgadza się.

Bosch wiedział jednak, że Mitford może po prostu mówić to, co Bosch chciał usłyszeć. Musiał się upewnić, czy chłopak nie zmyśla.

- No dobrze, powiedziałeś, że w błysku z lufy zobaczyłeś, jak ofiara pada na kolana, tak?

- Nie, niezupełnie.

- Wobec tego powiedz, co dokładnie widziałeś.

- Ten człowiek chyba już klęczał. Wszystko stało się tak szybko, że nie mógłbym zobaczyć, jak pada na kolana. Wydaje mi się, że już klęczał.

Bosch pokiwał głową. Mitford pomyślnie przeszedł test.

- W porządku, słuszna uwaga. Porozmawiajmy teraz o tym, co słyszałeś. Mówiłeś, że zanim padły strzały, ktoś krzyknął, zgadza się?

- Tak.

- Co ta osoba krzyknęła?

Młody człowiek zastanowił się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie jestem pewien.

- Dobrze, nic nie szkodzi. Lepiej nie mówić o niczym, czego nie jesteśmy pewni. Spróbujmy zrobić pewne ćwiczenie i sprawdźmy, czy pomoże. Zamknij oczy.

- Co?

- Po prostu zamknij oczy - powtórzył Bosch. - Myśl o tym, co widziałeś. Spróbuj odtworzyć w pamięci obraz, a podkład dźwiękowy sam

się zjawi. Patrzysz na te trzy samochody i nagle czyjś głos kieruje twoją uwagę w stronę punktu widokowego. Co powiedział ten głos?

Bosch mówił spokojnie, kojącym tonem. Mitford zgodnie z jego poleceniem zamknął oczy. Bosch czekał.

- Nie jestem pewien - odrzekł w końcu młody człowiek. - Nie bardzo rozumiem. Wydaje mi się, że mówił coś o Allahu, a potem strzelił do tamtego.

Bosch przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo.

- O Allahu? Masz na myśli arabskie słowo Allah?

- Nie jestem pewien. Tak mi się wydaje.

- Co jeszcze słyszałeś?

- Nic więcej. Potem przerwał mu huk strzałów. Zaczął krzyczeć o Allahu, a resztę zagłuszyły strzały.

- Krzyknął coś w rodzaju „Allah akbar”?

- Nie wiem. Słyszałem tylko „Allah”.

- Czy w jego głosie brzmiał obcy akcent?

- Obcy akcent? Nie wiem. Słyszałem tylko to jedno słowo.

- Brytyjski? Arabski?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Byłem za daleko i usłyszałem tylko jedno słowo.

Bosch zastanowił się nad tym przez chwilę. Przypomniawszy sobie, jak czytał zapis rozmów prowadzonych w kabinie pilotów podczas ataków terrorystycznych 11 września. W ostatnim momencie terroryści zawołali „Allah akbar”, „Bóg jest wielki”. Czyżby jeden z morderców Stanleya Kenta zrobił to samo?

Wiedział jednak, że musi być ostrożny i dokładny. Dalszy tok śledztwa

mógł w dużej mierze zależeć od jednego słowa, które według Mitforda padło na punkcie widokowym.

- Jesse, co detektyw Ferras mówił ci o tej sprawie, zanim zamknął cię w tym pokoju?

Świadek wzruszył ramionami.

- Nic mi nie mówił, naprawdę.

- Nie mówił ci, z czym możemy tu mieć do czynienia albo w jakim kierunku zmierza dochodzenie?

- Nie, nic takiego nie mówił.

Bosch patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- W porządku, Jesse - powiedział. - Co się potem stało?

- Kiedy padły strzały, ktoś pobiegł z polanki w stronę samochodów. Stała tam latarnia i mogłem go zobaczyć. Wsiadł do jednego z samochodów i cofnął bliżej porsche. Potem otworzył bagażnik i wysiadł. Bagażnik porsche był już otwarty.

- Gdzie wtedy był ten drugi mężczyzna?

Mitford wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

- Chyba już nie żył.

- Nie, mam namyśli drugiego sprawcę. Byli dwaj sprawcy i jedna ofiara, Jesse. Trzy samochody, pamiętasz?

Dla podkreślenia swoich słów Bosch pokazał trzy palce.

- Widziałem tylko jednego sprawcę - powiedział Mitford. - Tego, który strzelał. W samochodzie zaparkowanym za porsche siedział ktoś jeszcze. Ale w ogóle nie wysiadał.

- Cały czas siedział w samochodzie?

- Zgadza się. Właściwie zaraz po strzałach ten drugi wóz zawrócił i

odjechał.

- I kierowca w ogóle nie wysiadał, gdy samochód stał na punkcie widokowym.

- Ja w każdym razie nie widziałem, żeby wysiadał.

Bosch zamyślił się nad tym. Z opisu Mitforda wynikało, że podejrzani ustalili między sobą podział pracy. Ten fakt stanowił potwierdzenie wcześniejszej relacji Alicii Kent; według niej jeden z mężczyzn zadawał jej pytania, a potem tłumaczył odpowiedzi i wydawał polecenia drugiemu. Bosch przypuszczał, że w samochodzie w punkcie widokowym siedział mężczyzna mówiący po angielsku.

- No dobrze - podjął po chwili. - Wracajmy do przebiegu zdarzeń, Jesse. Mówisz, że kiedy padły strzały, jeden z nich odjechał, a drugi cofnął samochód bliżej porsche i otworzył bagażnik. Co się potem stało?

- Wsiadł, wyciągnął coś z porsche i przeniósł do bagażnika swojego wozu. To musiało być coś ciężkiego, bo nieźle się namęczył. Trzymał to coś w taki sposób, jakby miało uchwyty po bokach.

Bosch wiedział, że Mitford opisuje świnie używaną do transportu materiałów radioaktywnych.

- Co potem?

- Wsiadł do samochodu i odjechał. Zostawił otwarty bagażnik porsche.

- I nie widziałeś nikogo więcej?

- Nikogo. Przysięgam.

- Opisz człowieka, którego widziałeś.

- Właściwie nie potrafię go opisać. Miał na sobie bluzę z kapturem. W ogóle nie widziałem jego twarzy. Po kapturem miał chyba jeszcze kominiarke.

- Dlaczego tak sądzisz?

Mitford znów wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Tak mi się po prostu wydawało. Mogę się mylić.

- Był wysoki? Niski?

- Chyba średniego wzrostu. Może trochę niski.

- Jak wyglądał?

Bosch musiał spróbować jeszcze raz. To było ważne. Ale Mitford pokręcił głową.

- Nie widziałem go - powtórzył z uporem. - Jestem prawie pewien, że miał zasłoniętą twarz.

Bosch nie ustępował.

- Był biały, czarny? Z Bliskiego Wschodu?

- Nie mam pojęcia. Miał kaptur i kominiarkę, a ja byłem za daleko.

- Przypomnij sobie jego ręce, Jesse. Mówiłeś, że przedmiot, który przynosił z porsche do swojego samochodu, miał uchwyty. Widziałeś jego ręce? Jakiego koloru były jego ręce?

Mitford zastanowił się przez chwilę i nagle oczy mu rozbłysły.

-Nie widziałem dłoni, nosił rękawice. Dobrze pamiętam, bo to były takie duże rękawice, jakie mają ludzie pracujący przy pociągach w Halifaksie. Grube, z długimi mankietami, żeby chroniły przed oparzeniem.

Bosch skinął głową. Szukając jednej informacji, uzyskał inną. Rękawice ochronne. Ciekawe, czy to były specjalne rękawice przeznaczone do pracy z materiałem radioaktywnym. Uświadomił sobie, że zapomniał zapytać Alicii Kent, czy mężczyźni, którzy wtargnęli do jej domu, mieli rękawiczki. Miał nadzieję, że Rachel Walling ustaliła wszystkie szczegóły w trakcie dalszego przesłuchania.



Bosch zrobił pauzę. Czasem chwile milczenia są dla świadka najbardziej niepokojące. Cisza zaczyna wypełniać luki.

Ale Mitford się nie odzywał. Po chwili Bosch wrócił do pytań.

- No dobrze, mówiliśmy o dwóch samochodach zaparkowanych obok porsche. Opisz samochód, który podjechał tyłem do porsche.

- Naprawdę nie potrafię. Wiem, jak wygląda porsche, ale o tamtych samochodach nie umiem nic powiedzieć. Obydwa były znacznie większe, czterodrzwiowe.

- Porozmawiajmy o tym, który stał przed porsche. To był sedan?

- Nie znam tej marki.

- Nie, sedan to typ nadwozia, nie marka. Czterodrzwiowy, z wysuniętym bagażnikiem - taki jak radiowóz.

- Tak, tak wyglądał.

Bosch przypomniał sobie, co Alicia Kent mówiła o swoim skradzionym samochodzie.

- Wiesz, jak wygląda chrysler 300?

- Nie.

- Jaki kolor miał ten samochód?

- Nie jestem pewien, ale ciemny. Czarny albo granatowy.

- A drugi? Ten, który stał za porsche.

- Taki sam. Ciemny sedan. Trochę się różnił od tego z przodu -jakby trochę mniejszy. Hm... ale nie wiem, co to był za wóz. Przykro mi.

Chłopak zmarszczył brwi, jak gdyby nieznajomość marek i modeli samochodów była wadą charakteru.

- Nic się nie stało, Jesse, świetnie ci idzie - zapewnił go Bosch.

-Bardzo nam pomagasz. Gdybym pokazał ci zdjęcia różnych sedanów,

myślisz, że mógłbyś rozpoznać te samochody?

- Nie, nie widziałem ich zbyt wyraźnie. Na ulicy było za mało światła, a ja byłem za daleko.

Bosch pokiwał głową, lecz czuł się rozczarowany. Przez chwilę rozważał sytuację. Informacje uzyskane od Mitforda pokrywały się z wersją wydarzeń przedstawioną przez Alicję Kent. Intruzi musieli mieć jakiś środek transportu, aby dotrzeć do domu Kentów. Jeden odjechał stamtąd ich wozem, a drugi wziął chryslera Alicji Kent, aby przewieźć nim cez. Wydawało się to oczywiste.

W związku z tym nasunęło mu się kolejne pytanie.

- Dokąd odjechał ten drugi samochód?

- Też zawrócił i pojechał w dół zbocza.

- I to wszystko?

- Wszystko.

- Co potem zrobiłeś?

- Ja? Nic. Zostałem tam, gdzie byłem.

- Dlaczego?

- Bałem się. Byłem prawie pewien, że właśnie widziałem, jak zamordowano człowieka.

- Nie poszedłeś sprawdzić, czy żyje i czy nie trzeba mu pomóc?

Mitford odwrócił wzrok i pokręcił głową.

- Nie, za bardzo się bałem. Przykro mi.

- W porządku, Jesse. Nie musisz się tym przejmować. On już nie żył. Zanim padł na ziemię, był już martwy. Ciekawi mnie tylko, dlaczego tak długo się ukrywałeś. Dlaczego nie zszedłeś ze wzgórza? Dlaczego nie zadzwoniłeś pod dziewięćset jednaście?

Mitford uniósł ręce i zaraz opuścił je na stół.

- Nie wiem. Chyba ze strachu. Wszedłem na wzgórze według mapy i to była jedyna droga powrotna, jaką znałem. Musiałbym przejść obok tej polanki i pomyślałem sobie, a co będzie, jeżeli w tym momencie zjawią się gliny? Mógłbym zostać głównym podejrzanym. Pomyślałem jeszcze, że gdyby to była robota mafii i gangsterzy dowiedzieliby się, że wszystko widziałem, mogliby mnie zabić czy coś.

Bosch skinął głową.

- Chyba w tej swojej Kanadzie oglądasz za dużo amerykańskiej telewizji. Nie przejmuj się. Zaopiekujemy się tobą. Ile masz lat, Jesse?

- Dwadzieścia.

- No więc co robiłeś pod domem Madonny? Nie jest dla ciebie trochę za stara?

- Nie, to nie tak. To dla mamy.

- Śledziłeś ją dla swojej mamy?

- Nie śledziłem. Chciałem tylko zdobyć dla mamy jej autograf, zapytać, czy nie dałaby mi zdjęcia czy czegoś takiego. Chciałem wysłać coś mamie, a nic dla niej nie mam. Wie pan, żeby wiedziała, że u mnie wszystko gra. Pomyślałem sobie, że gdybym jej powiedział, że spotkałem Madonnę, nie czułbym się jak taki... rozumie pan. W dzieciństwie słuchałem Madonny, bo moja mama jej słucha. Myślałem, że fajnie byłoby coś jej wysłać. Niedługo są jej urodziny, a ja nic dla niej nie mam.

- Po co przyjechałeś do Los Angeles, Jesse?

- Bo ja wiem. Po prostu wydawało mi się, że warto tu przyjechać. Miałem nadzieję zahaczyć się w jakimś zespole. Ale wygląda na to, że większość ludzi przyjeżdża tu już ze swoim zespołem. A ja nie mam

swojego.

Bosch uznał, że Mitford pozuje na wędrownego trubadura, ale przy jego plecaku, który został w biurze, nie znalazł gitary ani żadnego innego instrumentu.

- Jesteś muzykiem czy śpiewasz?
- Gram na gitarze, ale parę dni temu musiałem ją zastawić w lombardzie. Odzyskam ją.
- Gdzie nocujesz?
- Teraz to właściwie nigdzie. Wczoraj chciałem się przespać na wzgórzach. Tak naprawdę to chyba dlatego nie uciekłem, gdy zobaczyłem, co zrobili z tamtym facetem. Nie miałem dokąd iść.

Bosch dobrze to rozumiał. Jesse Mitford nie różnił się od tysięcy innych, którzy co miesiąc przyjeżdżali do miasta autobusami albo autostopem. Mieli więcej marzeń niż planów czy pieniędzy. Więcej nadziei niż przebiegłości, zdolności czy inteligencji. Nie wszyscy, którym się nie udało, prześladowali tych, którzy odnieśli sukces, ale każdy był naznaczony piętnem determinacji. I niektórzy nigdy się go nie zdołali pozbyć, nawet gdy ich nazwiska opromieniły się sławą i kupili sobie domy na wzgórzach.

- Zróbmy sobie przerwę, Jesse - powiedział Bosch. - Muszę zadzwonić do kilku osób, a potem prawdopodobnie będziesz musiał jeszcze raz opowiedzieć wszystko od początku. Może być? Postaram się też znaleźć ci jakiś pokój w hotelu.

Mitford skinął głową.

- Myśl o samochodach i tym człowieku, którego widziałeś. Musisz sobie przypomnieć więcej szczegółów, Jesse.

- Próbuje, ale...

Zanim zdążył dokończyć, Bosch wyszedł na korytarz.

Włączył klimatyzator i ustawił temperaturę osiemnastu stopni. Wkrótce w pokoju przesłuchań zrobi się zimno i zamiast się pocić, Mitford zacznie marznąć - choć może nie, skoro pochodził z Kanady. Kiedy nieco ochłonie, Bosch zamierzał przycisnąć go jeszcze raz i sprawdzić, czy dowie się czegoś nowego. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta rano i do zapowiedzianego przez federalnych zebrania na temat sprawy pozostały jeszcze cztery godziny. Było sporo do zrobienia, ale miał dość czasu, by popracować nad Mitfordem.

Pierwsza runda okazała się owocna. Nie miał powodu wątpić, że w drugiej nie zyska nic więcej.

Bosch zobaczył Ignacia Ferrasa pracującego przy biurku. Jego partner siedział odwrócony bokiem i stukał w klawiaturę laptopa ustawionego na wysuwanej blacie. Bosch zauważył, że dobytek Mitforda zniknął, a jego miejsce zajęły nowe torebki z dowodami i teczki pełne dokumentów. Były to wszystkie materiały śledcze, jakie dotąd wyprodukował wydział kryminalistyczny z dwóch miejsc zbrodni.

- Harry, przepraszam cię, nie zdążyłem usiąść i posłuchać - powiedział Ferras. - Wyciągnąłeś coś z tego chłopaka?

- Powoli do czegoś dochodzimy. Zrobiłem sobie przerwę.

Ferras miał trzydzieści lat i sylwetkę sportowca. Na jego biurku stała nagroda za najlepsze wyniki w testach sprawnościowych na roku w akademii policyjnej. Był też przystojny. Miał śniadą skórę i krótko ostrzyżone włosy, spod których spoglądały przenikliwe zielone oczy.

Bosch podszedł do swojego biurka, żeby zadzwonić. Zamierzał jeszcze raz

obudzić porucznika Gandle'a i przekazać mu najnowsze wieści.

- Namierzyłeś już broń ofiary? - zapytał Ferrasa.

- Tak, znalazłem w bazie danych B ATF. Pół roku temu kupił mały rewolwer kaliber dwadzieścia dwa. Smith and Wesson.

Bosch skinął głową.

- Dwudziestkadwójka, pasuje - powiedział. - Bez ran wylotowych.

- Pocisk się melduje, ale nie wymeldowuje.

Ferras wygłosił to niczym slogan z telewizyjnej reklamy i zaśmiał się z własnego dowcipu. Bosch pomyślał o tym, co kryło się pod żartem. Stanleya Kenta ostrzeżono o niebezpieczeństwie, wynikającym z charakteru jego pracy. Kupił więc broń dla ochrony.

Bosch był gotów iść o zakład, że z tej broni do niego strzelano, że zabił go z niej terrorysta, który nacisnął spust z imieniem Allaha na ustach. Co to za świat, myślał Bosch, gdy ktoś ma tyle odwagi, by strzelić do drugiego człowieka, wzywając imienia swojego Boga.

- Kiepski sposób na zejście z tego świata - zauważył Ferras.

Bosch spojrzał na niego ponad połączonymi biurkami.

- Coś ci powiem - rzekł. - Wiesz, czego się nauczysz w tej robocie?

-Czego?

- Że każdy sposób zejścia z tego świata jest kiepski.

9

Bosch poszedł do gabinetu kapitana nalać sobie drugi kubek kawy.

Sięgając do kieszeni po następnego dolara do koszyka, znalazł wizytówkę Brennera i przypomniał sobie, że agent prosił go o informację, gdyby udało im się znaleźć świadka. Ale Bosch właśnie skończył informować

porucznika Gandle'a o tym, co młody Kanadyjczyk widział i słyszał w punkcie widokowym, i razem postanowili, aby na razie zachować zeznania Mitforda w tajemnicy. Przynajmniej do zebrania o dziewiątej, gdy federalni będą musieli odkryć karty. Jeśli szefostwo federalnych nie zamierzało wyłączać policji ze śledztwa, przekonają się o tym w trakcie spotkania. Wówczas będą mogli przystąpić do wymiany. Bosch ujawni relację świadka w zamian za dalszy udział w dochodzeniu.

Tymczasem Gandle zapowiedział, że przekaże wyżej najnowsze ustalenia. Usłyszawszy wiadomość o słowie „Allah”, które pojawiło się w śledztwie, poczuł się w obowiązku poinformować przełożonych o rosnącej wadze sprawy.

Bosch wrócił z pełnym kubkiem kawy do biurka i zaczął przeglądać dowody zebrane z miejsca zbrodni oraz domu, gdzie intruzi przetrzymywali Alicję Kent, podczas gdy jej mąż pojechał wykonać ich polecenie.

Znał już większość przedmiotów znalezionych w punkcie widokowym. Zaczął wyciągać z torebek rzeczy osobiste Stanleya Kenta i uważnie je oglądać. Wszystkie ślady zostały już zabezpieczone przez techników, mógł więc swobodnie ich dotykać.

Pierwszym przedmiotem był należący do fizyka telefon BlackBerry. Bosch nie czuł się zbyt pewnie w świecie urządzeń cyfrowych, do czego przyznawał się bez fałszywej skromności.

Opanował wprawdzie obsługę własnego telefonu komórkowego, ale był to prosty model, który pozwalał mu rozmawiać, zapisywać numery w książce telefonicznej i nic więcej - tak przynajmniej sądził. Dlatego próbując manipulować przy bardziej zaawansowanym aparacie, był bezradny.

- Pomóc ci, Harry?

Bosch uniósł wzrok i zobaczył Ferrasa, który uśmiechał się do niego. Bosch czuł się zakłopotany swoim brakiem umiejętności technicznych, lecz nie do tego stopnia, by odtrącać pomocną dłoń. Wtedy jego słaby punkt zmieniłby się w coś gorszego.

- Wiesz, jak to się obsługuje?

- Pewnie.

- Aparat ma e-mail, prawda?

- Powinien mieć.

Bosch musiał wstać, aby ponad blatami dwóch biurek podać partnerowi telefon.

- Wczoraj około szóstej wieczorem Kent dostał od swojej żony e-mail oznaczony jako pilny. Była w nim fotografia Alicii Kent leżącej na łóżku i związanej. Znajdź to i zobacz, czy dałoby się jakoś wydrukować wiadomość razem ze zdjęciem. Chciałbym je jeszcze raz obejrzeć, ale żeby było trochę większe niż na tym ekraniku.

Zanim Bosch skończył, Ferras już zajął się aparatem BlackBerry.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Wyślę po prostu tego e-maila na swoją skrzynkę. Potem otworzę i wydrukuję.

Ferras zaczął stukać kciukami w miniaturową klawiaturę telefonu, który przypominał Boschowi zabawkę, podobną do elektronicznych gier, jakie widział u dzieci w samolotach. Nie rozumiał, dlaczego ludzie zawsze tak zawzięcie bębnią w swoje telefony. Był pewien, że to rodzaj ostrzeżenia, znak upadku cywilizacji czy ludzkości, nie potrafił jednak precyzyjnie wytłumaczyć przyczyny tego odczucia. Głoszono powszechnie, że technologia cyfrowa to ogromny postęp, lecz Bosch wobec tych haseł



pozostawał sceptyczny.

- Dobra, znalazłem i wysłałem - oznajmił Ferras. - Za parę minut powinien być w mojej skrzynce i zaraz zrobię wydruk. Coś jeszcze?

- Są tam zapisy wykonanych i odebranych połączeń?

Ferras nie odpowiedział. Manipulował przyciskami telefonu.

- Jaki przedział czasu cię interesuje? - zapytał.

-Na razie, powiedzmy, od wczoraj, od mniej więcej południa - odparł Bosch.

- Dobra, znalazłem tę listę. Mam ci pokazać, jak to się obsługuje, czy po prostu podać ci numery?

Bosch wstał i obszedł rząd biurek, by przez ramię partnera spojrzeć na wyświetlacz telefonu.

- Może na razie powiedz ogólnie, jak to wygląda, a potem zajmiemy się tym dokładnie - powiedział. - Gdybyś mnie próbował uczyć, trwałoby to wieki.

Ferras z uśmiechem skinął głową.

- No więc jeżeli łączył się z numerem, który jest w książce telefonicznej, wyświetla się nazwisko albo nazwa przypisana do tego numeru.

- Rozumiem.

- Na liście jest mnóstwo połączeń z całego popołudnia z biurem, różnymi szpitalami i nazwiskami z książki - prawdopodobnie lekarzy, z którymi pracował. Są trzy rozmowy z „Barrym” i przypuszczam, że to jego wspólnik. Sprawdziłem w stanowej ewidencji przedsiębiorstw i firma „Fizyka Medyczna K & K” należy do Kenta i niejakiego Barry'ego Kelbera.

Bosch pokiwał głową.

- Właśnie - rzekł. - Dobrze, że mi przypomniałeś. Musimy z samego rana porozmawiać z jego współnikiem.

Bosch nachylił się nad biurkiem Ferrasa, by wziąć swój notes. Zapisał nazwisko Barry'ego Kelbera, podczas gdy Ferras kontynuował przewijanie listy połączeń.

- Po szóstej Kent zaczyna wydzwaniać na zmianę do domu i pod numer komórki żony. Wydaje mi się, że nie odbierała, bo jest zapis dziesięciu połączeń w ciągu trzech minut. Dzwonił i dzwonił. Chwilę wcześniej dostał tego pilnego e-maila od żony.

Wszystko zaczynało się układać Boschowi w całość. Kent spędzał zwykły dzień w pracy, prowadząc liczne rozmowy z dobrze znanymi ludźmi, gdy nagle dostał e-maila od żony. Zobaczył dołączone do wiadomości zdjęcie i zaczął dzwonić do domu. Żona nie odbierała, co wprawiło go w jeszcze większy popłoch. Wreszcie pojechał zrobić to, co polecono mu w e-mailu. Ale mimo jego starań i posłuszeństwa, i tak został zastrzelony w punkcie widokowym.

- Co poszło nie tak? - zapytał głośno Bosch.

- Co masz na myśli, Harry?

- Zabójstwo w punkcie widokowym. Ciagle nie rozumiem, dlaczego go zabili. Zrobił to, czego chcieli. Dał im ten materiał. Co poszło nie tak?

- Nie wiem. Może go zabili, bo widział twarz jednego z nich.

- Świadek twierdzi, że ten, który do niego strzelał, nosił kominiarkę.

- No to może wszystko poszło dobrze. Może od początku zamierzali go zabić. Zrobili sobie tłumik, pamiętasz? Facet krzyknął „Allah”, a to chyba nie świadczy, że coś poszło nie tak. Świadczy raczej, że taki był

plan.

Bosch skinął głową.

- Dobrze, jeżeli taki był plan, to dlaczego zabili Kenta, a nie żonę? Po co mieliby zostawiać świadka?

- Nie wiem, Harry. Ale ci nawiedzeni muzułmanie mają, zdaje się, jakąś zasadę na temat krzywdzenia kobiet, nie? Że mogą przez to nie osiągnąć nirwany, nie trafić do raju czy jak to się u nich nazywa. Chyba o to chodzi?

Bosch nie odpowiedział na to pytanie, ponieważ nie znał się na praktykach kulturowych, o których ogólnikowo wspomniał jego partner. Ale pytanie podkreślało egzotykę sprawy, z jaką miał do czynienia. Przyzwyczyił się do tropienia morderców, których motywem była chciwość, nieczystość czy inny z siedmiu grzechów głównych. Fanatyzm religijny rzadko pojawiał się na tej liście.

Ferras odłożył telefon i odwrócił się do komputera. Jak wielu detektywów wolał korzystać z własnego laptopa, ponieważ służbowe komputery policyjne były stare i wolne, a większość z nich miała więcej wirusów niż dziwki na Hollywood Boulevard.

Zapisał otwarty dokument i otworzył program pocztowy. E-mail przesłany ze skrzynki Kenta już tam dotarł. Ferras otworzył wiadomość i gwizdnął na widok fotografii nagiej i związanej Alicii Kent.

- Tak, to musiało podzielać - powiedział.

Zrozumiał, dlaczego Kent przekazał sprawcom cez. Ferras był żonaty od niespełna roku i niebawem miało mu się urodzić dziecko. Bosch dopiero poznawał swojego młodego partnera, lecz już wiedział, że bardzo kocha żonę. Pod szybą przykrywającą blat biurka Ferras

miał kochać jej zdjęć ze ślubu. Bosch trzymał pod swoją szybą zdjęcia ofiar morderstw, których sprawców nadal poszukiwał.

- Wydrukuj mi to - powiedział Bosch. - Powiększ, jeżeli się da. I pobaw się jeszcze tym telefonem. Może coś znajdziesz.

Bosch wrócił za swoje biurko i usiadł. Ferras powiększył zdjęcie i wydrukował na kolorowej drukarce znajdującej się w głębi biura. Po chwili przyniósł Boschowi wydruk.

Bosch nałożył już okulary do czytania, ale z szuflady wyciągnął prostokątną lupę, którą kupił, gdy zauważył, że szkła są już za słabe do oglądania drobniejszych szczegółów. Nigdy nie używał lupy, kiedy biuro było pełne detektywów. Nie chciał dawać innym powodów do drwin - nawet gdyby to miały być tylko niewinne żarty.

Położył wydruk na biurku i pochylił się nad nim uzbrojony w lupę. Najpierw obejrzał więzy, którymi skrepowano kończyny kobiety za jej plecami. Intruzi użyli sześciu opasek z zatrzaskiem, nakładając je kolejno na nadgarstki i kostki, piątą łącząc skrepowane nogi, a ostatnią łącząc opaski na rękach z opaską wiążącą nogi.

Bosch odniósł wrażenie, że to zbyt skomplikowany sposób unieruchomienia kończyn kobiety. Sam zrobiłby to inaczej, gdyby próbował szybko związać ofiarę, która zapewne usiłowała stawiać opór. Użyłby mniejszej liczby więzów, żeby wszystko odbyło się prościej i szybciej.

Nie był pewien, co to może oznaczać, jeśli w ogóle cokolwiek oznaczało. Może Alicia Kent wcale się nie szamotała i w zamian za jej uległość napastnicy użyli dodatkowych opasek, aby mniej się męczyła, leżąc związana na łóżku. Wydawało mu się, że dzięki temu jej ręce i nogi były

mniej wygięte, niż gdyby skrepowano ją brutalniej.

Mimo to, przypomniawszy sobie sińce na przegubach Alicii Kent, doszedł do wniosku, że czas, jaki spędziła unieruchomiona na łóżku, nie był dla niej łatwy. Oglądając zdjęcie, był pewien tylko tego, że musi jeszcze raz porozmawiać z Alicią Kent i wydobyć z niej więcej szczegółów na temat tego, co się zdarzyło.

Na czystej kartce w notesie zapisał pytania o więzy. Resztę strony zamierzał wykorzystać na dodatkowe pytania, jakie mu się nasuną podczas przygotowania do dalszego ciągu przesłuchania.

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Kiedy skończył oglądać fotografię, odłożył lupę i zaczął przebiegać wzrokiem raporty kryminalistyczne z oględzin miejsca zbrodni. Tu także nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi, więc szybko przeszedł do protokołów i dowodów z domu Kentów. Razem z Brennerem szybko opuścili dom, spiesząc się do kliniki św. Agaty, dlatego Boscha nie było na miejscu, gdy technicy szukali śladów pozostawionych przez intruzów. Był bardzo ciekaw, co udało im się znaleźć.

Zobaczył jednak tylko jedną torebkę z czarnymi plastikowymi opaskami, którymi skrepowano Alicię Kent i które rozcięła Rachel Walling, aby ją wyswobodzić.

- Chwileczkę - powiedział Bosch, unosząc torebkę z przezroczystej folii. - Tylko to zabezpieczyli w domu Kentów?

Ferras uniósł głowę znad biurka.

- Tylko to mi dali. Sprawdziłeś listę dowodów? Tam powinno być wszystko. Może jeszcze nad czymś pracują.

Bosch przeszukał dokumenty przyniesione przez Ferrasa i po chwili

znalazł spis dowodów. Odnotowywano w nim każdy przedmiot zabrany przez techników z miejsca zdarzenia. Pomagało to śledzić dowody podczas ich przekazywania.

Zobaczył, że w spisie figuruje kilka przedmiotów, które technicy zebrali w domu Kentów, przede wszystkim próbki włosów i włókien. Tego należało się spodziewać, choć nie wiadomo, czy któraś z próbek miała związek z podejrzanymi. Ale w ciągu lat swojej pracy Bosch nigdy jeszcze nie widział nieskazitelnie czystego miejsca zdarzenia. Podstawowe prawo natury mówiło bowiem, że każde przestępstwo pozostawia ślad w otoczeniu - choćby najmniejszy. Zawsze dochodzi do przeniesienia materiału. Trzeba go po prostu znaleźć.

Każda opaska została wpisana na listę pojedynczo, a po nich wymieniono liczne próbki włosów i włókien zebrane z różnych miejsc, od dywanu w sypialni po kratkę ściekową w łazience dla gości. Na liście figurowała także podkładka pod mysz domowego komputera oraz pokrywka obiektywu aparatu Nikon, którą znaleziono pod łóżkiem w sypialni. Ostatnia pozycja najbardziej zaciekała Boscha. Dowód opisano po prostu jako popiół z papierosa.

Bosch nie miał pojęcia, jaką wartość dowodową mógł mieć popiół z papierosa.

- W kryminalistycznym jest jeszcze ktoś z ludzi, którzy działali w domu Kentów? - spytał Ferrasa.

- Pół godziny temu jeszcze byli — odrzekł Ferras. - Buzz Yates i ta kobieta od daktyloskopii, której nazwiska nigdy nie pamiętam.

Bosch podniósł słuchawkę i zadzwonił do biura techników.

- Laboratorium kryminalistyczne, Yates.

- Buzz, właśnie z tobą chciałem pogadać.
  - Kto mówi?
  - Harry Bosch. Chodzi o oględziny domu Kentów. Powiedz mi coś o tym popiele, który tam zebraliście.
  - Ach, tak, papieros spalił się na popiół. Tamta agentka FBI poprosiła mnie, żebym go zebrał.
  - Gdzie był?
  - Znalazła go na spłuczce w łazience dla gości. Jak gdyby ktoś chciał się wysikać i odłożył fajkę, a potem o niej zapomniał. Papieros spalił się do końca i zgasł.
  - Czyli znalazła sam popiół?
  - Zgadza się. Została tylko szara gąsienica. Ale agentka chciała, żebyśmy go zabrali, mówiła, że w jej laboratorium będą mogli coś z tym...
  - Chwileczkę, Buzz. Oddałeś jej dowód rzeczowy?
  - No, tak jakby. Mówiła...
- Co to znaczy „tak jakby”? Oddałeś albo nie. Dałeś agentce Walling popiół z papierosa, który zebrałeś z mojego miejsca zdarzenia?
- Tak - przyznał Yates. - Ale nie bez zastrzeżeń i gwarancji, Harry. Powiedziała, że laboratorium federalnych może przeprowadzić analizę popiołu i ustalić rodzaj tytoniu, co z kolei pozwoli ustalić kraj pochodzenia. My takich cudów nie potrafimy, Harry. Nie mogliśmy nawet tego tknąć. Powiedziała, że to dowód istotny dla śledztwa, bo być może sprawcami są terroryści spoza kraju. No więc musiałem się zgodzić. Opowiadała, że kiedyś rozpracowała sprawę podpalenia, gdzie znaleźli drobinę popiołu z papierosa, od którego wybuchł pożar. Udało się im określić markę papierosów i powiązać ją z jednym z podejrzanych.

- A ty jej uwierzyłeś.
  - No... tak, uwierzyłem.
- 1 dałeś jej mój dowód.

Bosch powiedział to zrezygnowanym tonem.

- Harry, to nie był twój dowód. Przecież wszyscy gramy w jednej drużynie, nie?
- Tak, Buzz, gramy.

Bosch odłożył słuchawkę i zaklął. Ferras spytał, co się stało, lecz jego partner zbył pytanie machnięciem ręki.

- Typowe federalne wciskanie kitu.
- Harry, zdążyłeś się trochę przespać przed wezwaniem?

Bosch spojrzał na siedzącego naprzeciw partnera. Doskonale wiedział, do czego Ferras zmierza, zadając to pytanie.

- Nie - odrzekł. - Nie spałem. Ale wkurzam się na FBI nie z powodu braku snu. Znam tę robotę dłużej, niż ty chodzisz po ziemi. Wiem, jak sobie poradzić z niewyspaniem.

Uniósł kubek z kawą.

- Zdrówko - dodał.
- Mimo to nie jest dobrze - odparł Ferras. - Niedługo zaczniesz lecieć z nóg, partnerze.
- Nie martw się o mnie.
- W porządku, Harry.

Bosch wrócił do rozmyślań o popiele.

- Co ze zdjęciami? - spytał Ferrasa. - Masz już zdjęcia z domu Kentów?
- Tak, gdzieś tu są.



Ferras przerzucił dokumenty na biurku, wyciągnął z nich teczkę z fotografiami i podał mu. Bosch szybko odnalazł trzy zdjęcia zrobione w łazience dla gości. Widok całej łazienki, ujęcie toalety, na którym był widoczny popiół na pokrywie spłuczki, oraz zbliżenie szarej gąsienicy, jak nazwał ją Buzz.

Bosch rozłożył na biurku trzy fotografie, ponownie wziął lupę i zaczął je studiować. Robiąc zbliżenie popiołu, fotograf położył na spłuczce linijkę, aby pokazać skalę ujęcia. Popiół miał prawie pięć centymetrów długości, prawie tyle co cały papieros.

- Zobaczylesz już coś, Sherlocku? - zapytał Ferras.

Bosch uniósł głowę. Partner uśmiechał się do niego. Bosch nie odpowiedział uśmiechem, dochodząc do wniosku, że nie może już używać lupy nawet w obecności partnera, nie narażając się na docinki.

- Jeszcze nie, Watsonie - odparował.

Miał nadzieję, że to uciszy Ferrasa. Nikt nie chciał być Watsonem.

Oglądając zdjęcie toalety, zauważył podniesioną deskę sedesową. Oznaczało to, że z łazienki korzystał mężczyzna. Popiół z papierosa świadczył z kolei, że był to jeden z intruzów. Bosch przyjrzał się ścianie nad toaletą. Wisiała na niej niewielka fotografia w ramach przedstawiająca zimowy krajobraz. Widok bezlistnych drzew i stalowoszarego nieba przywodził Boschowi na myśl Nowy Jork czy inne wschodnie okolice.

Zdjęcie przypomniało mu sprawę, którą zamknął przed rokiem, gdy pracował jeszcze przy sprawach otwartych i niewyjaśnionych. Podniósł słuchawkę i jeszcze raz zadzwonił do kryminalistyki. Kiedy zgłosił się Yates, Bosch poprosił do telefonu osobę, która zdejmowała odciski palców

w domu Kentów.

- Chwileczkę - powiedział Yates.

Widocznie nadal był zły na Boscha z powodu wcześniejszej rozmowy, ponieważ nie spieszył się z wezwaniem technika. Bosch czekał cztery minuty, oglądając przez lupę zdjęcia z domu Kentów.

- Mówi Wittig - odezwał się w końcu kobiecy głos.

Bosch znał ją z poprzednich spraw.

- Andrea, tu Harry Bosch. Chcę cię zapytać o dom Kentów.

- O co konkretnie?

- Sprawdzałaś laserem łazienkę dla gości?

- Oczywiście. Tam, gdzie znaleźli popiół i sedes był otwarty? Tak, sprawdziłam.

- Było coś?

- Nie, nic. Wytarte do czysta.

- A ściana nad toaletą?

- Tak, też sprawdziłam. Nic nie znalazłam.

- Tylko tyle chciałem wiedzieć. Dzięki, Andrea.

- Powodzenia.

Bosch odłożył słuchawkę i spojrzał na fotografię popiołu. Coś w tym zdjęciu nie dawało mu spokoju, lecz nie był pewien co.

- Harry, dlaczego pytałeś o ścianę nad toaletą?

Bosch popatrzył na Ferrasa. Zostali partnerami między innymi po to, aby bardziej doświadczony detektyw mógł wprowadzać w arkana pracy śledczej niedoświadczonego detektywa. Bosch postanowił odłożyć na bok dowcipy o Sherlocku Holmesie i opowiedzieć mu dawną historię.

- Skojarzyłem to z pewną sprawą z Wilshire sprzed trzydziestu lat.

Znaleziono utopioną w wannie kobietę i jej psa. W całym domu odciski palców zostały dokładnie wytarte, ale deska sedesowa była podniesiona. Stąd prowadzący śledztwo wiedzieli, że szukają mężczyzny. Toaleta też została wytarta do czysta, ale na ścianie za nią znaleźli odcisk dłoni. Facet musiał skorzystać i sikając, oparł się ręką o ścianę. Na podstawie wysokości odcisku ustalili jego wzrost. Domyślili się też, że jest leworęczny.

- Jak?

- Bo na ścianie był odcisk prawej dłoni. Doszli do wniosku, że facet zwykle trzyma fiuta ręką, którą lepiej się posługuje.

Ferras przytaknął skinieniem głowy.

- Czyli zidentyfikowali podejrzanego na podstawie odcisku dłoni?

- Tak, ale dopiero trzydzieści lat później. Zamknęliśmy sprawę w zeszłym roku, w otwartych i niewyjaśnionych. Wtedy w bankach danych nie było zbyt wielu odcisków dłoni. Kiedy ja i moja partnerka dostaliśmy tę sprawę, wrzuciliśmy odcisk do komputera. I trafiliśmy. Namierzyliśmy tego faceta w Ten Thousand Palms na pustyni i pojechaliśmy go zdjąć. Zanim zdążyliśmy go aresztować, wyciągnął broń i się zastrzelił.

- Kurczę. Czyli nie mieliście nawet okazji z nim pogadać.

- Właściwie nie. Ale byliśmy pewni, że to on. Popęłił samobójstwo na naszych oczach i wziąłem to za dowód winy.

- Nie, jasne. Chodzi mi tylko o to, że chętnie pogadałbym z tym gościem i spytał go, dlaczego zabił psa.

Bosch przez chwilę przyglądał się partnerowi.

- Gdyby się nam udało pogadać, chyba bardziej interesowałoby nas, dlaczego zabił tę kobietę.

- Tak, wiem. Zastanawiam się po prostu, dlaczego pies, rozumiesz?
- Chyba się bał, że pies mógłby go zidentyfikować. Wiesz, pies go znał i mógłby zareagować na jego zapach. Facet nie chciał ryzykować.

Ferras pokiwał głową na znak, że przyjmuje wyjaśnienie. Bosch właśnie to wymyślił. W trakcie śledztwa pytanie o psa w ogóle nie padło.

Ferras wrócił do pracy, a Bosch odchylił się na krześle, zastanawiając się nad szczegółami sprawy. Na razie sprowadzały się do gmatwaniny myśli i zagadek. Spośród nich na pierwszy plan wybijało się podstawowe pytanie: dlaczego Stanley Kent został zamordowany. Alicia Kent twierdziła, że napastnicy mieli twarze zasłonięte kominiarkami. Jesse Mitford mówił, że człowiek, który zabił Stanleya Kenta w punkcie widokowym, miał kominiarkę. Boschowi nasuwały się pytania: po co strzelać do Stanleya Kenta, jeśli ten nie potrafiłby nawet zidentyfikować sprawcy? I po co zakładać kominiarkę, jeśli od początku planowano go zabić? Przypuszczał, że nałożenie kominiarek było sztuczką, żeby dać Kentowi fałszywe poczucie bezpieczeństwa i skłonić go do współpracy. Ten wniosek też jednak budził wątpliwości.

Bosch znów odłożył pytania na bok, uznając, że ma za mało informacji, by szukać właściwych odpowiedzi. Pociągnął łyk kawy i był gotów do drugiej tury przesłuchania Jessego Mitforda. Najpierw jednak wyciągnął telefon. Od sprawy Echo Park wciąż miał w nim zapisany numer Rachel Walling. Postanowił nigdy go nie usuwać.

Wcisnął przycisk i zadzwonił do niej, przygotowując się na to, że zostanie natychmiast rozłączony. Numer nadal działał, lecz usłyszał tylko nagrany głos Rachel, która prosiła, by zostawił wiadomość po sygnale.

- Tu Harry Bosch - powiedział. - Muszę z tobą pogadać i chcę dostać

popiół z papierosa. To było moje miejsce zbrodni.

Zakończył połączenie. Wiedział, że wiadomość ją zdenerwuje, może nawet rozwścieczy. Wiedział, że zmierza ku nieuchronnej konfrontacji z Rachel i biurem, której prawdopodobnie mógłby bez trudu uniknąć.

Ale Bosch nie potrafił ustąpić pola federalnym. Nawet dla Rachel i wspomnień o tym, co ich kiedyś łączyło. Nawet dla nadziei na ich wspólną przyszłość, którą wciąż nosił w sobie jak numer w pamięci telefonu komórkowego.

10

Bosch i Ferras wyszli z hotelu Mark Twain i przystanęli przed drzwiami, oglądając poranek. Światło zaczynało dopiero wypełzać na niebo. Znad oceanu unosiła się gęsta, szara masa wilgotnego powietrza, pogrążając ulice w głębokim półmroku. Los Angeles wyglądało jak miasto duchów, ale Boschowi w ogóle to nie przeszkadzało. Potwierdzało jego punkt widzenia.

- Myślisz, że tu zostanie? - zapytał Ferras.

Bosch wzruszył ramionami.

- I tak nie ma dokąd iść - odrzekł.

Właśnie zameldowali swojego świadka w hotelu pod nazwiskiem Stephen King. Jesse Mitford stał się ich cennym atutem. Był asem w rękawie Boscha. Choć Mitford nie potrafił podać rysopisu człowieka, który zastrzelił Stanleya Kenta i zabrał cez, potrafił szczegółowo opowiedzieć śledczym, co się zdarzyło w punkcie widokowym. Mógł się też przydać, gdyby udało się doprowadzić do aresztowania i procesu. Jego zeznanie mogło posłużyć jako relacja z przebiegu zbrodni. Na jej podstawie

prokurator mógł przedstawić przysięgłym dokładny obraz wypadków, dlatego Mitford był cenny, bez względu na to, czy potrafił zidentyfikować mordercę.

Po konsultacji z porucznikiem Gandle'em postanowiono, że nie powinni tracić z oczu młodego włóczęgi. Gandle zgodził się sfinansować czterodniowy pobyt Mitforda w hotelu. Uznali, że do tego czasu będą już wiedzieć, w którą stronę zmierza sprawa.

Bosch i Ferras wsiedli do forda crown victoria, wypożyczonego wcześniej przez Ferrasa, i ruszyli Wilcox w kierunku Sunset Boulevard. Bosch siedział za kierownicą. Na czerwonym świetle wyciągnął komórkę. Rachel Walling jeszcze się nie odezwała, więc

zadzwoił pod numer, który mu dał jej partner. Brenner odebrał natychmiast, a Bosch zaczął ostrożnie:

- Chciałem się tylko dowiedzieć, co słyhać. Dalej jesteście umówieni na zebranie o dziewiątej?

Przed przekazaniem Brennerowi najnowszych informacji musiał się upewnić, czy wciąż uczestniczy w śledztwie.

- Mhm, tak... tak, jesteście umówieni, ale zebranie zostało przełożone.

- Na kiedy?

- Chyba na dziesiątą. Damy ci znać.

Z tonu jego odpowiedzi trudno było wywnioskować, że decyzja o spotkaniu z policją rzeczywiście zapadła. Bosch postanowił go przycisnąć.

- Gdzie to się odbędzie? W taktycznym?

Z poprzedniej współpracy z Walling Bosch wiedział, że wydział wywiadu taktycznego pracuje w tajnym miejscu, poza siedzibą FBI. Chciał sprawdzić, czy Brenner puści farbę.

- Nie, w budynku federalnym w centrum. Na czternastym piętrze. Wystarczy zapytać o zebranie taktycznego. I co, świadek w czymś pomógł?

Bosch postanowił nie odsłaniać kart, dopóki nie będzie wiedział, na czym konkretnie stoi.

- Widział strzelaninę z daleka. Potem zobaczył, jak zabierają cez. Powiedział, że jeden człowiek zrobił wszystko, zabił Kenta, a potem przeniósł świnie z porsche do bagażnika innego samochodu. Ten drugi siedział w swoim wozie i tylko się przyglądał.

- Podał ci jakieś numery rejestracyjne?

- Nie, żadnych numerów. Do transportu materiału wykorzystali prawdopodobnie samochód Alicii Kent. Nie chcieli zostawiać śladów cezu w swoim wozie.

- Wiemy coś o podejrzanym, którego widział świadek?

- Tak jak powiedziałem, nie umiałby go zidentyfikować. Facet ciągle miał na twarzy kominiarkę. Poza tym nic.

Brenner zamilkł na chwilę.

- To pech - powiedział w końcu. - Co z nim zrobiliście?

- Z chłopakiem? Właśnie wysadziliśmy go z samochodu.

- Gdzie mieszka?

- W Halifaksie w Kanadzie.

- Bosch, przecież wiesz, o co mi chodzi.

Bosch wyczuł u niego zmianę tonu. I zwrócił uwagę, że zwrócił się do niego po nazwisku. Nie sądził, by Brenner pytał mimochodem o miejsce pobytu Mitforda.

- Nie ma tu żadnego stałego adresu - odparł. - To włóczęga.

Podwieźliśmy go do Danny'ego na Sunset. Tam sobie zażyczył. Daliśmy mu dwie dychy na śniadanie.

Bosch poczuł na sobie wzrok Ferrasa.

- Możesz chwilę poczekać, Harry? - spytał Brenner. - Mam drugi telefon. To może być Waszyngton.

Wracamy do imion, pomyślał Bosch.

- Jasne, Jack, ale możemy się po prostu rozłączyć.

- Nie, zaczekaj.

Bosch usłyszał w słuchawce muzykę i spojrzał na Ferrasa. Jego partner zaczął:

- Dlaczego powiedziałeś mi, że...

Bosch położył palec na ustach i Ferras urwał.

- Wstrzymaj się na moment.

Minęło pół minuty. W telefonie rozbrzmiała saksofonowa wersja „What a Wonderful World”. Bosch zawsze uwielbiał ten fragment o ciemnej świętej nocy.

Wreszcie zapaliło się zielone światło i Bosch skręcił w Sunset Boulevard.

Po chwili w słuchawce odezwał się głos Brennera.

- Harry? Przepraszam. Dzwonili z Waszyngtonu. Możesz sobie wyobrazić, jak się na to rzucili.

Bosch postanowił coś z niego wyciągnąć.

- Co nowego u was?

- Niewiele. Departament Bezpieczeństwa wysła grupę helikopterów ze sprzętem do wykrywania śladów materiałów radioaktywnych. Zaczną w punkcie widokowym i spróbują poszukać promieniowania charakterystycznego dla cezu. Ale prawda jest taka, że aby odebrali



sygnał, ktoś musiałby wyciągnąć cez ze świni. My tymczasem organizujemy konferencję, żeby uzgodnić plan działania.

- Tylko tyle dokonały potężne siły rządowe?

- Dopiero się organizujemy. Mówiłem ci, jak to będzie wyglądać. Alfabetyczny bigos.

- Zgadza się. Nazwałeś to pandemonium. Federalni są w tym mistrzami.

- Nie, nie jestem pewien, czy to wszystko powiedziałem. Ale nie można zapominać o krzywej uczenia się. Wydaje mi się, że po zebraniu ruszymy do akcji całą parą.

Bosch nie miał już wątpliwości, że coś się zmieniło. Wykrętna odpowiedź Brennera świadczyła, że albo rozmowa jest nagrywana, albo ktoś ją podsłuchuje.

- Do zebrania zostało jeszcze parę godzin - ciągnął Brenner. - Co zamierzasz teraz zrobić, Harry?

Bosch zawahał się, lecz tylko przez chwilę.

- Zamierzam wrócić do domu i jeszcze raz porozmawiać z panią Kent. Mam parę nowych pytań. Potem pojedziemy do biura Kenta w południowej wieży centrum medycznego Cedars. Musimy je obejrzeć i pogadać z jego współlnikiem.

Odpowiedziała mu cisza. Bosch dojeżdżał do baru „Denny's” na Sunset. Wjechał na parking i zatrzymał samochód. Przez okna zobaczył, że czynna przez całą dobę restauracja jest prawie pusta.

- Jesteś tam, Jack?

- Hm, tak, Harry, jestem. Słuchaj, to prawdopodobnie nie będzie konieczne, żebyś jechał do domu, a potem biura Kenta.

Bosch pokręcił głową. Wiedziałem, pomyślał.

- Wszystkich już zgarnęliście, co?
- Nie ja o tym decydowałem. W każdym razie o ile wiem, biuro było czyste, a wspólnika Kenta mamy u siebie i właśnie jest przesłuchiwany. Panią Kent sprowadziliśmy tu zapobiegawczo. Z nią też jeszcze rozmawiamy.
- Nie ty decydowałeś? To kto, Rachel?
- Nie zamierzam wdawać się w detale, Harry.

Bosch wyłączył silnik, zastanawiając się, jak zareagować.

- Wobec tego może powinniśmy pojechać z moim partnerem do centrum na to zebranie - powiedział w końcu. - To ciągle jest śledztwo w sprawie zabójstwa. I z tego, co wiem, wciąż je prowadzę.

Zanim Brenner odpowiedział, upłynęła długa chwila ciszy.

- Słuchaj, detektywie, sprawa przybiera poważniejsze rozmiary. Zostałeś zaproszony na konferencję na temat aktualnej sytuacji. Ty i twój partner. W trakcie spotkania dowiesz się, co pan Kelber miał nam do powiedzenia i kilku innych rzeczy. Jeżeli pan Kelber nadal będzie u nas, postaram się, żebyś mógł z nim porozmawiać. Również z panią Kent. Ale żeby wszystko było jasne, zabójstwo nie jest tu najważniejsze. Kwesta ustalenia mordercy Stanleya Kenta nie jest najważniejsza. Najważniejsze jest odnalezienie cezu, a mamy już prawie dziesięć godzin spóźnienia.

Bosch doskonale o tym wiedział.

- Mam przeczucie, że jeżeli znajdziemy mordercę, znajdziemy cez - rzekł.
- Być może - odparł Brenner. - Ale doświadczenie pokazuje, że ten materiał błyskawicznie zmienia właściciela. Wędruje z ręki do ręki.

Śledztwo musi się toczyć szybko. Nad tym właśnie pracujemy. Chcemy, żeby nabrało szybkości. I nie pozwolimy, żeby ktoś zwalniał jego tempo.

- Kmioty z policji.
- Wiesz, co mam na myśli.
- Jasne. Do zobaczenia o dziesiątej, agencie Brenner.

Bosch zamknął telefon i zaczął wysiadać. Gdy razem z Ferrasem przecięli parking i dochodzili do drzwi restauracji, partner zasypał go gradem pytań.

- Dlaczego skłamałeś mu o świadku, Harry? Co się dzieje? Po co tu przyjechaliśmy?

Bosch uspokajającym gestem uniósł ręce.

- Chwileczkę, Ignacio. Cierpliwości. Usiądziemy, napijemy się kawy, może coś przekąsimy i zaraz ci powiem, co się dzieje.

Mogli niemal swobodnie wybrać sobie miejsce. Bosch ruszył do stolika w rogu, z którego był widok na drzwi wejściowe. Kelnerka podeszła do nich dość szybko. Była to stara jędza o stalowoszarych włosach upiętych w ciasny kok. Nocna harówka u Danny'ego w Hollywood zgasła życie w jej oczach.

- Harry, kopę lat - powiedziała.
- Cześć, Peggy. Chyba już dawno nie pracowałem nad sprawą przez całą noc.
- To witaj z powrotem. Co podać, tobie i twojemu znacznie młodszemu partnerowi?

Bosch puścił przytyk mimo uszu. Zamówił kawę, grzanki i średnio wysmażone jajka sadzone. Ferras zamówił omlet z białek i latte. Kiedy kelnerka z kpiącym uśmieszkiem poinformowała go, że jedno i drugie jest niewykonalne, musiał się zadowolić jajecznicą i zwykłą kawą. Gdy

odeszła od ich stolika, Bosch odpowiedział na pytania Ferrasa.

- Wyłączają nas z gry - powiedział. - To się właśnie dzieje.

- Na pewno? Skąd wiesz?

- Bo zgarnęli żonę i współnika ofiary i dam sobie rękę uciąć, że nie pozwolą nam z nimi porozmawiać.

- Harry, powiedzieli ci to? Mówili, że nie będziemy mogli z nimi porozmawiać? Gra idzie o dużą stawkę. Chyba reagujesz trochę paranoicznie. Pochopnie wyciągasz...

-Doprawdy? Będziesz miał się okazję przekonać, partnerze. Na własne oczy.

- Idziemy na to zebranie o dziewiątej, nie?

- Podobno. Tyle że zostało przesunięte na dziesiątą. Prawdopodobnie zrobią z niego szopkę specjalnie dla nas. Niczego nam nie powiedzą. Zamydlą nam oczy i odstawią na boczny tor. „Wielkie dzięki, chłopaki, ale resztą zajmiemy się sami”. Niech to sobie wsadzą. Chodzi o zabójstwo i nikt, nawet FBI, nie zabierze mi tej sprawy.

- Odrobinę zaufania, Harry.

- Ufam tylko sobie. Nikomu innemu. Już to przerabiałem. Wiem, czym to się kończy. Można by sobie pomyśleć, kogo to właściwie obchodzi? Niech prowadzą sprawę. Ale mnie bardzo to obchodzi. Nie wierzę, że porządnie to zrobią. Im zależy na cezie. Mnie na tych draniach, którzy przez dwie godziny terroryzowali Stanleya Kenta, a potem rzucili go na kolana i wpakowali mu dwie kulki w głowę.

- Różnica polega na tym, że chodzi o bezpieczeństwo państwa, Harry. O wyższe dobro. Wiesz, o dobro porządku.

Bosch odniósł wrażenie, jak gdyby Ferras cytował fragment podręcznika z

akademii albo zbioru zasad jakiegoś tajnego stowarzyszenia. Nic go to nie obchodziło. Miał własne zasady.

- Dobro porządku zaczyna się od zastrzelonego faceta leżącego w punkcie widokowym. Jeżeli o nim zapomnimy, możemy zapomnieć o całej reszcie.

Zdenerwowany dyskusją z partnerem, Ferras wziął solniczkę i obracał ją w dłoniach, rozsypując sól na stoliku.

- Nikt o tym nie zapomina, Harry. Mam na myśli priorytety. Jestem pewien, że kiedy na zebraniu wyjdą konkrety, podzielą się z nami wszystkimi informacjami na temat zabójstwa.

Bosch czuł się coraz bardziej zirytowany. Próbował chłopaka czegoś nauczyć, lecz chłopak w ogóle nie słuchał.

- Powiem ci coś o wymianie informacji z federalnymi - rzekł. - Jeżeli chodzi o informacje, to FBI żre jak słoń, ale sra jak mysz. Nie rozumiesz? Nie będzie żadnego zebrania. Wymyślili je, żeby nas trzymać w garści do dziewiątej, teraz już do dziesiątej, żebyśmy cały czas wierzyli, że ciągle jesteśmy w drużynie. Ale kiedy się u nich zjawimy, znowu przełożą zebranie, potem jeszcze raz, aż w końcu machną nam przed nosem jakimś schematem organizacyjnym, z którego będzie wynikać, że jesteśmy w grze, podczas gdy naprawdę już nas wygryźli i uciekli tylnymi drzwiami. Ferras kiwał głową, jak gdyby brał to sobie do serca. Kiedy się jednak odezwał, wydawało się, że nie usłyszał ani słowa.

- Mimo to sądzę, że nie powinniśmy ich okłamywać w sprawie świadka. Może się okazać dla nich bardzo cenny. A gdyby jego zeznania potwierdziły coś, o czym już wiedzą? Co nam szkodzi powiedzieć im, gdzie jest? Możliwe, że wyciągnęliby z niego coś więcej. Kto wie?

Bosch stanowczo pokręcił głową.

- Cholera, nie ma mowy. Jeszcze nie. Świadek jest nasz i go nie oddamy. Wymienimy go na udział w śledztwie i informacje albo zachowamy dla siebie.

Kelnerka przyniosła talerze, zerknęła na rozsypaną na stole sól, przeniosła wzrok na Ferrasa, a potem na Boscha.

- Harry, wiem, że jest młody, ale nie mógłbyś go lepiej wychować?

- Staram się, Peggy. Tylko ci młodzi w ogóle nie chcą słuchać.

- Może i tak.

Odeszła od stolika, a Bosch natychmiast zabrał się do jedzenia, trzymając w jednej ręce widelec, a w drugiej grzanekę. Umierał z głodu i miał przeczucie, że niedługo coś się zacznie dziać. Nie wiadomo, kiedy następnym razem będą mieli czas na posiłek.

Był w połowie śniadania, gdy zobaczył czterech mężczyzn w ciemnych garniturach, wchodzących do restauracji zdecydowanym krokiem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że to federalni. Bez słowa rozdzielili się na dwójki i ruszyli w głąb sali.

W lokalu było około dziesięciu osób, w większości striptizerki ze swoimi chłopakami alfonsami, wracający do domu z klubów czynnych do czwartej, nocne towarzystwo Hollywood, które wrzucało coś na ruszt przed pójściem spać. Bosch spokojnie jadł dalej, przyglądając się, jak ludzie w garniturach przystają przy każdym stoliku, pokazują legitymacje i proszą o dokumenty. Ferras nie zauważył, co się dzieje, pochłonięty polewaniem jajecznicy sosem chili. Bosch pochwycił jego spojrzenie i ruchem głowy wskazał agentów.

Większość klientów siedzących w odległych punktach restauracji była zbyt

zmęczona lub wstawiona, by protestować, więc posłusznie wyciągali dokumenty. Jakaś młoda kobieta z wygoloną z boku głowy literą Z zaczęła pyskować na dwóch agentów, lecz oni szukali mężczyzny, więc nie zwracając na nią uwagi, czekali, aż jej chłopak z identycznym Z na głowie pokaże im dowód tożsamości.

Wreszcie dwaj mężczyźni zbliżyli się do stolika w rogu. Z legitymacji wynikało, że są to agenci FBI Ronald Lundy i John Parkyn. Zignorowali Boscha, ponieważ był za stary, i poprosili Ferrasa o dowód tożsamości.

- Kogo szukacie? - zapytał Bosch.

- To sprawa rządowa, proszę pana. Musimy po prostu sprawdzić dokumenty.

Ferras otworzył portfel. Po jednej stronie miał legitymację ze zdjęciem, a po drugiej odznakę detektywa. Na ten widok agenci zamarli.

- Zabawne - powiedział Bosch. - Jeżeli zagłądacie w dokumenty, to znacie nazwisko. Przecież nie podałem agentowi Brennerowi nazwiska świadka. Naprawdę ciekawe. Czyżby przypadkiem wywiad taktyczny podrzucił nam jakąś pluskwę do biura albo komputera?

Lundy, który najwyraźniej dowodził akcją, spojrzał prosto w twarz Boscha. Miał oczy szare jak kamienie.

- A pan to kto? - zapytał.

- Też mam się wylegitymować? Dawno już nikt nie wziął mnie za dwudziestolatka, ale potraktuję to jako komplement.

Wyciągnął portfel z odznaką i zamknięty podał Lundy'emu. Agent otworzył go i bardzo uważnie obejrzał zawartość. Nie spieszył się.

- Hieronimus Bosch - odczytał z legitymacji. - Czy to nie był taki szurnięty malarz? A może pomyliło mi się z jedną z tych mend, o których

czytałem w porannych raportach?

Bosch uśmiechnął się do niego.

- Niektórzy uważają tego malarza za mistrza okresu renesansu.

Lundy rzucił odznakę na talerz Boscha. Bosch nie dokończył jajek, ale na szczęście żółtka były za bardzo wysmażone.

- Nie wiem, co tu jest grane, Bosch. Gdzie jest Jesse Mitford?

Bosch wziął portfel i serwetką starł z niego resztki jajka. Nie spiesząc się, schował go do kieszeni i popatrzył na Lundy'ego.

- A kto to jest Jesse Mitford?

Lundy pochylił się, kładąc ręce na blacie.

- Dobrze wiesz, kto to jest. Musimy go zabrać.

Bosch skinął głową, jak gdyby doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

- O Mitfordzie i innych rzeczach porozmawiamy na zebraniu o dziesiątej. Gdy tylko skończę przesłuchiwać żonę i współnika Kenta.

Lundy posłał mu uśmiech, w którym nie było cienia wesołości ani życzliwości.

- Wiesz co, stary? Kiedy to się skończy, sam będziesz potrzebował okresu renesansu.

Bosch znów się uśmiechnął.

- Do zobaczenia na zebraniu, agencie Lundy. Tymczasem pozwolisz, że skończymy jeść. Idźcie zwracać głowę komuś innemu, co?

Bosch wziął nóż i zaczął smarować ostatnią grzanekę dżemem truskawkowym z plastikowego pojemniczka.

Lundy wyprostował się i wycelował palec w pierś Boscha.

- Lepiej uważaj, Bosch.



Po tych słowach odwrócił się i skierował w stronę drzwi. Dał znak pozostałym agentom, wskazując im wyjście. Bosch przyglądał się, jak wychodzą.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział.

11

Słońce nie wychynęło jeszcze zza wzgórz, ale niebo rozjaśniło się już blaskiem świtu. W punkcie widokowym na Mulholland nie zostało ani śladu po tragedii, jaka się tu rozegrała poprzedniego wieczoru. Nawet śmieci, jakie zwykle pozostawały po zabezpieczonym miejscu zbrodni - gumowe rękawiczki, kubki po kawie i żółta taśma - zostały uprzątnięte lub rozwiane przez wiatr. Wyglądało to tak, jakby nikt nie zastrzelił Stanleya Kenta i nie porzucił jego zwłok na cyplu wzniesienia, skąd rozpościerał się widok z lotu ptaka na miasto. Bosch w ciągu swojej służby prowadził setki śledztw w sprawie morderstwa. Nie mógł się jednak nadziwić, z jaką łatwością miasto leczyło się z ran - przynajmniej na pozór - i wracało do normalnego życia. Jak gdyby nigdy nic się nie stało.

Bosch kopnął pomarańczowy żwir, przyglądając się, jak kamyki spadają z krawędzi urwiska i znikają w zaroślach poniżej. Podjął decyzję i zawrócił w stronę samochodu. Ferras patrzył na niego.

- Co chcesz zrobić? - zapytał.

- Wchodzę do akcji. Jeżeli idziesz ze mną, wsiadaj.

Ferras po chwili wahania pobiegł truchtem za Boschem. Wsiadli do crown victorii i pojechali na Arrowhead Drive. Bosch wiedział, że Alicia Kent jest u federalnych, ale wciąż miał klucze znalezione w porsche jej męża.

Wóz federalnych, który zauważyli przed dziesięcioma minutami, jadąc w

drugą stronę, nadal stał przed domem Kentów. Bosch zaparkował na podjeździe, wysiadł i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi frontowych. Nie zwracał uwagi na samochód na ulicy, nawet gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Gdy odnalazł właściwy klucz i wsunął do zamka, za ich plecami rozległ się gromki głos:

- FBI. Stać!

Bosch położył dłoń na klamce.

- Nie otwierać drzwi.

Bosch odwrócił się i spojrzał na mężczyznę idącego chodnikiem w ich stronę. Wiedział, że do obserwacji domu wyznaczono człowieka stojącego na najniższym szczeblu drabiny wywiadu taktycznego, jakiegoś partacza albo agenta o złej reputacji. Mógł to wykorzystać.

- Policja, specjalna sekcja zabójstw - powiedział. - Chcemy tu tylko dokończyć robotę.

- Niczego nie będziecie kończyć - odparł agent. - FBI przejęło sprawę i odtąd będzie prowadzić wszystkie czynności śledcze.

- Przykro mi, nie dostałem żadnej notatki na ten temat - rzekł Bosch. - Jeśli pozwolisz.

Odwrócił się do drzwi.

- Nie otwieraj - ostrzegł znowu agent. - Sprawa dotyczy bezpieczeństwa państwowego. Zapytajcie kierownictwa.

Bosch pokręcił głową.

- Może ty masz kierownictwo. Ja mam przełożonych.

- Wszystko jedno. Nie wejdziecie do tego domu.

- Harry - zaczął Ferras - może jednak...

Bosch machnął ręką, uciszając go. Ponownie spojrzał na agenta.

- Pokaż mi jakiś papier - zażądał.

Agent przybrał poirytowaną minę i wyciągnął legitymację. Otworzył ją i pokazał. Bosch tylko na to czekał. Chwycił agenta za nadgarstek i błyskawicznie się obrócił. Ciało agenta runęło naprzód, a Bosch przedramieniem przygwoździł go twarzą do drzwi, zakładając mu na plecy rękę - tę, w której wciąż ścisnął legitymację.

Agent zaczął się szamotać i protestować, ale już było za późno. Bosch oparł się o niego barkiem, dociskając go do drzwi, i wolną rękę wsunął mu pod marynarkę. Wymacał kajdanki, zerwał je jednym szarpnięciem i zaczął mu nakładać.

- Harry, co ty wyprawiasz? - krzyknął Ferras.

- Mówiłem ci. Nikt nie odstawi nas na boczny tor.

Kiedy już skuł agentowi ręce za plecami, wyrwał mu legitymację z dłoni. Otworzył ją i przeczytał nazwisko. Clifford Maxwell. Bosch obrócił go do siebie i wepchnął mu legitymację do bocznej kieszeni marynarki.

- Twoja kariera jest skończona - oznajmił mu spokojnie Maxwell.

- Co ty powiesz.

Maxwell spojrzał na Ferrasa.

- Jeżeli na to pozwolisz, ciebie też spuszcza - dodał. - Lepiej się zastanów.

- Zamknij się, ClitY - poradził Bosch. - Jeżeli kogoś spuszcza, to tylko ciebie, kiedy wrócisz do taktycznego i opowiesz, jak się dałeś podejść dwóm kmiotom z policji.

To go skutecznie uspokoiło. Bosch otworzył drzwi i wprowadził agenta do środka. Brutalnie posadził go na pluszowym fotelu w salonie.

- Usiądź - powiedział. -I zamknij gębę.

Rozpiął Maxwellowi marynarkę, chcąc sprawdzić, gdzie ma broń. Nosił pistolet w kaburze typu „motyl” pod lewą pachą. Mając ręce skute za plecami, nie potrafiłby go dosięgnąć. Bosch przeszukał nogawki, sprawdzając, czy nie ma ukrytej zapasowej broni. Usatysfakcjonowany odsunął się od agenta.

- Teraz możesz sobie odpocząć - powiedział. - To nie potrwa długo.

Ruszył w głąb korytarza, dając znak partnerowi, by poszedł za nim.

- Zaczynaj od gabinetu, ja zacznę w sypialni - polecił. - Interesuje nas cokolwiek. Wszystko, co się rzuca w oczy. Sprawdź komputer. Gdybyś znalazł coś dziwnego, mów.

- Harry.

Bosch przystanął w korytarzu i spojrzał na Ferrasa. Jego młodszy partner był wyraźnie przestraszony. Bosch pozwolił mu mówić, mimo że Maxwell mógł go usłyszeć z salonu.

- Nie powinniśmy tego robić w ten sposób - rzekł Ferras.

-A jak powinniśmy to zrobić, Ignacio? Załatwić to oficjalnie? Poprosić naszego szefa, żeby pogadał z ich szefem przy filiżance latte i czekać na pozwolenie wykonania zadania?

Ferras wskazał na korytarz prowadzący do salonu.

- Rozumiem, że trzeba działać szybko - powiedział. - Ale myślisz, że on nam odpuści? Spisze numery odznak, Harry. Nie mam nic przeciwko temu, żeby poświęcić się dla dobra służby, ale nie za to, co właśnie zrobiliśmy.

Bosch był pełen uznania dla Ferrasa za użycie liczby mnogiej, dlatego nie tracąc cierpliwości podszedł do niego i spokojnie położył mu dłoń na ramieniu. Ściszył głos, aby nie usłyszał go Maxwell.

- Ignacio, absolutnie nic ci się nie stanie z tego powodu. Absolutnie nic, słyszysz? Pracuję w firmie trochę dłużej od ciebie i wiem, jak działa FBI. Do diabła, moja była żona jest byłą agentką, rozumiesz? I lepiej niż inni wiem, że dla FBI priorytetem numer jeden jest unikanie kompromitacji. Takiej filozofii uczą ich w Quantico i ma ją we krwi każdy agent w każdym biurze terenowym w każdym mieście. „Nie kompromitować FBI”. Dlatego kiedy wypuścimy tego faceta, nikomu nie piśnie ani słowa o tym, co zrobiliśmy, ani że w ogóle byliśmy tutaj. Jak myślisz, dlaczego posadzili go przed domem? Bo jest F-B-Einsteinem? Bynajmniej. Odpracowuje jakąś kompromitację - na którą naraził siebie albo biuro. I nie zrobi ani nie powie nic, co mogłoby go jeszcze bardziej pograć.

Bosch zamilkł, czekając na odpowiedź Ferrasa, której się jednak nie doczekał.

- No więc zabierajmy się do roboty i obejrzyjmy dom - ciągnął. - Kiedy byłem tu rano, zajmowaliśmy się tylko wdową a potem musieliśmy pędzić do Świętej Agaty. Chcę to zrobić szybko, ale dokładnie, rozumiesz? Chcę obejrzeć dom w świetle dziennym i trochę główkować. Tak właśnie lubię pracować. Zdziwiłbyś się, co czasem w ten sposób można wykombinować. Trzeba pamiętać, że zawsze dochodzi do przeniesienia. Ci dwaj mordercy gdzieś w tym domu zostawili ślad i wydaje mi się, że przegapili go technicy i cała reszta. Musiało być przeniesienie. Chodźmy je znaleźć.

Ferras skinął głową.

- Dobra, Harry.

Bosch klepnął go w ramię.

- Świetnie. Zacznę w sypialni. Ty sprawdź gabinet.

Bosch ruszył w głąb korytarza, ale gdy stanął na progu sypialni, usłyszał wołającego go Ferrasa. Zawrócił i poszedł do wnęki, gdzie mieścił się gabinet do pracy. Jego partner stał za biurkiem.

- Gdzie komputer? - zapytał.

Bosch ze złością pokręcił głową.

- Był na biurku. Zabrali go.

- FBI?

- A kto? Na spisie dowodów nie było komputera, tylko podkładka pod mysz. Rozejrzyj się, przeszukaj biurko. Może coś ci się uda znaleźć. Niczego nie zabieramy. Tylko oglądamy.

Bosch poszedł do sypialni. Stwierdził, że od chwili, gdy widział ją po raz ostatni, nic się tu nie zmieniło. Wciąż wyczuwał słaby zapach moczu unoszący się z poplamionego materaca.

Zbliżył się do nocnej szafki stojącej po lewej stronie łóżka. Zobaczył warstwę czarnego proszku daktyloskopijnego, który nałożono na gałki dwu szuflad i wszystkie płaskie powierzchnie szafki. Stała na nim lampa oraz oprawiona w ramki fotografia Stanleya i Alicii Kentów. Bosch wziął zdjęcie, aby mu się przyjrzeć. Małżonkowie stali obok kwitnącego krzewu różanego. Alicia miała przybrudzoną twarz, lecz promieniała radością i dumą, jak gdyby stała obok własnego dziecka. Bosch domyślił się, że wyhodowała tę roślinę własnoręcznie, a w tle zobaczył kilka podobnych krzewów. Na zboczu wzgórza można było dostrzec trzy pierwsze litery napisu HOLLYWOOD, z czego Bosch wysnuł wniosek, że zdjęcie prawdopodobnie zrobiono w ogrodzie za domem. Nie będzie już więcej takich fotografii szczęśliwej pary.

Odłożył zdjęcie na miejsce i otworzył górną szufladę. Znalazł w niej rzeczy osobiste Stanleya Kenta. Kilka par okularów do czytania, książki i fiolki z lekarstwami. Dolna szuflada była pusta i Bosch przypomniał sobie, że tu właśnie Kent trzymał broń.

Bosch zamknął szuflady i wycofał się do rogu pomieszczenia po drugiej stronie nocnej szafki. Szukał punktu zaczepienia, próbując spojrzeć na miejsce zdarzenia świeżym okiem. Zorientował się, że będą mu potrzebne zdjęcia miejsca zbrodni, które zostały w teczce w samochodzie.

Wrócił korytarzem do drzwi wejściowych. Gdy dotarł do salonu, zobaczył, że Maxwell leży na podłodze przed fotelem, na którym go posadzono. Miał zgięte w kolanach nogi, a pod nimi tkwiły skute kajdankami ręce, które zdołał przesunąć przez biodra. Obrócił poczerwieniałą i spoconą twarz w stronę Boscha.

- Zaklinowałem się - wykrztusił. - Pomóż mi.

Bosch omal nie parsknął śmiechem.

- Za chwilę.

Wyszedł do samochodu i zabrał protokoły z oględzin miejsca zdarzenia ze zdjęciami. Wcześniej wsunął do teczki także wydruk zdjęcia Alicii Kent przesłanego e-mailem.

Gdy wrócił do domu i skierował się do korytarza prowadzącego do pokoi w głębi, Maxwell zawołał do niego:

- Człowieku, pomóż mi!

Bosch go zignorował. Idąc korytarzem, zajrzał do gabinetu. Ferras przeszukiwał szuflady biurka, układając na blacie rzeczy, które chciał przejrzeć.

W sypialni Bosch wyciągnął fotografię wydrukowaną z e-maila, a

dokumenty położył na łóżku. Uniósł zdjęcie, by porównać je z widokiem pokoju. Następnie podszedł do garderoby i uchylił drzwi z lustrem pod takim samym kątem jak na fotografii. Zauważył, że na zdjęciu widać biały szlafrok frotte leżący na fotelu w rogu sypialni. Wszedł do garderoby, znalazł szlafrok i ułożył go na fotelu w identyczny sposób.

Bosch stanął w miejscu, z którego, jak przypuszczał, zrobiono zdjęcie. Przebiegł spojrzeniem po sypialni w nadziei, że jakiś charakterystyczny szczegół przyciągnie jego wzrok. Zauważywszy wyłączony zegar na nocnej szafce, popatrzył na fotografię. Zegar na zdjęciu także nie działał.

Bosch podszedł do szafki, kucnął i zajrzał za nią. Przewód zegara został wyciągnięty z gniazdka. Sięgnął za szafkę i włożył wtyczkę do kontaktu. Na ekranie zaczęły migać czerwone cyfry, pokazując 12:00. Zegar działał. Trzeba go było tylko ustawić.

Zastanawiając się nad tym, Bosch uznał, że powinien zapytać o to Alicię Kent. Zakładał, że zegar wyłączyli mężczyźni, którzy napadli ją w domu. Pytanie tylko dlaczego. Być może nie chcieli, by Alicia Kent wiedziała, ile czasu spędziła związana na łóżku.

Bosch odłożył na bok kwestię zegara i wrócił do łóżka, gdzie otworzył teczkę i wyciągnął fotografie zrobione przez techników. Oglądając je, zauważył, że drzwi garderoby są otwarte pod nieco innym kątem niż na zdjęciu z e-maila, a szlafroka nie ma - oczywiście dlatego, że Alicia Kent włożyła go, kiedy Bosch i Walling już ją wyswobodzili. Podszedł do garderoby, poprawił drzwi zgodnie z fotografią z miejsca zdarzenia, po czym cofnął się do wejścia i zlustrował sypialnię.

Niczego nie udało mu się wypatrzeć. Przeniesienie wciąż umykało jego uwadze. Czuł ucisk w żołądku. Odnosił wrażenie, jakby czegoś nie



zauważał. Czegoś, co miał tuż na wyciągnięcie ręki.

Porażka wywołuje napięcie. Bosch zerknął na zegarek i zobaczył, że do zebrania u federalnych -jeśli rzeczywiście w ogóle się odbędzie - pozostały niecałe trzy godziny.

Opuścił sypialnię i ruszył korytarzem w kierunku kuchni, wchodząc do każdego pokoju i zaglądając do szafek i szuflad, lecz nie znalazł niczego podejrzanego ani zagadkowego. W pokoju do ćwiczeń otworzył szafę i ujrzał rząd wieszaków z ciepłymi ubraniami, lekko zalatującymi stęchlizną. Najwyraźniej Kentowie przyjechali do Los Angeles z zimniejszych stron. I jak większość przyjezdnych nie mieli zamiaru rozstawać się z zimowymi rzeczami. Nikt nie mógł być pewien, czy zagrzeje tu miejsce. Zawsze dobrze było być gotowym do drogi.

Nie dotykając zawartości szafy, zamknął drzwi. Przed wyjściem dostrzegł prostokątne odbarwienie na ścianie obok haków, na których wisiały gumowe maty do ćwiczeń. Ślady po taśmie klejącej świadczyły, że w tym miejscu był przyklejony jakiś plakat lub duży kalendarz.

Gdy dotarł do salonu, Maxwell nadal leżał na podłodze, spocony i poczerwieniały z wysiłku. Udało mu się przełożyć jedną nogę przez pętlę utworzoną ze skutyh rąk, ale najwidoczniej nie potrafił przeciągnąć drugiej, by mieć ręce z przodu. Leżał na wyłożonej płytkami podłodze z rękami skrepowanymi między nogami. Jego widok przywodził Boschowi na myśl pięciolatka usiłującego zapanować nad pęcherzem.

- Za chwilę skończymy, agencie Maxwell - zapewnił go Bosch.

Maxwell nie odpowiedział.

Z kuchni Bosch wyszedł tylnymi drzwiami na taras i do ogrodu. Światło dzienne zmieniło perspektywę. Zobaczył, że ogród jest położony na

zboczu wzniesienia, na którym w czterech rzędach rosły krzewy różane. Niektóre kwitły, niektóre nie. Część z nich wspierała się na palikach, do których doczepiono tabliczki z nazwą odmiany. Bosch podszedł bliżej, obejrzał kilka krzewów, a potem wrócił do domu.

Przekręciwszy klucz w zamku, przeszedł przez kuchnię i otworzył następne drzwi, które jak pamiętał, prowadziły do garażu. Wzdłuż tylnej ściany ciągnął się szereg szafek. Bosch otwierał wszystkie po kolei i przeglądał zawartość. Były w nich głównie narzędzia ogrodnicze i sprzęt użytku domowego, a także kilka worków z nawozem i preparatami odżywczymi do hodowli róż.

W garażu stał kubeł na śmieci na kółkach. Bosch otworzył go i znalazł w środku plastikowy worek. Wyciągnął go, rozluźnił tasiemkę, którą worek był związany, i zobaczył, że są w nim tylko kuchenne odpadki. Na wierzchu leżała garść zmiętych ręczników papierowych z fioletowymi plamami. Wyglądały, jak gdyby ktoś stał nimi rozlany płyn. Bosch powąchał jeden ręcznik i wyczuł woń soku winogronowego.

Wrzuciwszy śmieci z powrotem do kubła, Bosch wyszedł z garażu i w kuchni natknął się na swojego partnera.

- Próbuje się uwolnić - poinformował go Ferras, mając na myśli Maxwella.
- Niech próbuje. Skończyłeś z biurkiem?
- Prawie. Zastanawiałem się, gdzie jesteś.
- Idź skończyć i spadamy stąd.

Po wyjściu Ferrasa Bosch sprawdził szafki kuchenne i spiżarnię, oglądając dokładnie wszystkie produkty i zapasy na półkach. Następnie poszedł do łazienki dla gości w korytarzu i spojrział na miejsce, skąd zebrano popiół z

papierosa. Na białej ceramicznej pokrywie spłuczki widniało brązowe odbarwienie długości połowy papierosa.

Z zaciekawieniem wpatrywał się w ślad. Nie palił od siedmiu lat, ale nie pamiętał, by kiedykolwiek zdarzyło mu się zostawić w ten sposób papierosa. Gdyby go wypalił, wrzuciłby niedopałek do toalety i spuścił wodę. Nie miał wątpliwości, że ktoś zapomniał o tym papierosie.

Skończywszy przeszukanie domu, cofnął się do salonu i zawołał do partnera:

- Ignacio, jesteś gotowy? Wychodzimy.

Maxwell nadal leżał na podłodze, lecz wyglądał na zmęczonego bezwocną szamotaniną i pogodzonego z losem.

- Niech was szlag! - krzyknął w końcu. - Rozkujcie mnie!

Bosch zbliżył się do niego.

- Gdzie masz kluczyk? - zapytał.

- W marynarce. W lewej kieszeni.

Bosch pochylił się i wsunął dłoń do kieszeni agenta. Wyciągnął pęk kluczy i po chwili odnalazł wśród nich kluczyk do kajdanek. Chwycił łańcuch łączący obrączki kajdanek i pociągnął, by włożyć kluczyk. Nie silił się na delikatność.

- Bądź grzeczny, kiedy to zrobię - poradził.

- Grzeczny? Kurwa, skopię ci tyłek!

Bosch puścił łańcuch i ręce Maxwella wylądowały na podłodze.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnął Maxwell. - Rozkuj mnie!

- Dam ci radę, Cliff. Gdy następnym razem zagroisz, że skopiesz mi tyłek, bądź łaskaw zaczekać, aż cię uwolnię.

Bosch wyprostował się i cisnął klucze na drugi koniec pokoju.

- Sam się rozkuj.

Bosch skierował się do wyjścia. Ferras już wychodził. Zamykając drzwi, Bosch rzucił okiem na Maxwella rozciągniętego na podłodze. Agent, z twarzą czerwoną jak znak stopu, wyrzucił z siebie ostatnią pogroźkę.

- To nie koniec, gnojku.

- Świetnie.

Bosch zamknął drzwi. Podchodząc do samochodu, spojrzął ponad dachem na swojego partnera. Ferras wyglądał na równie upokorzonego jak niektórzy z podejrzanych, których przewozili z tyłu.

- Głowa do góry - powiedział Bosch.

Wsiadając za kierownicę, wyobraził sobie agenta FBI czołgającego się w swoim eleganckim garniturze po podłodze salonu, by wziąć klucze.

I twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu.

12

W drodze ze wzgórza na autostradę Ferras milczał. Bosch odgadł, że rozmyśla o groźbie, jaka zawisała nad karierą młodego, obiecującego detektywa z powodu działań jego starego i lekkomyślnego partnera. Bosch próbował wciągnąć go w rozmowę.

- No i kłapa - powiedział. - Nic nie mam. Znalazłeś coś w gabinecie?

- Niewiele. Pokazywałem ci, komputer zniknął.

W jego głosie brzmiał ponury ton.

- A w biurku? - pytał Bosch.

- Było prawie puste. W jednej szufladzie trzymali zeznania podatkowe i tego typu papiery. W innej znalazłem umowę powiernictwa. Ich dom, nieruchomość inwestycyjna w Laguna, polisy ubezpieczeniowe i tak dalej

są w zarządzie powierniczym. W biurku były też ich paszporty.

- Dobra. Ile facet zarobił w zeszłym roku?
- Ćwierć miliona na rękę. Jest właścicielem pięćdziesięciu jeden procent firmy.
- Żona coś zarobiła?
- Nie ma dochodów. Nie pracuje.

Bosch zamilkł, zastanawiając się nad sytuacją. Kiedy znaleźli się u stóp wzniesienia, postanowił nie wjeżdżać na autostradę. Pojechał Cahuenga do Franklin, po czym skręcił na wschód. Ferras patrzył przez okno, lecz szybko się zorientował, że zmienili trasę.

- Co się dzieje? Myślałem, że jedziemy do centrum.
- Najpierw pojedziemy do Los Feliz.
- Co jest w Los Feliz?
- Donut Hole na Yermont.
- Przecież jedliśmy godzinę temu.

Bosch spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma i miał nadzieję, że jeszcze zdąży.

- Nie chcę jechać na pączki.

Ferras zaklął pod nosem i pokręcił głową.

- Chcesz pogadać z Pierwszym? - zapytał. - Żartujesz?
- Chyba że już go tam nie ma. Jeżeli się boisz, możesz poczekać w samochodzie.
- Wiesz, że przeskakujesz co najmniej pięć szczebli. Porucznik Gandle dobierze się nam za to do skóry.
- Dobierze się do mojej skóry. Ty zostaniesz w samochodzie. Tak jakby cię tam w ogóle nie było.

- Tyle że zawsze za to, co robi jeden partner, drugi ponosi taką samą winę. Przecież wiesz, Harry, jak to działa. Dlatego właśnie nazywają taki układ partnerstwem.
- Słuchaj, poradzę sobie. Nie ma czasu załatwiać tego służbową drogą. Komendant powinien wiedzieć, o co chodzi, więc mu opowiem. Prawdopodobnie podziękuję nam za ostrzeżenie.
- Jasne, tylko że porucznik Gandle nie będzie nam dziękował.
- Z nim też dam sobie radę.

Pozostałą część drogi nie odzywali się do siebie.

Departament Policji Los Angeles był jedną z najbardziej hermetycznych biurokracji na świecie. Przez ponad sto lat rzadko sięgał poza własne podwórko w poszukiwaniu pomysłów, rozwiązań czy liderów. Przed kilkoma laty, gdy rada miejska uznała, że po licznych skandalach i niepokojach, jakie wstrząsały miastem, policja potrzebuje szefa spoza swoich szeregów, po raz drugi w długiej historii departamentu jego komendantem został człowiek, który dotąd nie był jego funkcjonariuszem i nie objął tego stanowiska w drodze awansu. Nowemu, sprowadzonemu z zewnątrz szefowi przyglądano się z ogromnym zaciekawieniem i rzecz jasna sceptycyzmem. Pilnie odnotowywano jego poczynania i przyzwyczajenia, a informacje rozchodziły się nieoficjalnymi kanałami, które łączyły dziesięć tysięcy funkcjonariuszy departamentu jak sieć naczyń krwionośnych w zaciśniętej pięści. Wiadomości przekazywano sobie na odprawach i w szatniach, za pomocą wiadomości rozsyłanych z terminali w radiowozach, w e-mailach i rozmowach telefonicznych, w ulubionych barach policjantów i podczas przyjęć przy grillu. Dzięki temu ludzie z patroli w południowym Los Angeles wiedzieli, na jakiej premierze

w Hollywood komendant był poprzedniego wieczoru. Funkcjonariusze obyczajówki w Dolinie wiedzieli, gdzie komendant wysyła do prasowania galowe mundury, a wydział do spraw przestępczości zorganizowanej w Venice znał ulubiony supermarket jego żony.

Dzięki tej wymianie informacji detektyw Hary Bosch i jego partner Ignacio Ferras wiedzieli, w której cukierni komendant zatrzymuje się co dzień rano na kawę w drodze do Parker Center.

O ósmej Bosch wjechał na parking przed Donut Hole, lecz nie zauważył nieoznakowanego samochodu komendanta. Lokal znajdował się na równinie u stóp położonych na wzgórzu osiedli Los Feliz. Bosch wyłączył silnik i spojrzał na partnera.

- Zostajesz?

Ferras miał wzrok utkwiony w szybie przed sobą. Nie patrząc na Boscha, skinął głową.

- Jak uważasz - rzekł Bosch.

- Słuchaj, Harry, nie chcę cię urazić, ale kiepsko się nam układa. Nie potrzebujesz partnera. Potrzebujesz chłopca na posyłki, kogoś, kto nie będzie kwestionował niczego, co robisz. Chyba pogadam z porucznikiem i poproszę, żeby przydzielił mnie komuś innemu.

Bosch spojrzał na niego, starając się uporządkować myśli.

- Ignacio, to nasza pierwsza wspólna sprawa. Nie sądzisz, że powinienes się trochę wstrzymać? To samo powie ci Gandle. Powie, że lepiej nie zaczynać w wydziale z reputacją gościa, który zwiewa od partnera.

- Nie zwiewam. Po prostu źle się nam układa.

- Ignacio, popełniasz błąd.

- Nie, wydaje mi się, że tak będzie najlepiej. Dla nas obu.

Bosch przez długą chwilę mierzył go badawczym spojrzeniem, po czym odwrócił się do drzwi.

- Dobra, jak uważasz.

Bosch wysiadł i ruszył w stronę cukierni. Rozczarowała go decyzja Ferrasa, wiedział jednak, że powinien mu trochę odpuścić. Chłopak miał dziecko w drodze i wolał nie ryzykować. Bosch nigdy nie wahał się przed podejmowaniem ryzyka i w przeszłości kosztowało go to więcej niż stratę partnera. Postanowił, że po zakończeniu sprawy jeszcze raz spróbuje wpłynąć na młodego człowieka, by zmienił zdanie.

W cukierni Bosch stanął w kolejce za dwiema osobami, a potem zamówił u Azjaty za ladą czarną kawę.

- Bez pączka?

- Bez, tylko kawę.

- Capuccino?

- Nie, czarną.

Rozczarowany skromnym zamówieniem, mężczyzna podszedł do ekspresu pod ścianą i napełnił filiżankę. Kiedy się odwrócił, Bosch pokazał mu odznakę.

- Był już komendant?

Azjata zawahał się. Nie miał pojęcia o nieoficjalnych kanałach informacyjnych i nie był pewien, co odpowiedzieć. Wiedział, że jeśli nie ugryzie się w język, może stracić wysoko postawionego klienta.

- Bez obaw - powiedział Bosch. - Jestem z nim umówiony. Trochę się spóźniłem.

Próbował przywołać na twarz uśmiech zakłopotania. Zupełnie mu nie



wyszło, więc dał spokój.

- Jeszcze nie był - poinformował go sprzedawca.

Bosch odetchnął z ulgą, zapłacił za kawę, a resztę wrzucił do pojemnika na napiwki. Usiadł przy wolnym stoliku w rogu. O tej porze kupowano głównie na wynos. Ludzie w drodze do pracy zaopatrywali się w niezbędne paliwo. Bosch przez dziesięć minut obserwował tłoczący się przy ladzie przekrój wielokulturowego miasta, zjednoczony we wspólnym uzależnieniu od cukru i kofeiny.

Wreszcie zobaczył wjeżdżającego na parking czarnego lincolna town car. Komendant siedział z przodu. Obaj z kierowcą wysiedli. Obaj rozejrzeli się po parkingu i skierowali się do cukierni. Bosch wiedział, że kierowca jest funkcjonariuszem policji i pełni też funkcję ochroniarza.

Kiedy weszli, przy ladzie nie było kolejki.

- Witam, komendancie - powiedział sprzedawca.

- Dzień dobry, panie Ming - odparł komendant. - Dla mnie to co zwykle.

Bosch wstał i podszedł do lady. Stojący za komendantem ochroniarz odwrócił się i zrobił krok w kierunku Boscha. Bosch przystanął.

- Mogę panu postawić kawę, komendancie? - zapytał.

Komendant odwrócił się i dopiero po chwili poznał Boscha, uświadamiając sobie, że nie zaczepia go pragnący się przymilić obywatel. Bosch dostrzegł, jak przez jego twarz przemknął cień - komendant jeszcze się nie uporał ze skutkami sprawy Echo Park - lecz marsz szybko ustąpił miejsca wyrazowi obojętności.

- Detektywie Bosch, chyba nie ma pan dla mnie żadnych złych wiadomości? - spytał komendant.

- Raczej ostrzeżenie.

Komendant wziął z rąk Minga filiżankę kawy i małą torebkę.

- Proszę usiąść - powiedział. - Ma pan pięć minut, a za kawę sam zapłacę.

Bosch wrócił do swojego stolika, podczas gdy komendant płacił za kawę i pączki. Usiadł i czekał, a komendant podszedł do lady obok, gdzie nalał śmietankę i wsypał słodzik do kawy. Bosch uważał, że komendant zrobił dla departamentu dużo dobrego. Wprawdzie popełnił kilka politycznych gaf i podjął parę dyskusyjnych decyzji personalnych, lecz w dużej mierze przyczynił się do podniesienia morale w szeregach funkcjonariuszy.

Nie było to łatwe zadanie. Gdy komendant odziedziczył departament, właśnie wynegocjowano ugodę z władzami federalnymi w następstwie dochodzenia FBI w sprawie skandalu w sekcji Rampart oraz ogromu innych afer. Odtąd nadzór federalny brał pod lupę każdy krok policji, oceniając, czy jest zgodny z wymogami. Skutek był taki, że departament nie tylko został podporządkowany władzy federalnych, ale także zalany federalnymi papierzyskami. Kadra była szczupła, więc czasem trudno się było zorientować, czy policja robi to, co do niej należy. Ale pod kierownictwem nowego komendanta szeregi policji zdołały się zmobilizować i robić to, co do nich należało. Spadły nawet wskaźniki przestępczości, co zdaniem Boscha mogło oznaczać, że istotnie zmniejszyła się liczba przestępstw - zawsze podejrzliwie traktował statystyki.

Pomijając to wszystko, Bosch lubił komendanta głównie z jednego powodu. Otóż szef przed dwoma laty przyjął go z powrotem do pracy. Bosch przeszedł na emeryturę, zostając prywatnym detektywem.

Niebawem przekonał się, że to był błąd, a gdy doszedł do tego wniosku, komendant powitał go z powrotem. Dlatego Bosch był zawsze wobec niego lojalny i dlatego postanowił zaaranżować spotkanie w cukierni.

Komendant usiadł naprzeciw niego.

- Ma pan szczęście, detektywie. Zwykle zaglądam tu godzinę wcześniej. Ale wczoraj pracowałem do późna, musiałem uczestniczyć w zebraniach sąsiedzkich grup prewencyjnych w trzech dzielnicach miasta.

Zamiast otworzyć torebkę z pączkami i sięgnąć do niej, komendant rozdarł ją pośrodku i rozłożył, aby zjeść dwa pączki prosto z papieru. Miał pączka z cukrem pudrem i polewą czekoladową.

- Oto najbardziej niebezpieczny morderca w mieście - powiedział, unosząc pączka z czekoladą i nadgryzając kęs.

Bosch pokiwał głową.

- Pewnie ma pan rację.

Bosch uśmiechnął się niepewnie i spróbował przełamać lody. Jego poprzednia partnerka Kiz Rider właśnie wróciła do pracy po rekonwalescencji po odniesionych ranach postrzałowych. Przeniosła się z wydziału rabunków i zabójstw do biura komendanta, gdzie już kiedyś pracowała.

- Co słyhać u mojej dawnej partnerki, panie komendancie?

- U Kiz? Kiz świetnie sobie radzi. Bardzo mi pomaga i uważam, że jest na właściwym miejscu.

Bosch znów skinął głową. Często to robił.

- A pan jest na właściwym miejscu, detektywie?

Bosch spojrzał na komendanta, zastanawiając się, czy to może aluzja do faktu, że pominął drogę służbową, zwracając się bezpośrednio do niego.

Zanim zdążył odpowiedzieć, komendant zadał kolejne pytanie.

- Przyszedł tu pan w związku ze sprawą punktu widokowego na Mulholland?

Bosch przytaknął. Przypuszczał, że komendant zna szczegóły sprawy od porucznika Gandle'a, który przekazał wiadomość wyżej.

- Codziennie rano ćwiczę przez godzinę, żeby móc jeść te słodkości - ciągnął komendant. - Dostaję raporty z nocy faksem i czytam je na rowerze treningowym. Wiem, że sprawę punktu widokowego przydzielono panu i że zainteresowały się nią służby federalne.

Dzwonił też do mnie rano kapitan Hadley. Mówił, że mogą za tym stać terroryści.

Bosch zdziwił się, że kapitan Done Badly i BBK już zostali wprowadzeni do gry.

- Co robi kapitan Hadley? - zapytał. - Do mnie nie dzwonił.

- To co zwykle. Sprawdza nasze informacje, stara się być w kontakcie z federalnymi.

Bosch skinął głową.

- No więc co może mi pan powiedzieć, detektywie? Po co pan tu przyszedł?

Bosch zdał mu bardziej szczegółowy raport ze sprawy, podkreślając zaangażowanie służb federalnych, które, jak podejrzewał, próbowały wyeliminować policję z jej własnego śledztwa. Przyznał, że priorytetem jest kwestia zaginionego cezu, z powodu której federalni rozstawiają wszystkich po kątach. Zaznaczył jednak, że dochodzenie dotyczy zabójstwa, co automatycznie włącza do sprawy policję. Poinformował komendanta o zebranych dowodach i podzielił się z nim niektórymi

teoriami, jakie chodziły mu po głowie.

Zanim Bosch skończył, komendant zjadł obydwie paczki. Otarł usta serwetką, po czym spojrzął na zegarek. Obiecane pięć minut dawno już minęło.

- Co pan zataił? - spytał.

Bosch wzruszył ramionami.

- Niewiele. Właśnie miałem małe starcie z agentem w domu ofiary, ale nie sądzę, żeby to miało ciąg dalszy.

- Dlaczego nie ma tu pańskiego partnera? Dlaczego czeka w samochodzie?

Bosch zrozumiał. Rozglądając się po parkingu, komendant zauważył Ferrasa.

- Doszło między nami do drobnej różnicy zdań. To dobry chłopak, ale zbyt łatwo chce ustąpić federalnym.

- A to oczywiście nie do pomyślenia w policji Los Angeles.

- Nie za moich czasów, panie komendancie.

- Czy pański partner uznał, że należy pominąć hierarchię służbową i zwrócić się bezpośrednio do mnie?

Bosch wbił wzrok w stolik. W głosie komendanta zabrzmiał surowy ton.

- Prawdę mówiąc, nie był z tego zadowolony, panie komendancie - odrzekł Bosch. - To nie był jego pomysł, ale mój. Sądziłem, że mamy za mało czasu, żeby...

- Nieważne, co pan sądził. Ważne, co pan zrobił. Dlatego na pańskim miejscu nie mówiłbym nikomu o tym spotkaniu, boja zachowam dyskrecję. I niech pan nigdy więcej nie postępuje w ten sposób, detektywie. Czy to jest jasne?

- Tak, jasne.

Komendant zerknął w stronę szklanej witryny, gdzie stały tace pełne pączków.

- Nawiasem mówiąc, skąd pan wiedział, że tu będę? - zapytał.

Bosch wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. Po prostu wiedziałem.

Zorientował się, że komendant może dojść do wniosku, że jego źródłem informacji była dawna partnerka.

- Nie od Kiz, jeżeli tak pan myśli, komendancie - dodał pośpiesznie. - Takie rzeczy się wie, rozumie pan? W departamencie wiadomości szybko się rozchodzą.

Komendant skinął głową.

- To pech - powiedział. - Lubiłem ten lokal. Jest po drodze, mają smaczne pączki, pan Ming troszczy się o mnie. Naprawdę szkoda.

Bosch zdał sobie sprawę, że teraz komendant będzie musiał zmienić swoje zwyczaje. Wiadomość, że każdy wie, gdzie i kiedy można go znaleźć, nie była dla niego pomyślna.

- Przykro mi, panie komendancie - powiedział Bosch. - Ale jeżeli mogę coś polecić, to w Farmers Market jest taki lokal, „Bob's Coffee and Doughnuts”. Wprawdzie trzeba trochę nadłożyć drogi, ale dla takiej kawy i pączków warto.

Komendant w zamyśleniu pokiwał głową.

- Będę pamiętał. No dobrze, czego pan ode mnie chce, detektywie Bosch?

Bosch uznał, że komendant najwyraźniej chce przejść do rzeczy.

- Muszę kontynuować śledztwo, a w tym celu muszę porozmawiać z

Alicją Kent i współnikiem jej męża, niejakim Kelberem. Oboje są u federalnych i chyba jakieś pięć godzin temu straciłem do nich dostęp.

Po krótkiej pauzie Bosch wyłuszczył cel niezaplanowanego spotkania.

- Właśnie po to tu przyszedłem, panie komendancie. Potrzebuję dostępu. I przypuszczam, że pan może mi go umożliwić.

Komendant skinął głową.

- Poza stanowiskiem w departamencie jestem też członkiem Połączonego Zespołu do Zwalczenia Terroryzmu. Mogę zadzwonić do paru osób, podnieść raban i prawdopodobnie ułatwić panu dostęp. Jak mówiłem, sprawą zajmuje się już grupa kapitana Hadleya, który być może uruchomi odpowiednie kanały. Dawniej nie wtajemniczano nas w takie rzeczy. Podniosę alarm, zadzwonię do dyrektora.

Bosch wysnuł z tego wniosek, że komendant zamierza stanąć w jego obronie.

- Wie pan, detektywie, co to jest refluks?

- Refluks?

- Schorzenie, w którym żółć cofa się do przełyku. I wywołuje pieczenie.

- Ach.

- Chcę panu powiedzieć, że jeżeli to zrobię i umożliwię panu dostęp, nie chcę żadnego refluksu. Rozumie pan?

- Rozumiem.

Komendant znów otarł usta i położył serwetkę na rozerwanej torebce. Po chwili zmiął ją, uważając, by żaden okruch cukru pudru nie wylądował na jego czarnym garniturze.

- Zadzwonię, ale będzie ciężko. Nie widzi pan podtekstu politycznego

tej sprawy, Bosch?

Bosch spojrzał na niego.

- Politycznego?

- Mam na myśli szerszą perspektywę, detektywie. Pan widzi śledztwo w sprawie zabójstwa. W rzeczywistości chodzi o coś więcej. Musi pan zrozumieć, że gdyby zdarzenie w punkcie widokowym okazało się częścią spisku terrorystów, byłoby to wyjątkowo korzystne dla rządu federalnego. Prawdziwe zagrożenie pomogłoby odwrócić uwagę opinii publicznej od innych problemów. Wojna zupełnie się spieprzyła, wybory zakończyły się katastrofą. Bliski Wschód, cena galonu benzyny, spadające notowania ustępującego prezydenta. Lista jest długa, a tu zarysowałyby się możliwość zadośćuczynienia. Szansa naprawienia dawnych błędów. Szansa na zmianę nastawienia opinii publicznej.

Bosch skinął głową.

- Twierdzi pan, że mogą próbować przeciągać sprawę czy nawet wyolbrzymiać zagrożenie?

- Niczego nie twierdzę, detektywie. Staram się tylko poszerzyć panu punkt widzenia. W przypadku takiej sprawy nie można tracić z oczu kontekstu politycznego. Nie może się pan zachowywać jak słoń w składzie porcelany - co dawniej było pańską specjalnością.

Bosch pokiwał głową.

- Poza tym należy wziąć pod uwagę politykę lokalną - ciągnął komendant. - W radzie miasta jest człowiek, który tylko czyha na mój błąd.

Komendant miał na myśli Irvina Irvinga, długoletniego naczelnika w departamencie, którego komendant zmusił do ustąpienia ze stanowiska.



Irving wystartował w wyborach do rady miejskiej i wygrał. Teraz należał do najzagorzalszych krytyków departamentu i komendanta.

- Irving? - spytał Bosch. - Przecież to tylko jeden głos w radzie.

-Zna niejedną tajemnicę. Na tej podstawie zaczął sobie budować pozycję polityczną. Po wyborach dostałem od niego wiadomość. Składała się tylko z trzech słów. „Spodziewaj się mnie”. Niech pan mu nie da do ręki argumentu, detektywie.

Komendant wstał.

- Niech się pan nad tym zastanowi i będzie ostrożny - powiedział. -1 proszę pamiętać, nie chcę refluksu. Nie chcę nadstawiać karku.

- Tak jest.

Komendant odwrócił się, dając znak kierowcy. Ochroniarz podszedł do drzwi i otworzył je przed swoim podopiecznym.

13

Bosch nie odzywał się, dopóki nie wyjechali z parkingu. Uznał, że w czasie porannego szczytu Hollywood Freeway będzie zakorkowana i lepiej będzie nie korzystać z autostrady. Jego zdaniem najszybciej do centrum mogli dotrzeć przez Sunset.

Ferras już po dwóch skrzyżowaniach zapytał go, co się stało w cukierni.

- Nie martw się, Ignacio. Nie wyleją nas z roboty.

- No to co ci się stało?

- Powiedział, że miałeś rację. Nie powinienem pomijać drogi służbowej. Ale powiedział też, że wykona parę telefonów i spróbuje umożliwić mi współpracę z federalnymi.

- No to zobaczymy.

- No, zobaczymy.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, które przerwał Bosch, wracając do planów partnera związanych z prośbą o nowy przydział.

- Dalej chcesz pogadać z porucznikiem?

Ferras odpowiedział dopiero po chwili, wyraźnie skrepowany pytaniem.

- Nie wiem, Harry. Ciągłe wydaje mi się, że tak będzie najlepiej. Najlepiej dla nas obu. Może lepiej pracuje ci się z kobietami.

Bosch omal się nie roześmiał. Ferras nie znał Kiz Rider, jego poprzedniej partnerki. Kiz nigdy nie potakiwała Harry'emu, żeby unikać spięć. Jeżyła się tak samo jak Ferras, ilekroć próbował odgrywać przewodnika stada. Bosch zamierzał wyjaśnić to Ferrasowi, gdy nagle rozdzwoniła się jego komórka, więc wyciągnął ją z kieszeni. To był Gandle.

- Harry, gdzie jesteś?

Porucznik mówił głośniej niż zwykle i bardziej ponaglącym tonem. Był przejęty i Bosch w pierwszej chwili pomyślał, że już dotarła do niego wiadomość o spotkaniu w Donut Hole. Czyżby komendant go zdradził?

- Jestem na Sunset. Jedziemy do centrum.

- Minałeś już Silver Lake?

- Jeszcze nie.

- To dobrze. Jedź do Silver Lake, do centrum rekreacyjnego przy końcu zbiornika.

- Co się dzieje, poruczniku?

- Zlokalizowano samochód Kentów. Jest tam już Hadley, który zakłada ze swoimi ludźmi stanowisko dowodzenia. Prosimy o przyjazd detektywów prowadzących śledztwo.

- Hadley? Dlaczego tam jest? Po co mu stanowisko dowodzenia?

- Biuro Hadleya dostało cynk i zanim nas poinformowali, sprawdzili to. Samochód jest zaparkowany przed domem należącym do osoby, która znajduje się w kręgu zainteresowania. Chcą, żebyście tam pojechali.

- „W kręgu zainteresowania”? Co to znaczy?

- W domu mieszka osoba, którą interesuje się BBK. Ktoś podejrzany o sympatyzowanie z terrorystami. Nie znam szczegółów. Dowiesz się na miejscu, Harry.

- W porządku, jedziemy tam.

- Zadzwoń i powiedz, co się dzieje. Gdybym był tam potrzebny, daj znać.

Oczywiście Gandle nie miał najmniejszej ochoty opuszczać biura i jechać w teren. Musiałby się oderwać od codziennych obowiązków kierowniczych i potem nadrabiać zaległości w papierach. Bosch zamknął telefon i próbował przyspieszyć, lecz przeszkadzał mu w tym gęsty ruch. Przekazał Ferrasowi skąpe informacje, jakie uzyskał od porucznika.

- A FBI? - spytał Ferras.

- Co, FBI?

- Wiedzą o tym?

- Nie pytałem.

- Co z zebraniem o dziesiątej?

- O to chyba będziemy się martwić o dziesiątej.

Po dziesięciu minutach wreszcie dotarli do Silver Lake Boulevard i Bosch skręcił na północ. Ta część miasta wzięła nazwę od zbiornika Silver Lake, położonego pośrodku dzielnicy zamieszkałej głównie przez klasę średnią, gdzie z bungalów i domów zbudowanych po drugiej wojnie światowej roztaczał się widok na sztuczne jezioro.

Kiedy zbliżali się do centrum rekreacyjnego, Bosch zobaczył dwa lśniące, czarne samochody terenowe, w których rozpoznał charakterystyczne pojazdy BBK. Przyszło mu na myśl, że widocznie nigdy nie było kłopotów ze znalezieniem funduszy dla jednostki, której zadanie podobno polegało na tropieniu terrorystów. Obok SU V-ów stały dwa radiowozy i miejska śmieciarka. Bosch zaparkował za radiowozem i obaj z Ferrasem wysiedli.

Wokół otwartej tylnej klapy jednego z samochodów terenowych zgromadziło się dziesięciu ludzi w czarnych strojach polowych -także charakterystycznych dla funkcjonariuszy BBK. Bosch ruszył w ich kierunku, a Ferras podążył za nim, trzymając się kilka kroków z tyłu. Mężczyźni w czerni natychmiast ich zauważyli i rozstąpili się, odsłaniając kapitana Dona Hadleya siedzącego na opuszczonej klapie. Bosch nigdy nie spotkał go osobiście, ale często widywał go w telewizji. Kapitan był zwalistym mężczyzną o czerwonej twarzy i rudoblond włosach. Miał około czterdziestu lat i sprawiał wrażenie, jak gdyby połowę życia spędził w siłowni. Rumiana cera nadawała mu wygląd kogoś, kto ciągle się przemęcza albo wstrzymuje oddech.

- Bosch? - odezwał się Hadley. - Ferras?
- Jestem Bosch. To jest Ferras.
- Dobrze, że jesteście, chłopaki. Myślę, że za moment zamkniemy waszą sprawę na cztery spusty. Czekamy tylko, aż jeden z moich ludzi przywiezie nakaz, a potem wchodzimy.

Wstał i dał znak jednemu z funkcjonariuszy. Sposób bycia Hadleya zdradzał wielką pewność siebie.

- Perez, sprawdź, co z tym nakazem, dobra? Zmęczyło mnie już to

czekanie. Potem zobacz, co słyhać na punkcie obserwacyjnym.

Następnie zwrócił się do Boscha i Ferrasa:

- Chodźcie ze mną.

Hadley oddalił się od grupy, a Bosch i Ferras podążyli za nim. Zaprowadził ich za śmieciarkę, by mogli porozmawiać z dala od reszty. Kapitan przyjął władcą pozę, stawiając stopę na zderzaku śmieciarki i opierając łokieć na kolanie. Bosch zwrócił uwagę, że nosi broń w kaburze przypiętej do masywnego uda. Jak rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu, tyle że miał półautomat. Żuł gumę i nie starał się tego ukryć.

Bosch słyszał wiele historii o Hadleyu. Miał przeczucie, że właśnie zostaje bohaterem jednej z nich.

- Chciałem, żebyście przy tym byli - oznajmił Hadley.

- Czyli właściwie przy czym, kapitanie? - spytał Bosch.

Hadley klasnął w dłonie.

- Zlokalizowaliśmy waszego chryslera 300. Stoi mniej więcej dwie przecznice stąd, na ulicy przylegającej do zbiornika. Numer rejestracyjny zgadza się z danymi w komunikacie i sam obejrzałem ten samochód. To wóz, którego szukacie.

Bosch skinął głową. Na razie w porządku, pomyślał. Tylko co dalej?

- Pojazd stoi przed domem należącym do niejakiego Ramina Samira - ciągnął Hadley. - Od kilku lat mamy tego faceta na oku. Można powiedzieć, że pozostaje w kręgu naszego zainteresowania.

Nazwisko brzmiało znajomo, ale Bosch z początku nie wiedział, skąd je pamięta.

- Dlaczego się nim interesujecie, kapitanie? - zapytał.

- Pan Samir to znany zwolennik organizacji religijnych, które chcą

zaszkodzić interesom Ameryki. Co gorsza, uczy naszą młodzież nienawidzić własnego kraju.

Ostatnia informacja odświeżyła Boschowi pamięć i wreszcie skojarzył nazwisko z osobą.

Nie przypominał sobie, z którego bliskowschodniego kraju pochodził Ramin Samir, ale pamiętał, że był kiedyś wykładowcą polityki zagranicznej na USC, który zwrócił na siebie powszechną uwagę, wygłaszając anty amerykańskie opinie w salach wykładowych i w mediach.

Mącił wodę w mediach przed atakami terrorystycznymi z 11 września. Potem drobne z początku fale przybrały rozmiary tsunami. Samir zaczął otwarcie twierdzić, że ataki były uzasadnioną reakcją na agresję i ingerencję Stanów Zjednoczonych w wewnętrzne sprawy państw na całym świecie. Wykorzystując zdobyty przez siebie rozgłos, stał się medialnym ekspertem, do którego zwracali się dziennikarze, ilekroć potrzebowali anty amerykański ego komentarza. Potępiał politykę Stanów Zjednoczonych wobec Izraela, sprzeciwiał się operacji militarnej w Afganistanie, a wojnę w Iraku nazywał zwykłą bijatyką o ropę.

Przez kilka lat Samir sprawdzał się jako prowokator zapraszany do programów publicystycznych w telewizjach kablowych, w których wszyscy wrzeszczeli na wszystkich. Stanowił doskonałe tło dla lewicy i prawicy, i zawsze chętnie wstawał o czwartej rano, aby wystąpić w niedzielnych programach porannych na wschodnim wybrzeżu.

Tymczasem robił użytek ze swojej sławy płomiennego mówcy, pomagając zakładać i finansować kilka organizacji na terenie uczelni i poza nią, które wkrótce zostały oskarżone przez ugrupowania konserwatywne o związki,

przynajmniej pośrednie, z organizacjami terrorystycznymi i antyamerykańskimi grupami islamistycznymi. Niektórzy sugerowali nawet, że trop prowadzi do arcymistrza terroryzmu, Osamy bin Ladena. Ale choć przeciw Samirowi prowadzono liczne dochodzenia, nigdy nie postawiono mu żadnych zarzutów. Mimo to został wyrzucony z USC z powodu formalnego uchybienia - nie zaznaczył, że wyraża własne opinie, a nie opinie uczelni, pisząc artykuł do „Los Angeles Times”, w którym sugerował, że wojna iracka jest zaplanowaną eksterminacją muzułmanów. Pięć minut Samira dobiegło końca. Ostatecznie zniknął z mediów, które przekonały się, że nie jest wnikliwym komentatorem bieżących wydarzeń, tylko narcystycznym prowokatorem, głoszącym dziwaczne teorie, by zwrócić uwagę na własną osobę. Przecież nawet jedną ze swoich organizacji nazwał YMCA - Young Muslim Cause in America, Ruch Młodych Muzułmanów w Ameryce - tylko dlatego, by szacowna organizacja młodzieżowa wytoczyła mu głośny proces. Gwiazda Samira przygasła i opinia publiczna przestała się nim interesować. Bosch nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział go w telewizji czy w gazecie. Pomijając jednak retorykę, fakt, że Samira nigdy nie oskarżono o żadne przestępstwo w najgorętszym okresie, gdy Stany Zjednoczone opanował strach przed nieznanym i pragnienie zemsty, świadczył zdaniem Boscha, że nic się za tym nie kryło. Gdyby się okazało, że poza dymem był też ogień, Ramin Samir dawno siedziałby w więziennej celi albo za ogrodzeniem w Guantanamo. Tymczasem mieszkał w Silver Lake, więc Bosch podchodził sceptycznie do słów kapitana Hadleya.

- Pamiętam tego faceta - powiedział. - Ale tylko gadał, kapitanie.

Nigdy nie było żadnego konkretnego związku między Samirem a...

Hadley uniósł palec gestem nauczyciela uciszającego klasę.

- Nigdy nie ustalono konkretnego związku - poprawił Boscha. -To jednak nic nie znaczy. Facet zbiera pieniądze dla Palestyńskiego Dżihadu i innych ruchów muzułmańskich.

- Palestyńskiego Dżihadu? - powtórzył Bosch. - Co to jest? Jakie ruchy muzułmańskie? Twierdzi pan, że każdy ruch muzułmański musi być nielegalny?

- Słuchaj, twierdzę, że to podejrzany gość i pod jego domem stoi samochód, którego użyli mordercy i złodzieje cesu.

- Cezu - powiedział Ferras. - Skradziono cez.

Nieprzyzwyczajony, by ktoś go poprawiał, Hadley zmrużył oczy i przez chwilę taksował wzrokiem Ferrasa.

- Wszystko jedno. Nazwa nie ma dużego znaczenia, synu, jeżeli wrzucił to do jeziora po drugiej stronie ulicy albo właśnie pakuje to do bomby, podczas gdy my siedzimy tu i czekamy na nakaz.

- Federalni nic nie mówili, że to zagrożenie może się przenosić przez wodę - zauważył Bosch.

Hadley pokręcił głową.

- Nieważne. Sęk w tym, że mamy zagrożenie. Jestem pewien, że o tym federalni mówili. Zresztą niech FBI sobie gada. My bierzemy się do roboty.

Bosch cofnął się, próbując tchnąć w dyskusję odrobinę świeżego powietrza. To wszystko działo się zbyt szybko.

- A więc chcecie wejść? - zapytał.

Hadley mocno pracował szczęką, miażdżąc gumę w zębach. Zdawał się



nie zauważać silnego zapachu odpadków unoszącego się ze śmieciarki.

- Otóż to, chcemy wejść - odparł. - Jak tylko będziemy mieć w rękach nakaz.

- Sędzia podpisał wam nakaz tylko dlatego, że przed domem stoi skradziony samochód? - spytał Bosch.

Hadley machnął ręką jednemu ze swoich ludzi.

- Perez, przynieś torebki - zawołał. Zwracając się do Boscha, powiedział: - Nie, mamy coś więcej. Dzisiaj jest dzień wywózki śmieci, detektywie. Wysłałem na ulicę śmieciarkę i moi ludzie opróżnili dwa kubły stojące przed domem Samira. To absolutnie legalne, jak pan wie. I proszę, co znaleźliśmy.

Perez podbiegł do nich, niosąc plastikowe torebki z dowodami, które podał Hadley owi.

- Kapitanie, rozmawiałem z punktem obserwacyjnym - zameldował. - Ciągle spokój.

- Dziękuję, Perez.

Hadley odwrócił się z torebkami do Boscha i Ferrasa. Perez wrócił do samochodu.

- Nasz punkt obserwacyjny to facet na drzewie - wyjaśnił z uśmiechem Hadley. - Jeżeli ktoś się tam ruszy, zanim będziemy gotowi, da nam znać.

Podał torebki Boschowi. W dwóch znajdowały się czarne wełniane kominiarki. W trzeciej tkwiła kartka papieru z ręcznie narysowaną mapą. Bosch uważnie ją obejrzał. Widniała na niej siatka krzyżujących się linii, z których dwie były oznaczone jako Arrowhead i Mulholland. Kiedy to zobaczył, stwierdził, że mapa jest dość dokładnym szkicem dzielnicy, w której mieszkał i zginął Stanley Kent.

Bosch oddał torebki i pokręcił głową.

- Kapitanie, myślę, że powinien pan wstrzymać akcję.

Hadley wyglądał na wstrząśniętego tą propozycją.

- Wstrzymać? Niczego nie wstrzymujemy. Jeżeli ten facet i jego kumple doprowadzą do skażenia zbiornika tą trucizną, myśli pan, że mieszkańcy miasta spokojnie przyjmą do wiadomości, że wstrzymaliśmy akcję, bo musieliśmy dopiąć wszystko na ostatni guzik? Nie wstrzymujemy akcji.

Podkreślił swoją determinację, wyjmując gumę z ust i wrzucając ją do śmieciarki. Zdjął nogę ze zderzaka i ruszył w kierunku swojej grupy, lecz nagle zawrócił i podszedł prosto do Boscha.

- Jeżeli chodzi o moje zdanie, to w tym domu kryje się przywódca komórki terrorystycznej. Chcemy tam wejść i ją zlikwidować. O co panu chodzi, detektywie Bosch?

- Chodzi mi o to, że to jest za proste. Nie musimy niczego dopinać na ostatni guzik, bo właśnie to zrobili już mordercy. To dokładnie zaplanowana zbrodnia, kapitanie. Nie zostawiliby samochodu przed domem ani nie wyrzucali tych rzeczy do śmieci. Proszę się zastanowić.

Bosch zamilkł, przyglądając się, jak Hadley przez kilka chwil rozważa jego słowa. Wreszcie kapitan pokręcił głową.

- Może wcale nie zostawili tego samochodu - powiedział. - Może zamierzają go wykorzystać do transportu. Jest wiele znaków zapytania, Bosch. Wiele niewiadomych. Wchodzimy. Wyłożyliśmy sprawę sędziemu, a on powiedział, że mamy prawdopodobieństwo winy. Tyle mi wystarczy. Czekamy na nakaz wejścia bez pukania i zamierzamy z niego skorzystać.

Bosch nie dawał za wygraną.

- Skąd pan dostał cynk, kapitanie? Jak znaleźliście samochód?

Hadley znów zaczął pracować szczęką, lecz przypomniał sobie, że wyrzucił gumę.

- Z jednego z moich źródeł - odparł. - Od czterech lat budujemy sieć wywiadowców w tym mieście. Dzisiaj zbieramy owoce.

- To znaczy, że pan wie, kto jest źródłem, czy wiadomość była anonimowa?

Hadley zniecierpliwiony machnął ręką.

-Nieważne - oświadczył. - Informacja była dobra. Że to ten samochód. Co do tego nie ma wątpliwości.

Wskazał w stronę zbiornika. Unik Hadleya powiedział Boschowi, że wiadomość była anonimowa, co mogło oznaczać pułapkę.

- Kapitanie, nalegam, żeby się pan wycofał - rzekł Bosch. - Coś tu się nie zgadza. To się wydaje za proste, a plan wcale nie był prosty. Podejrzewam jakiś podstęp i musimy spraw...

-Nie wycofamy się, detektywie. Tu się może ważyć ludzkie życie.

Bosch pokręcił głową. Nie umiał przemówić Hadleyowi do rozsądku. Facet był przekonany, że tylko jeden krok dzieli go od zwycięstwa, które wymaże jego wszystkie dotychczasowe wpadki.

- Gdzie jest FBI? - spytał Bosch. - Czy agenci nie powinni...

-Nie potrzebujemy FBI - uciał Hadley, ponownie obracając się do Boscha i patrząc mu prosto w oczy. - Jesteśmy wyszkoleni, mamy sprzęt i praktykę. Poza tym mamy jaja. I tym razem sami zajmiemy się własnym podwórkiem.

Szerokim gestem pokazał cały teren, jak gdyby miała się tu rozegrać ostateczna bitwa między policją a FBI.

- A komendant? - spróbował Bosch. - Wie o tym? Właśnie...

Urwał, przypomniawszy sobie przestrożę komendanta, by nikomu nie mówić o spotkaniu w Donut Hole.

- Co właśnie? - spytał Hadley.

- Właśnie się zastanawiam, czy wie o tej akcji i się na nią zgadza.

- Komendant dał mi wolną rękę w kierowaniu jednostką. A pan dzwoni do komendanta przed każdym aresztowaniem?

Odwrócił się i z godnością odmaszerował do swoich ludzi, zostawiając Boscha i Ferrasa, którzy patrzyli w ślad za nim.

- Oho - powiedział Ferras.

- Taa - odrzekł Bosch.

Bosch oddalił się nieco od cuchnącej śmieciarki i wyciągnął telefon. Znalazł w spisie numer Rachel Walling. W momencie, gdy wcisnął przycisk, Hadley znów wszedł mu w drogę.

- Detektywie! Do kogo pan dzwoni?

Bosch odparł bez wahania:

- Do swojego porucznika. Poleciał mi, żebym go informował, co się dzieje.

- Żadnych rozmów przez telefony komórkowe. Mogą je monitorować.

- Kto?

- Proszę mi oddać telefon.

- Słucham?

- Proszę mi oddać telefon albo każę go panu odebrać. Nie pozwolę, żeby cokolwiek zagroziło operacji.

Bosch zamknął telefon, nie rozłączając się. Jeśli będzie miał szczęście, Walling odbierze telefon i będzie słuchać. Liczył na to, że Rachel

zorientuje się, co jest grane. Być może FBI uda się nawet namierzyć komórkę i dotrzeć do Silver Lake, zanim wszystko zupełnie się schrzani.

Oddał komórkę Hadleyowi, który odwrócił się do Ferrasa.

- Pański telefon, detektywie.
- Kapitanie, moja żona jest w dziewiątym miesiącu ciąży i muszę...
- Pański telefon. Albo jest pan z nami, albo przeciw nam.

Hadley wyciągnął rękę, a Ferras z ociąganiem zdjął komórkę z paska i oddał.

Hadley podszedł do jednego z samochodów terenowych, otworzył drzwi po stronie pasażera i włożył komórki do schowka. Zamaszyście zatrzasnął klapkę i wyzywająco spojrział na Boscha i Ferrasa, jak gdyby dawał im do zrozumienia, by nie wazyli się próbować ich odzyskać.

Uwagę kapitana odwrócił trzeci czarny wóz, który wjechał na parking. Kierowca pokazał mu uniesiony kciuk. Hadley wycelował palec w niebo i zakręcił nim młynka.

- No dobra, chłopaki - zawołał. - Mamy nakaz, wszyscy znają plan. Perez, wezwij wsparcie z powietrza, niech wezmą kamerę. Reszta do wozów! Wchodzimy!

Bosch z rosnącym przerażeniem przyglądał się, jak członkowie BBK ładują broń i nakładają hełmy z osłonami twarzy. Dwaj funkcjonariusze wyznaczeni do zespołu radiologicznego zaczęli zakładać skafandry ochronne.

- To szaleństwo - szepnął Ferras.
- Żółtki nie surfują\* - odparł Bosch.
- Co?
- Nic. Jesteś za młody, żeby to pamiętać.

\* Zdanie wypowiedziane przez podpułkownika Kilgore'a w filmie Francisa Forda Coppoli „Czas Apokalipsy”.

14

Wiatrak przechylił się nad trzydziestoakrową plantacją kauczukowców i siadł w strefie lądowania z silnym wstrząsem, który zdawał się miażdżyć kręgosłup. Hari Kari Bosch, Bunk Simmons, Ted Furness i Gabe Finley wyskoczyli w błoto, gdzie czekał na nich kapitan Gillette, przytrzymując hełm, by nie stracił go podmuch wirnika. Helikopter z trudem wyrwał płozy z błota - był pierwszy suchy dzień po sześciu dniach deszczu - wystartował i poleciał wzdłuż kanału irygacyjnego w kierunku kwatery III Korpusu.

- Chodźcie za mną - krzyknął Gillette.

Bosch i Simmons spędzili w kraju już tyle czasu, by zyskać sobie przydomki, lecz Furness i Finley jako nowicjusze odbywali przyspieszone szkolenie połączone z praktyką i Bosch wiedział, że obaj trzęsą portkami ze strachu. To miał być ich pierwszy desant, a nic, czego nauczyli się o tunelach w San Diego, nie mogło ich przygotować na rzeczywiste widoki, dźwięki i zapachy.

Kapitan zaprowadził ich do stolika ustawionego pod namiotem dowództwa, gdzie w skrócie przedstawił swój plan. Pod Ben Cat rozciągała się rozległa sieć tuneli, których zdobycie miało stanowić pierwszy krok do zajęcia wioski. Rosły straty w ludziach, ponieważ ginęli saperzy i żołnierze atakowani w obozach. Kapitan wyjaśnił, że codziennie dostaje opieprz od dowództwa III Korpusu. Ani słowem nie wspomniał, że

martwi go liczba zabitych i rannych. Ich dało się zastąpić, ale łaska pułkownika w III Korpusie była bezcenna.

Plan zakładał zamknięcie nieprzyjaciela w kotle. Kapitan rozłożył mapę sporządzoną z pomocą mieszkańców wioski, którzy byli w tunelach. Wskazał cztery ukryte wejścia i powiedział, że cztery tunelowe szczury wejdą jednocześnie i zagonią oddział Wietkongu w stronę piątego wejścia, gdzie wyrzną ich czekający na górze żołnierze 25. Dywizji Tropie Lightning. Bosch i jego towarzysze otrzymali także zadanie założenia ładunków wybuchowych, a operacja miała się zakończyć wysadzeniem systemu tuneli.

Plan wydawał się prosty, dopóki nie znaleźli się w ciemnościach labiryntu, który wyglądał zupełnie inaczej niż na mapie w namiocie. Do tuneli weszło czterech, ale żywy wyszedł tylko jeden. Tropie Lightning nie zlikwidował tego dnia nikogo. I tego dnia Bosch nie miał już wątpliwości, że ta wojna jest przegrana - przynajmniej dla niego. Wtedy dowiedział się, że kadra dowódcza często toczy bitwy z wrogiem we własnych szeregach. Bosch i Ferras siedzieli z tyłu w samochodzie kapitana Hadleya. Perez prowadził, a siedzący obok niego Hadley miał słuchawkę z mikrofonem, by dowodzić operacją. Odbiornik w wozie, z włączonym głośnikiem, był ustawiony na częstotliwość operacyjną - której próżno byłoby szukać w dostępnych publicznie spisach.

Jechali jako trzeci pojazd w kawalkadzie czarnych terenówek. Kilka budynków przed domem Samira Perez zahamował, by zgodnie z planem puścić przodem dwa samochody.

Bosch wychylił się między przednimi siedzeniami, aby lepiej widzieć, co się dzieje. Na stopniach po obu stronach każdego z pozostałych wozów

stało po czterech funkcjonariuszy. SUV-y nabrały szybkości, po czym ostro skręciły w stronę domu Samira. Jeden wjechał na podjazd przed niewielkim bungalowem w stylu American Craftsman i skierował się w stronę ogrodu, podczas gdy drugi pokonał krawężnik i przeciął trawnik z przodu. Gdy ciężki pojazd podskoczył na krawężniku, jeden z członków BBK stracił równowagę i upadł na trawę.

Pozostali zeskoczyli ze stopni i ruszyli do drzwi wejściowych. Bosch domyślił się, że to samo dzieje się pod drzwiami z tyłu domu. Sprzeciwiał się akcji, lecz podziwiał precyzję planu. Rozległ się głośny huk i ładunek wybuchowy wysadził drzwi. Niemal równocześnie taki sam odgłos dobiegł z za domu.

- Dobra, ruszaj - rozkazał Perezowi Hadley.

Gdy podjechali, w radiu rozbrzmiały meldunki z wnętrza domu.

- Jesteśmy w środku!
- Jesteśmy z tyłu!
- Przy wejściu czysto! Mamy...

Głos zagłuszyła kanonada z broni automatycznej.

- Otwarto ogień!
- Mamy...
- Otwarto ogień!

Bosch usłyszał więcej strzałów, ale już nie przez radio. Byli na tyle blisko, by słyszeć je na żywo. Perez zatrzymał samochód pod kątem w poprzek ulicy przed domem. Wszyscy czterej wyskoczyli z wozu, zostawiając otwarte drzwi, z za których jazgotało radio.

- Czysto! Czysto!
- Jeden z podejrzanych ranny. Potrzebna pomoc medyczna dla



podejrzanego. Potrzebna pomoc!

Wszystko trwało niecałe dwadzieścia sekund.

Bosch biegł przez trawnik za Hadleyem i Perezem. Miał Ferrasa po lewej. Wpadli do domu z uniesioną bronią. Natychmiast wyszedł do nich jeden z ludzi Hadleya. Nad prawą kieszenią miał naszywkę z nazwiskiem Peck.

- Czysto! Czysto!

Bosch opuścił pistolet, lecz nie chował go do kabury. Rozejrzył się. Stał w skromnie umeblowanym salonie. Poczł zapach prochu i zobaczył niebieski dym unoszący się w powietrzu.

- Co jest? - krzyknął Hadley.

- Jedna osoba ranna, druga zatrzymana - odrzekł Peck. - Tędy.

Ruszyli za Peckiem krótkim korytarzem prowadzącym do pokoju wyłożonego matami z plecionej trawy. Na podłodze leżał mężczyzna, w którym Bosch rozpoznał Ramina Samira. Z dwóch ran na piersi sączyła się krew, spływając po kremowym szlafroku na podłogę i matę. Młoda kobieta w identycznym szlafroku leżała twarzą do ziemi z rękami skutymi na plecach i jęczała.

Bosch dostrzegł rewolwer leżący na podłodze obok otwartej szuflady niewielkiej szafki, na której stały zapalone świece wotywnie. Broń znajdowała się około pół metra od Samira.

- Rąbnęliśmy go, jak sięgał po broń - powiedział Peck.

Bosch spojrzał na Samira. Mężczyzna był nieprzytomny, a jego pierś w nierównym rytmie unosiła się i opadała.

- Już spływa do ścieku - orzekł Hadley. - Co znaleźliśmy?

- Na razie ani śladu materiałów - zameldował Peck. - Właśnie wnosimy sprzęt.

- Dobra, chodźmy sprawdzić samochód - rozkazał Hadley. -I zabierzcie ją stąd.

Gdy dwaj funkcjonariusze BBK wynieśli płaczącą kobietę jak bezwładną kłodę, Hadley wyszedł z domu na ulicę, gdzie stał zaparkowany chrysler 300. Bosch i Ferras ruszyli za nim.

Zajrzeli do samochodu, lecz go nie dotykali. Bosch zauważył, że wóz jest otwarty. Pochylił się, żeby zajrzeć przez okno od strony pasażera.

- Kluczyki są w stacyjce - powiedział.

Wyjął z kieszeni parę lateksowych rękawiczek, rozciągnął je i nałożył.

- Niech go najpierw sprawdzą, Bosch - rzekł Hadley.

Kapitan dał znak człowiekowi uzbrojonemu w monitor promieniowania.

Funkcjonariusz omiótł urządzeniem samochód i tylko przy bagażniku rozległ się cichy sygnał.

- Coś tam może być - powiedział Hadley.

- Wątpię - odparł Bosch. - Nic tam nie ma.

- Bosch, zaczekaj...

Zanim Hadley zdążył dokończyć, Bosch wcisnął guzik otwierania bagażnika. Usłyszał pneumatyczny syk i kłapa się uniosła. Wycofał się z samochodu i podszedł do tyłu. Bagażnik był pusty, lecz Bosch zobaczył takie same cztery wgłębienia jak w bagażniku porsche Stanleya Kenta.

- Materiał zniknął-powiedział Hadley, zaglądając do bagażnika. - Pewnie już go gdzieś przetransportowali.

- Tak, na długo, zanim podstawiono tu samochód.

Bosch spojrział Hadley owi prosto w oczy.

- To był podstęp, kapitanie. Uprzedzałem pana.

Hadley ruszył w kierunku Boscha, aby powiedzieć mu coś bez świadków,

ale zatrzymał go Peck.

- Panie kapitanie?
- Co? - warknął Hadley.
- Podejrzany zrobił kod siedem.
- To odwołaj karetkę i wezwij koronera.
- Tak jest. Dom jest czysty. Nie ma materiału, a monitory nie wykrywają żadnego sygnału.

Hadley zerknął na Boscha, po czym szybko odwrócił wzrok na Pecka.

- Powiedz im, żeby sprawdzili jeszcze raz - rozkazał. - Gnojek sięgnął po broń. Musiał coś ukrywać. Przewróćcie dom do góry nogami, jeżeli będzie trzeba. Zwłaszcza ten pokój - wygląda na miejsce spotkań terrorystów.

- To pokój do modlitwy - wtrącił Bosch. - Może facet sięgnął po broń, bo cholernie się przeraził, kiedy ludzie weszli mu do domu z drzwiami.

Peck nie ruszał się z miejsca. Słuchał Boscha.

- Idź! - ryknął Hadley. - Przeszukać mi tę pieprzoną chałupę! Materiał był w ołowianym pojemniku. Jeżeli nie wykrywacie sygnału, to nie znaczy, że go tu nie ma!

Peck pędem wrócił do domu, a Hadley utkwił spojrzenie w Boschu.

- Samochód muszą sprawdzić technicy - powiedział Bosch. - Nie mam telefonu, żeby ich wezwać.
- Idź po telefon i dzwoń.

Bosch wrócił do SUV-a. Przyglądał się, jak pakują zatrzymaną kobietę na tylne siedzenie wozu zaparkowanego na trawniku. Ciągle płakała, a Bosch przypuszczał, że jeszcze długo będzie lała łzy. Teraz opłakiwała Samira, potem będzie opłakiwać swój los.

Wsadziwszy głowę do samochodu Hadleya, Bosch zauważył, że silnik ciągle pracuje. Przekręcił kluczyk, po czym otworzył schowek i wyciągnął dwa telefony. Otworzył swoją komórkę, aby sprawdzić, czy nie zostało przerwane połączenie z Rachel Walling. Połączenia nie było, ale i tak nie wiedział, czy w ogóle odebrała.

Kiedy odwrócił się od drzwi, stał przed nim Hadley. Znajdowali się z dala od innych i nikt nie mógł ich słyszeć.

- Bosch, jeżeli będziesz próbował narobić kłopotów temu oddziałowi, narobię kłopotów tobie. Rozumiesz?

Bosch przez chwilę przyglądał mu się badawczo.

- Jasne, kapitanie. Cieszę się, że myśli pan o swoim oddziale.

- Mam kontakty na samej górze i poza departamentem. Potrafię ci się dobrać do skóry.

- Dzięki za radę.

Bosch zaczął się oddalać, lecz nagle przystanął. Chciał coś powiedzieć, ale się wahał.

- Co? - spytał Hadley. - Mów.

- Myślałem właśnie o pewnym kapitanie, dla którego kiedyś pracowałem. To było dawno temu i w zupełnie innym miejscu. Czego by nie zrobił, wszystko spieprzył, a każdy jego błąd kosztował życie ludzi. Dobrych ludzi. To się musiało skończyć. Jeden z jego własnych ludzi wrzucił mu do latryny granat odłamkowy. Podobno potem nie mogli oddzielić jego szczątków od gówna.

Bosch ruszył, ale Hadley go zatrzymał.

- Co to ma znaczyć? To groźba?

- Nie, tylko taka historia.

- I tego faceta nazywasz dobrym człowiekiem? Coś ci powiem, ten facet cieszył się i wiwatował, kiedy samoloty uderzyły w wieżowce.

Bosch odpowiedział, nie zatrzymując się:

- Nie wiem, jakim był człowiekiem, kapitanie. Wiem tylko, że nie brał w tym udziału i został wrobiony tak samo jak pan. Jeżeli się pan dowie, kto dał cynk o samochodzie, proszę dać mi znać. To może być dla nas cenna informacja.

Bosch podszedł do Ferrasa i oddał mu telefon. Poleciał partnerowi zostać i nadzorować oględziny chryslera.

- Dokąd jedziesz, Harry?

- Do centrum.

- A zebranie z FBI?

Bosch nawet nie spojrzał na zegarek.

- I tak jesteśmy spóźnieni. Zadzwoń, jeżeli kryminalistyka coś znajdzie.

Bosch ruszył ulicą w kierunku centrum rekreacyjnego, gdzie zostawił swój samochód.

- Bosch, dokąd się wybierasz? - zawołał Hadley. - Jeszcze nie skończyłeś!

Bosch machnął ręką, nie odwracając się. Szedł dalej. Gdy był w połowie drogi do centrum rekreacyjnego, minęła go pierwsza furgonetka telewizyjna zmierzająca do domu Samira.

15

Bosch miał nadzieję, że dotrze do budynku federalnego przed wiadomością o szturmie nad dom Ramina Samira. Próbował się

dodzwonić do Rachel Walling, ale bezskutecznie. Wiedział, że Rachel może być w wydziale wywiadu taktycznego, nie miał jednak pojęcia, gdzie to jest. Wiedział tylko, gdzie jest budynek federalny i liczył na to, że ze względu na rosnącą wagę i rozmiary śledztwa, nie będzie nim kierowało żadne tajne biuro, lecz centrala.

Wszedł do budynku służbowym wejściem i poinformował szeryfa federalnego, który go wylegitymował, że idzie do FBI. Wjechał windą na czternaste piętro i gdy otworzyły się drzwi, powitał go Brenner. Najwyraźniej błyskawicznie przekazano na górę sygnał, że Bosch jest w budynku.

- Myślałem, że dostałeś wiadomość - powiedział Brenner.
- Jaką wiadomość?
- O odwołaniu zebrania.
- Powinienem to chyba wiedzieć, kiedy się tylko pojawiliście. W ogóle nie zamierzaliście organizować żadnego zebrania, co?

Brenner puścił pytanie mimo uszu.

- Czego chcesz, Bosch?
- Chcę się zobaczyć z agentką Walling.
- Jestem jej parterem. Wszystko, co chcesz jej powiedzieć, możesz powiedzieć mnie.
- Nie. Chcę rozmawiać tylko z nią.

Brenner przyglądał mu się przez chwilę.

- Chodź - rzekł w końcu.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył kartą magnetyczną drzwi i wszedł, a Bosch ruszył za nim. Gdy szli długim korytarzem, Brenner cały czas rzucał pytania przez ramię.

- Gdzie twój partner?
- Na miejscu zdarzenia - odparł Bosch.

Nie kłamał. Nie powiedział tylko, o które miejsce zdarzenia chodzi.

- Poza tym - dodał - uznałem, że tam będzie bezpieczniejszy. Nie chcę, żebyście próbowali go naciskać i przez niego dobrać się do mnie.

Brenner nagle się zatrzymał, obrócił i natarł na Boscha.

- Bosch, zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? Przeszkadzasz w śledztwie, które może mieć dalekosiężne konsekwencje. Gdzie jest świadek?

Bosch wzruszył ramionami, jak gdyby to było pytanie retoryczne.

- Gdzie jest Alicia Kent?

Brenner pokręcił głową, ale nie odpowiedział.

- Zaczekaj tu - rzekł. - Pójdę po agentkę Walling.

Brenner otworzył drzwi oznaczone numerem 1411 i przepuścił go przodem. Bosch stanął w progu i zobaczył mały, pozbawiony okien pokój przesłuchań, podobny do tego, w którym spędził część dzisiejszego poranka z Jessem Mitfordem. Nagle został wepchnięty do środka, a gdy się odwrócił, zdażył dojrzeć Brennera, który został w korytarzu. -Ej!

Bosch złapał za klamkę, ale było już za późno. Zostały zamknięte od zewnątrz. Załomotał dwa razy w drzwi, lecz wiedział, że Brenner ich nie otworzy. Odwrócił się, by zlustrować ciasną przestrzeń, w której został uwięziony. Tak jak w policyjnych pokojach przesłuchań, stały tu tylko trzy meble. Niewielki kwadratowy stół i dwa krzesła. Przypuszczając, że jest tu gdzieś zainstalowana kamera, Bosch wyciągnął rękę i uniósł środkowy palec. Dla wzmocnienia efektu potrząsnął dłonią.

Bosch wysunął krzesło i usiadł na nim przodem do oparcia, gotów to

przeczekać. Wyciągnął komórkę i otworzył. Wiedział, że jeśli go obserwują, nie pozwolą, by do kogoś dzwonił i informował o sytuacji -mogłoby to postawić biuro w niezręcznym położeniu. Gdy jednak spojrział na wyświetlacz, nie było sygnału. To był bezpieczny pokój. Nikt wewnątrz nie mógł nadawać ani odbierać sygnałów radiowych. Na federalnych zawsze można liczyć, pomyślał Bosch. O wszystko zadbają. Minęło dwadzieścia długich minut, po czym wreszcie otworzyły się drzwi. Weszła Rachel Walling. Zamknęła drzwi i bez słowa usiadła naprzeciw Boscha.

- Przepraszam, Harry, byłam w taktycznym.
- Cholera jasna, Rachel. Przetrzymujecie już gliniarzy wbrew ich woli?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Co ty wygadujesz?
- Co ty wygadujesz? - powtórzył kpiąco Bosch. - Twój partner mnie tu zamknął.
- Kiedy weszłam, nie było zamknięte. Sam spróbuj.

Bosch zbył te bajeczki machnięciem ręki.

- Daj spokój. Nie mam czasu na komedie. Co się dzieje ze śledztwem? Zacisnęła usta, jak gdyby zastanawiała się, jak odpowiedzieć.
- Przede wszystkim to, że ty i twój departament biegacie jak zgraja złodziei u jubilera i rozwalacie każdą gablotę w zasięgu ręki. Nie potraficie odróżnić szkiełek od brylantów.

Bosch skinął głową.

- Czyli już wiesz o Raminie Samirze.
- A kto nie wie? Mówili już w wiadomościach. Co tam się stało?



- Koncertowo spieprzyliśmy sprawę. Ktoś nas wrobił. Ktoś wrobił BBK.

- Zdaje się.

Bosch pochylił się nad stołem.

- Ale to coś znaczy, Rachel. Ludzie, którzy nasłali BBK na Samira, wiedzieli, kim jest i że będzie łatwym celem. Podstawili pod jego domem samochód Kentów, bo wiedzieli, że to łykniemy.

- Mogli też w ten sposób wziąć rewanż na Samirze.

- Jak to?

- Przez parę lat w CNN dolewał oliwy do ognia. Być może uważali, że szkodzi ich sprawie, bo daje wrogowi twarz, podsyca gniew Amerykanów i utwierdza ich w determinacji.

Bosch nie zrozumiał.

- Zdawało mi się, że celowo wywoływali poruszenie. Przecież uwielbiali tego faceta.

- Może. Trudno powiedzieć.

Bosch nie był pewien, co miała na myśli. Ale kiedy nachyliła się nad stołem, nagle zobaczył, jaka jest wściekła.

- Pogadajmy lepiej o tobie, o tym, jak sam koncertowo wszystko spieprzyłeś, zanim jeszcze znaleziono ten samochód.

- O czym tym mówisz? Staram się wyjaśnić sprawę zabójstwa. To mój...

- Tak, wyjaśnić sprawę zabójstwa kosztem narażenia na niebezpieczeństwo całego miasta, próbując z oślim, egoistycznym uporem...

- Przestań, Rachel, myślisz, że nie wiem, jakie zagrożenie wchodzi w

grę?

Pokręciła głową.

- Chyba nie wiesz, skoro ukrywasz przed nami kluczowego świadka. Nie rozumiesz, co robisz? Nie masz pojęcia, dokąd prowadzi śledztwo, bo musisz melinować świadków i z zaskoczenia spuszczać manto agentom.

Bosch odsunął się, wyraźnie zdumiony.

- Tak powiedział Maxwell, że spuściłem mu manto z zaskoczenia?

- Nieważne, co powiedział. Próbujemy opanować sytuację, która może się skończyć katastrofą, i zupełnie nic nie rozumiem z tego, co wyprawiasz.

Bosch pokiwał głową.

- To logiczne - powiedział. - Jeżeli wyłączacie kogoś z jego własnego śledztwa, nic dziwnego, że nie wiecie, co robi.

Uniosła ręce, jak gdyby chciała zatrzymać pędzący pociąg.

- Dobra, skończmy z tym. Pogadajmy spokojnie, Harry. O co ci chodzi?

Bosch popatrzył na nią, po czym przeniósł spojrzenie na sufit. Obejrzał rogi pokoju i utkwiał wzrok w jej oczach.

- Chcesz pogadać? To chodźmy się gdzieś przejść.

Nie wahała się ani chwili.

- W porządku - odrzekła. - Chodźmy na spacer. A potem dasz mi Mitforda.

Walling wstała i podeszła do drzwi. Bosch zauważył, jak rzuciła przelotne spojrzenie na kratkę przewodu wentylacyjnego na przeciwległej ścianie, co potwierdziło jego podejrzenia, że obserwowano ich oko kamery.

Otworzyła drzwi, a w korytarzu czekał Brenner w towarzystwie drugiego

agenta.

- Idziemy na mały spacer - poinformowała go Walling. - Sami.
- Bawcie się dobrze - odparł Brenner. - My tymczasem będziemy próbowali znaleźć cez, może uratujemy życie paru osobom.

Walling i Bosch nie odpowiedzieli. Rachel poszła przodem przez korytarz. Kiedy stanęli przed drzwiami windy, Bosch usłyszał za plecami czyjś głos.

- Hej, kolego!

Odwrócił się i w tym momencie ramię Maxwella trafiło go w pierś. Agent przygwoździł go do ściany i unieruchomił.

- Tym razem mamy małą przewagę liczebną, co, Bosch?!
- Przestań! - krzyknęła Walling. - Cliff, przestań!

Bosch złapał go za głowę i zamierzał założyć mu chwyt, żeby sprowadzić go do parteru. Ale rozdzieliła ich Walling, która odciągnęła Maxwella na bok i pchnęła go w głąb korytarza.

- Zabieraj się stąd, Cliff! Wracaj do roboty!

Maxwell zaczął się wycofywać. Ponad ramieniem Walling wycelował palec w Boscha.

- Wypierdalaj z mojego budynku! I więcej się tu nie pokazuj! Walling wcisnęła go do pierwszego otwartego pokoju i zamknęła drzwi. Zamieszanie zwabiło już na korytarz kilku agentów.

-Koniec przedstawienia - oznajmiła Walling. - Wracajcie do pracy.

Wróciła do Boscha i wepchnęła go do windy.

- Nic ci nie jest?
- Boli tylko jak oddycham.
- Sukinsyn! Facet zaczyna się wymykać spod kontroli. Zjechali na poziom garażu i przez wjazd wyszli na Los Angeles Street. Walling

skręciła w prawo, a Bosch po chwili się z nią zrównał. Oddalali się od zgiełku autostrady. Walling spojrzała na zegarek, po czym wskazała nowoczesny biurowiec.

- Mają tam niezłą kawę - powiedziała. - Ale nie mam za dużo czasu.

Był to nowy gmach Administracji Ubezpieczeń Społecznych.

- Jeszcze jeden budynek federalny - westchnął Bosch. - Agent Maxwell pewnie sądzi, że też należy do niego.

- Możesz już dać temu spokój?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu dziwię się, że Maxwell w ogóle się przyznał, że byliśmy w domu Kentów.

- Dlaczego miałby się nie przyznawać?

- Pomyślałem sobie, że postawiono go przed domem, bo podpadł za jakieś partactwo. Po co miałby się przyznawać i jeszcze bardziej sobie przechlapać?

Walling pokręciła głową.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała. - Po pierwsze, Maxwell jest ostatnio trochę podminowany, ale w taktycznym nie ma nikogo, kto by podpadł. To zbyt ważna praca, żeby mieć partaczy w zespole. Po drugie, nie obchodziło go, co kto pomyśli. Uważał, że będzie lepiej, jeżeli wszyscy się dowiedzą, jakimi wy jesteście partaczami.

Spróbował z innej strony.

- Powiedz mi, czy u was wiedzą o tobie i o mnie? Mam na myśli naszą dawną historię.

- Trudno, żeby po Echo Park nie wiedzieli. Ale mniejsza z tym, Harry. To dzisiaj nieważne. Co się z tobą dzieje? Szukamy ilości cezu, która by

wystarczyła do zamknięcia lotniska, a ciebie jakby to guzik obchodziło. Patrzysz na to tylko jak na morderstwo. W porządku, zginął człowiek, ale nie o to tu chodzi. To był skok, Harry. Rozumiesz? Chcieli cez i go mają. Dlatego dobrze by było, gdybyśmy mogli porozmawiać z jedynym znanym świadkiem. No więc gdzie on jest?

- Jest bezpieczny. Gdzie jest Alicia Kent? I współnik jej męża?
- Są bezpieczni. Wspólnika właśnie przesłuchują, a żona zostanie w taktycznym, dopóki nie będziemy pewni, że wyciągnęliśmy z niej wszystko, co się dało.
- Nie będzie wam mogła pomóc. Nie potrafiła...
- Tu się właśnie mylisz. Już nam bardzo pomogła.

Bosch spojrzał na nią z nieukrywanym zdziwieniem.

- Jak to? Przecież powiedziała, że nie widziała nawet ich twarzy.
- Nie widziała. Ale słyszała imię. Kiedy ze sobą rozmawiali, usłyszała imię.
- Jakie imię? Przedtem nic o tym nie mówiła.

Walling skinęła głową.

- Dlatego właśnie powinieneś przekazać nam świadka. Mamy ludzi, którzy specjalizują się wyłącznie w przesłuchiwanie świadków. Umiemy wyciągnąć z nich informacje, których wy nie potrafilibyście wyciągnąć. Jeżeli z nią się udało, z nim też się uda.

Bosch poczuł, że twarz oblewa mu się czerwienią.

- Jakie imię wyciągnął z niej ten mistrz przesłuchiwania?

Pokręciła głową.

- Nie będzie żadnej wymiany, Harry. W grę wchodzi bezpieczeństwo państwa. Jesteś z zewnątrz. I nawiasem mówiąc, to się nie zmieni, bez

względu na to, do kogo zadzwoni twój komendant.

Bosch już wiedział, że spotkanie w Donut Hole na nic się nie zdało. Nawet komendant okazał się osobą postronną. Imię podane przez Alicję Kent musiało rozświetlić federalną tablicę wyników jak Times Square.

- Mam tylko świadka - rzekł. - Mówię serio, wymienię go na to imię.
- Po co ci imię? Przecież nie masz najmniejszej szansy znaleźć tego człowieka.
- Chcę wiedzieć.

Skrzyżowała ręce na piersi, zastanawiając się przez chwilę. Wreszcie spojrzała na niego.

- Ty pierwszy - powiedziała.

Bosch z wahaniem patrzył w jej oczy. Pół roku wcześniej byłby gotów powierzyć jej własne życie. Wszystko się jednak zmieniło. Bosch nie był już taki pewien.

- Zamelinowałem go u siebie - powiedział. - Chyba pamiętasz, gdzie to jest.

Z kieszeni marynarki wyciągnęła komórkę i otworzyła, zamierzając zadzwonić.

- Chwileczkę, agentko Walling - powstrzymał ją Bosch. - Jakie imię podała wam Alicia Kent?
- Przykro mi, Harry.
- Była umowa.
- Przykro mi, bezpieczeństwo państwa.

Zacząła wstukiwac numer. Bosch pokiwał głową. Miał rację.

- Skłamałem - rzekł. - Nie ma go w moim domu.

Zatrzasnęła klapkę telefonu.

- Co z tobą? - spytała ze złością. W jej głosie zabrzmiał piskliwy ton. - Cez zaginał ponad czternaście godzin temu. Zdajesz sobie sprawę, że mogli już nafaszerować nim bombę? Mogli...

Bosch zrobił krok w jej stronę.

- Podaj mi to imię, a dostaniesz świadka.

- W porządku!

Odepchnęła go. Była wyraźnie zła, że dała się przyłapać na kłamstwie.

Drugi raz w ciągu niecałych dwunastu godzin.

- Powiedziała, że słyszała imię „Moby”. Z początku nie zwróciła na to szczególnej uwagi, bo się po prostu nie zorientowała, że to imię.

- Dobra, kto to jest Moby?

- Syryjski terrorysta Momar Azim Nassar. Podobno jest w kraju. Wśród przyjaciół i współpracowników znany jako Moby. Nie wiemy dlaczego, ale rzeczywiście trochę przypomina Moby'ego, tego artystę.

- Kogo?

- Nieważne. Nie z twojego pokolenia.

- Ale jesteś pewna, że słyszała to imię?

- Tak. Sama je nam podała. A ja przekazałam tobie. No więc gdzie jest świadek?

- Zaczekaj. Już raz mnie okłamałaś.

Bosch wyciągnął telefon, chcąc zadzwonić do partnera, lecz przypomniał sobie, że Ferras prawdopodobnie nadal jest w Silver Lake i nie będzie mógł spełnić jego prośby. Otworzył spis telefonów, odnalazł numer Kiz Rider i wcisnął przycisk połączenia.

Rider odebrała natychmiast. Ekran wyświetlił numer Boscha.

- Cześć, Harry. Masz dzisiaj sporo roboty.

- Wiesz od komendanta?
- Mam parę swoich źródeł. Co jest?

Bosch rozmawiał z nią, patrząc na Walling i widząc, jak jej oczy ciemnieją z gniewu.

- Mam prośbę do dawnej partnerki. Ciągłe nosisz do pracy laptopa?
- Oczywiście. Co to za prośba?
- Możesz z tego komputera wejść do archiwum „New York Timesa”?
- Mogę.
- Dobrze. Mam pewne nazwisko i chciałbym, żebyś sprawdziła, czy pojawiło się w jakichś artykułach.
- Zaczekaj. Muszę wejść do sieci.

Minęło kilka sekund. Rozległ się sygnał oznaczający drugą rozmowę, ale Bosch nie rozłączał się z Rider, która po chwili była gotowa.

- Jakie nazwisko?

Bosch zasłonił ręką telefon i poprosił Walling o pełne imię i nazwisko syryjskiego terrorysty. Następnie powtórzył je Rider i czekał.

- Tak, długa lista artykułów - powiedziała. - Najstarsze sprzed ośmiu lat.
- Streść mniej więcej.

Znów musiał poczekać.

- Hm, głównie relacje z Bliskiego Wschodu. Jest podejrzany o udział w paru porwaniach, zamachach bombowych i tak dalej. Według źródeł federalnych ma związki z Al-Kaidą.
- O czym jest najnowszy artykuł?
- Zaraz... O ataku bombowym na autobus w Bejrucie. Szesnaście ofiar śmiertelnych. Artykuł jest z trzeciego stycznia dwa tysiące czwartego.



Potem już nic.

- Wymienia się tam jakieś pseudonimy albo przydomki?
- Hm... nie. Niczego nie widzę.
- Dobra, dzięki. Zadzwonię później.
- Chwileczkę. Harry?
- Co? Muszę już kończyć.
- Słuchaj, chcę ci tylko powiedzieć, żebyś był ostrożny. Grasz w zupełnie innej lidze niż zwykle.
- Dobra, będę pamiętał - odrzekł Bosch. - Muszę kończyć.

Rozłączył się i spojrzał na Rachel.

- „New York Times” ani słowem nie wspomina, że ten facet jest w kraju.
- Bo nikt o tym nie wie. Dlatego sądzimy, że Alicia Kent nie kłamała.
- Jak to? Wierzycie jej na słowo, że gość jest w kraju, tylko dlatego, że usłyszała jakieś słowo, które może wcale nie było imieniem?

Walling założyła ręce na piersi. Traciła cierpliwość.

- Nie, Harry, po prostu wiemy, że jest w kraju. Mamy zapis wideo z kontroli paszportowej w Porcie Los Angeles z sierpnia zeszłego roku. Nie zdążyliśmy go zdjąć. Przypuszczamy, że był z nim inny bojownik Al-Kaidy, Muhammad El-Fayed. W jakiś sposób udało się im przeniknąć do kraju - cholera, mamy granice jak sito - i Bóg jeden wie, co planują.
- Myślisz, że to oni mają ceź?
- Tego nie wiemy. Ale z informacji na temat El-Fayedada wynika, że pali tureckie papierosy bez filtra i...
- Popiół z toalety.

Przytaknęła.

- Zgadza się. Analiza jeszcze trwa, ale w biurze mamy osiem głosów do jednego, że to był turecki papieros.

Bosch skinął głową i nagle poczuł się okropnie głupio z powodu swoich posunięć i ukrywania istotnych informacji.

- Umieściliśmy świadka w hotelu Mark Twain na Wilcox - powiedział.

- Pokój trzysta trzy, pod nazwiskiem Stephen King.

- Uroczo.

- Rachel?

- Co?

- Powiedział nam, że morderca, zanim nacisnął spust, wzywał imienia Allaha.

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem, ponownie wyciągając telefon.

Wcisnęła jeden klawisz i czekając na połączenie, powiedziała do Boscha:

- Módl się, żebyśmy dopadli tych ludzi, zanim...

Urwała, gdy ktoś odezwał się w słuchawce. Przekazała wiadomość, nie przedstawiając się ani nie witając z rozmówcą.

- Jest w hotelu Mark Twain na Wilcox. Pokój trzysta trzy. Jedźcie po niego.

Zamknęła telefon i popatrzyła na Boscha. Wahanie w jej oczach ustąpiło miejsca wyrazowi rozczarowania i lekceważenia.

- Muszę już iść - powiedziała. - Lepiej trzymać się z daleka od lotnisk, metra i centrów handlowych, dopóki nie znajdziemy cezu.

Odwróciła się i zostawiła go na środku ulicy. Bosch patrzył w ślad za nią, gdy nagle zadzwoniła jego komórka. Odebrał, nie odrywając wzroku od Rachel. To był Joe Felton, zastępca koronera.

- Harry, ciągle próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Co jest, Joe?
- Właśnie przyjechaliśmy do „Queen of Angels” po ciało - jakiegoś gangstera, którego odłączyli od aparatury po wczorajszej strzelaninie w Hollywood.

Bosch przypomniał sobie sprawę, o której mówił Jerry Edgar.

- No i?

Bosch wiedział, że lekarz nie zadzwoniłby do niego, żeby zajmować mu czas. Musiał mieć powód.

- No więc wpadłem do bufetu na kawę i przypadkiem usłyszałem rozmowę ratowników o gościu, którego właśnie przywieźli. Mówili, że na izbie przyjęć rozpoznali u niego OCP, a mnie przyszło do głowy, że to może mieć związek z tamtym facetem w punkcie widokowym. Wiesz, bo nosił na palcach dawkomierze.

- Joe, co to jest OCP? - spytał cicho Bosch.

- Ostra choroba popromienna. Ratownicy mówili, że nie wiedzą z czym ten gość miał kontakt. Był poparzony i ciągle rzygał, a lekarz na izbie powiedział, że musiał dostać cholernie dużą dawkę, Harry. Teraz ratownicy muszą sprawdzić, czy sami nie są napromieniowani.

Bosch zaczął iść w kierunku Rachel Walling.

- Gdzie go znaleźli?

- Nie pytałem, ale skoro przywieźli go tutaj, to pewnie gdzieś w Hollywood.

Bosch przyspieszył kroku.

- Joe, zaczekaj tam na mnie i niech ktoś z ochrony szpitala przypilnuje tego faceta. Już jadę.

Bosch zatrzaskał klapkę telefonu i co sił w nogach ruszył biegiem za

Rachel.

16

Sznur samochodów na Hollywood Freeway posuwał się powoli w kierunku centrum. Zgodnie z prawami fizyki ruchu drogowego - według których każdej akcji towarzyszy reakcja równa co do wartości i skierowana przeciwnie - na północnej nitce autostrady Harry Bosch miał prawie wolną drogę. Oczywiście pomagała mu syrena i światła ostrzegawcze, na których dźwięk i widok nieliczni kierowcy szybko zjeżdżali na bok. Innym dobrze znanym Boschowi pojęciem była „siła czynna”. Pędził starym fordem crown victoria sto czterdzieści pięć na godzinę, mocno ściskając kierownicę.

- DOKĄD JEDZIEMY? - pytała Rachel Walling, przekrzykując wycie syreny.

- Mówiłem ci. Zabieram cię do cezu.

- To znaczy?

- To znaczy, że karetka właśnie przywiozła do „Queen of Angels” faceta z objawami ostrej choroby popromiennej. Za cztery minuty będziemy na miejscu.

- Niech to szlag! Dlaczego nie powiedziałeś?

Chciał po prostu uzyskać przewagę, ale tego jej nie powiedział. Milczał, podczas gdy Walling otworzyła telefon i wstukiwiała numer. Po chwili sięgnęła do dachu i wyłączyła dzwignikę syreny.

- Co robisz? - krzyknął Bosch. - Musi być włączona...

- A ja muszę mieć warunki do rozmowy!

Bosch zdjął nogę z gazu i dla bezpieczeństwa zwolnił do stu dziesięciu. Po

chwili usłyszał, jak Rachel rzuca do słuchawki polecenia. Miał nadzieję, że telefon odebrał Brenner, nie Maxwell.

- Skieruj zespół z „Marka Twaina” do „Queen of Angels”. Zawiadom oddział ochrony radiacyjnej, niech też tam przyjadą.

Przyślij wsparcie i grupę ekspertów z Departamentu Energetyki. Mamy przypadek napromieniowania, który może nas doprowadzić do zaginionych materiałów. Zadzwoń potem do mnie. Będę na miejscu za trzy minuty.

Zamknęła telefon, a Bosch ponownie włączył syrenę.

- POWIEDZIAŁEM, ŻE ZA CZTERY MINUTY! - wrzasnął.

- POSTARAJ SIĘ! - odkrzyknęła Walling.

Znów wcisnął pedał gazu, mimo że nie musiał. Był pewien, że pierwsi dotrą do szpitala. Minęli już Silver Lake i zbliżali się do Hollywood. Ale ilekroć miał okazję legalnie rozpędzić wóz do stu pięćdziesięciu na Hollywood Freeway, zawsze z niej korzystał. Niewiele osób w mieście mogło się pochwalić, że dokonało tego w biały dzień.

- KIM JEST OFIARA? - krzyknęła Rachel.

- NIE MAM POJĘCIA!

Przez długą chwilę nie odzywali się do siebie. Bosch skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. I na szczegółach sprawy. Mnóstwo rzeczy nie dawało mu spokoju. Musiał się podzielić z Rachel gnębiącymi go pytaniami.

- JAK TWOIM ZDANIEM GO ZNALEŻLI? - zapytał.

- CO? - krzyknęła Walling, wyrwana z zamyślenia.

-MOBY I EL-FAYED. JAK NAMIERZYLI STANLEYA KENTA?

- NIE WIEM. MOŻE BĘDZIEMY MOGLI ZAPYTAĆ, JEŻELI TO

JEDEN Z NICH JEST W SZPITALU.

Bosch umilkł, zmęczony krzykiem. Zaraz jednak zadał kolejne pytanie.

-NIE ZASTANAWIA CIĘ, ŻE WSZYSTKO POCHODZIŁO Z TEGO DOMU?

- O CZYM TY MÓWISZ?

- O RZECZACH, KTÓRYCH UŻYLI. BRONŃ, APARAT, KOMPUTER. WSZYSTKO. W SPIŻARNI STOI COLA W LITROWYCH BUTELKACH, ZWIĄZALI ALICIE KENT IDENTYCZNYMI OPASKAMI, JAKIMI PODWIĄZY WAŁA RÓŻE W OGRODZIE. NIE DZIWI CIĘ TO? GDY WESZLI DO DOMU, MIELI TYLKO NÓŻ I KOMINIARKI. W OGÓLE CIĘ TO NIE DZIWI?

- MUSISZ PAMIĘTAĆ, ŻE SĄ BARDZO ZARADNI. UCZĄ SIĘ TEGO W OBOZACH. EL-FAYED BYŁ SZKOLONY W OBOZIE AL-KAIDY W AFGANISTANIE. I NAUCZYŁ NASSARA. WYSTARCZA IM TO, CO MAJĄ POD RĘKĄ. MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE ZBURZYLI WORLD TRADE CENTER ZA POMOCĄ DWÓCH SAMOLOTÓW I DWÓCH SKŁADANYCH NOŻY WSZYSTKO ZALEŻY OD TEGO, JAK NA TO SPOJRZYSZ. WAŻNIEJSZE OD NARZĘDZI JEST ICH ZDECYDOWANIE - JAK SAM NA PEWNO DOBRZE WIESZ.

Bosch chciał odpowiedzieć, ale dotarli do zjazdu z autostrady i musiał się skupić na manewrowaniu między samochodami na ulicach. Po dwóch minutach wyłączył syrenę i zatrzymał forda przed szpitalem „Queen of Angels” na podjeździe dla karettek.

Felton czekał na nich w zatłoczonej izbie przyjęć, a potem zaprowadził ich do sali oddziału ratunkowego, w której znajdowało się sześć stanowisk dla pacjentów. Przed jednym z zasłoniętych łóżek stał ochroniarz. Bosch

podszedł do niego i pokazał odznakę. Niemal nie zwracając uwagi na wynajętego strażnika, odsunął zasłonę i podszedł do łóżka.

Pacjent - drobny, ciemnowłosy mężczyzna o brązowej skórze -leżał pod gęstą siecią rurek i przewodów, które łączyły jego ręce, nogi, usta i nos z aparaturą medyczną. Łóżko przykrywał przezroczysty plastikowy namiot. Mężczyzna zajmował zaledwie połowę łóżka i wyglądał jak ofiara zaatakowana przez otaczającą go maszynę.

Miał półprzymknięte, nieruchome oczy i obnażone prawie całe ciało. Genitalia przysłaniał niewielki ręczniczek, ale nogi i tułów były widoczne. Prawą stronę brzucha i prawe biodro pokrywały czerwone ślady oparzeń. Na skórze prawej ręki widniały identyczne bolesne oparzeliny - czerwone kręgi otaczające wilgotne, fioletowe pęcherze. Oparzenia posmarowano jakimś przezroczystym żelem, lecz odnosiło się wrażenie, że to niewiele pomogło.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Bosch.

- Harry, nie podchodź - ostrzegła Walling. - Jest nieprzytomny, więc zanim cokolwiek zrobimy, lepiej chodźmy porozmawiać z lekarzem.

Bosch wskazał na oparzenia pacjenta.

- To może być od cezu? - spytał. - Tak szybko?

- Owszem, jeżeli doszło do bezpośredniej ekspozycji na dużą dawkę. Zależy, jak długo trwała ekspozycja. Wygląda na to, że ten facet nosił materiał radioaktywny w kieszeni.

- Wygląda jak Moby albo El-Fayed?

- Nie, nie przypomina żadnego z nich. Chodź.

Walling cofnęła się za zasłonę, a Bosch poszedł za nią. Poleciała ochroniarzowi sprowadzić lekarza, który zajmował się pacjentem.

Otworzyła telefon i wcisnęła jeden przycisk. Odebrano natychmiast.

- To potwierdzone - powiedziała. - Mamy przypadek bezpośredniej ekspozycji. Trzeba założyć stanowisko dowodzenia i uruchomić procedurę awaryjną.

Przez chwilę słuchała, a potem odpowiedziała na pytanie:

- Nie, to żaden z nich. Nie znam jeszcze tożsamości. Zadzwoń, kiedy tylko będę wiedziała.

Zamknęła komórkę i spojrzał na Boscha.

- W ciągu dziesięciu minut będzie tu zespół radiologiczny - powiedziała. - Będę dowodzić akcją.

Podeszła do nich kobieta w niebieskim kitlu, z podkładką z dokumentami w ręku.

- Jestem doktor Garner. Nie należy się zbliżać do pacjenta, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o tym, co się z nim stało.

Walling i Bosch pokazali legitymacje.

- Co może nam pani powiedzieć? - spytała Rachel.

- Na razie niewiele. Ma pełen zespół objawów prodromalnych - pierwsze symptomy napromieniowania. Kłopot w tym, że nie wiemy, z czym miał kontakt ani jak długo trwała ekspozycja. Dlatego nie znamy pochłoniętej dawki, a bez tego nie możemy podjąć właściwej terapii. Improvizujemy.

- Jakie są objawy? - pytała dalej Walling.

- Oparzenia państwo widzą. To jednak najmniejszy problem. Poważniejsze są obrażenia wewnętrzne. Przestaje działać układ odpornościowy, większa część nabłonka żołądkowego uległa uszkodzeniu. Układ pokarmowy nie pracuje. Ustabilizowaliśmy go, ale nie mam zbyt



wielkiej nadziei. Rozmiar urazów doprowadził do zatrzymania akcji serca. Piętnaście minut temu był tu zespół reanimacyjny.

- Ile czasu po ekspozycji mogą wystąpić te objawy prodromo... czy jak to się nazywa? - zapytał Bosch.

- Prodromalne. W ciągu godziny od pierwszej ekspozycji.

Bosch spojrział na człowieka leżącego pod plastikowym baldachimem. Przypomniał sobie, co powiedział kapitan Hadley, gdy Samir umierał na podłodze swojego pokoju do modlitwy. „Spływa do ścieku”. Wiedział, że mężczyzna na szpitalnym łóżku też już tam spływa.

- Może nam pani powiedzieć, kto to jest i gdzie go znaleziono? - spytał Bosch.

- Ratownicy powiedzą państwu, gdzie go znaleźli - odrzekła doktor Garner. - Nie miałam czasu się tym zajmować. Słyszałam tylko, że znaleziono go leżącego na ulicy. Jeżeli natomiast chodzi o nazwisko...

Uniosła podkładkę i odczytała z kartki:

- Digoberto Gonzalves, czterdzieści jeden lat. Nie mam tu jego adresu. W tym momencie nic więcej nie wiem.

Walling odeszła na bok, ponownie wyciągając telefon. Bosch domyślił się, że chce podać nazwisko swoim ludziom, żeby sprawdzili je w bazach danych terrorystów.

- Co się stało z jego ubraniem? - zapytał lekarki. - Gdzie jest jego portfel?

- Ubranie i wszystkie rzeczy usunięto z oddziału ze względu na zagrożenie radiologiczne.

- Ktoś je przeglądał?

- Nie, nikt nie chciał ryzykować.

- Dokąd je zabrano?
- Dowie się pan od personelu pielęgniarstwa.

Wskazała stanowisko pielęgniarek znajdujące się pośrodku sali. Bosch ruszył w tę stronę. Dyżurna pielęgniarka poinformowała go, że wszystkie rzeczy pacjenta umieszczono w pojemniku z odpadkami medycznymi, który następnie zabrano do spalarni. Nie wiadomo, czy tak nakazywały szpitalne przepisy o zagrożeniu skażeniem, czy zrobiono tak wyłącznie ze strachu przed niewiadomymi związanymi z osobą Gonzalvesa.

- Gdzie jest spalarnia?

Zamiast wskazać mu drogę, pielęgniarka wezwała ochroniarza i poprosiła go, by zaprowadził Boscha do spalarni. Zanim Bosch odszedł, zawołała go Walling.

- Weź to - powiedziała, podając mu monitor promieniowania, który zdjęła z paska. - I pamiętaj, zaraz tu będzie zespół radiologiczny. Sam lepiej nie ryzykuj. Jeżeli włączy się alarm, wycofaj się. Mówię poważnie. Masz się wycofać.

- Rozumiem.

Bosch włożył urządzenie do kieszeni. Razem z ochroniarzem szybko wyszli na korytarz, a potem schodami zeszli do piwnicy. Następnie skręcili w kolejny korytarz, który sięgał co najmniej przeciwległego końca budynku.

Gdy dotarli do spalarni, pomieszczenie było puste, a w piecu nie paliły się żadne odpady medyczne. Na podłodze stał metalowy pojemnik wysokości jednego metra. Pokrywa była zabezpieczona taśmą z napisem UWAGA: NIEBEZPIECZNE ODPADY.

Bosch wyciągnął klucze, przy których nosił niewielki scyzoryk. Kucnął

obok pojemnika i przeciął taśmę. Kątem oka dostrzegł, jak ochroniarz cofa się o krok.

- Może zaczeka pan na zewnątrz - powiedział Bosch. - Nie ma potrzeby, żebyśmy obaj...

Zanim zdążył skończyć zdanie, usłyszał trzask zamykanych drzwi.

Spojrzał na pojemnik, głęboko nabrał powietrza i zdjął pokrywę. Zobaczył wrzucone byle jak ubranie Digoberta Gonzalvesa.

Wyciągnął z kieszeni monitor, który dała mu Walling, i niczym czarodziejską różdżką pomachał nim nad pojemnikiem. Aparat nie wydał żadnego sygnału. Bosch wypuścił powietrze, po czym jednym płynnym ruchem, jak gdyby opróżniał kosz na śmieci, obrócił pojemnik i wysypał jego zawartość na betonową posadzkę. Odrzucił pojemnik na bok i jeszcze raz wykonał aparatem parę określonych ruchów nad ubraniem. Alarm milczał.

Odzież Gonzalvesa została rozcięta nożyczkami. Składała się z pary brudnych dżinsów, flanelowej koszuli, T-shirtu, bielizny i skarpet. Stroju dopełniała para butów roboczych, których sznurowadła także przecięto nożyczkami. Na podłodze między rzeczami leżał mały portfel z czarnej skóry.

Bosch zaczął od ubrań. W kieszeni koszuli znalazł długopis i ciśnieniomierz do opon. Z tylnej kieszeni dżinsów wyciągnął rękawice robocze, a z lewej przedniej kieszeni klucze i telefon komórkowy.

Pomyślał o oparzeniach, które widział na prawym biodrze i ręce Gonzalvesa. Kiedy jednak zajrzał do prawej przedniej kieszeni dżinsów, nie znalazł cezu. Kieszeń była pusta.

Bosch położył komórkę i klucze obok portfela. Na jednym z kluczy

zauważył logo Toyoty. Wiedział już, że w grę wchodzi samochód. Otworzył telefon i próbował odnaleźć spis numerów, ale nie potrafił sobie poradzić z aparatem. Odłożył go na bok i otworzył portfel.

Niewiele w nim było. Zobaczył meksykańskie prawo jazdy z nazwiskiem i fotografią Digoberta Gonzalvesa. Pochodził z Oaxaca. W jednej z przegródek Bosch znalazł zdjęcia kobiety i trojga małych dzieci - przypuszczał, że zrobiono je w Meksyku. Nie było zielonej karty ani certyfikatu obywatelstwa. Gonzalves nie miał kart kredytowych, a w części przeznaczonej na gotówkę tkwiło tylko sześć banknotów dolarowych oraz kilka kwitów z lombardów w Dolinie.

Bosch położył portfel obok telefonu, wstał i wyciągnął swoją komórkę. Szybko odnalazł w spisie numer Walling.

Odebrała natychmiast.

- Sprawdziłem jego rzeczy. Ani śladu cezu.

Nie było odpowiedzi.

- Rachel, mówię...

- Tak, słyszałam. Po prostu żałuję, że nie znalazłeś cezu, Harry.

Szkoda, że to jeszcze nie koniec.

- Ja też żałuję. Znalazłaś coś na to nazwisko?

- Jakie nazwisko?

- Gonzalves. Kazałaś je sprawdzić, nie?

- Ach, tak. Nie, nic nie ma. Zupełnie nic, nawet prawa jazdy.

Nazwisko musi być fałszywe.

- Mam tu meksykańskie prawo jazdy. Wydaje mi się, że facet jest nielegalnym imigrantem.

Zastanowiła się nad tym.

- Podobno Nassar i El-Fayed dotarli tu przez Meksyk. Może tu się kryje związek. Może ten facet z nimi pracował.
- Nie wiem, Rachel. Miał ubranie robocze. Robocze buty. Chyba po prostu...
- Harry, muszę kończyć. Jest już mój zespół.
- Dobra. Wracam do ciebie.

Bosch włożył telefon do kieszeni, po czym wrzucił ubrania i buty z powrotem do pojemnika. Portfel, klucze i komórkę położył na wierzchu i wyszedł ze spalarni, zabierając ze sobą pojemnik. W długiej drodze przez korytarz ponownie wyciągnął telefon i zadzwonił do miejskiego centrum powiadomienia ratunkowego. Zapytał dyżurną o szczegóły wezwania karetki, która przywiozła Gonzalvesa do „Queen of Angels” i poproszono go, żeby zaczekał.

Bosch zdążył pokonać schody i dotrzeć na izbę przyjęć, gdy dyżurna odezwała się ponownie.

- Zgłoszenie, o które pan pytał, przyjęto o dziesiątej pięć. Ktoś zadzwonił z telefonu zarejestrowanego na punkt Easy Print przy Cahuenga Boulevard dziewięćset trzydzieści i zawiadomił, że na parkingu leży człowiek. Do wezwania wyjechali ratownicy z posterunku straży pożarnej numer pięćdziesiąt cztery. Byli na miejscu po sześciu minutach i dziewiętnastu sekundach. Coś jeszcze?
- Jakie jest najbliższe skrzyżowanie?

Po chwili dyżurna poinformowała go, że najbliższą poprzeczną ulicą jest Lankershim Boulevard. Bosch podziękował jej i się rozłączył.

Gonzalvesa znaleziono niedaleko punktu widokowego na Mulholland. Bosch uświadomił sobie, że prawie wszystkie miejsca w jakikolwiek

sposób związane ze sprawą - miejsce zbrodni, dom ofiary, dom Samira, a teraz także parking, na którym zasłabł Gonzalves - nie są zbyt daleko od siebie oddalone. Zwykle podczas śledztw w sprawie morderstwa Bosch musiał się przemieszczać do najbardziej odległych zakątków miasta. Tu jednak było inaczej.

Bosch rozejrzał się po izbie przyjęć. Zauważył, że w zatłoczonej przedtem poczekalni nie ma już nikogo. Przeprowadzono ewakuację, a po oddziale krążyli agenci w strojach ochronnych, uzbrojeni w monitory promieniowania. Dostrzegł Rachel Walling stojącą przy stanowisku pielęgniarek i podszedł do niej, pokazując jej pojemnik.

- To są jego rzeczy.

Walling wzięła pojemnik, postawiła na podłodze, po czym wezwała jednego z ludzi w ochronnych skafandrach. Poleciała mu zająć się pojemnikiem. Spojrzała na Boscha.

- W środku jest telefon komórkowy - powiedział. - Może się uda coś z niego wyciągnąć.

- Przekażę im.

- Co z ofiarą?

- Z ofiarą?

- Nawet jeżeli był w to zamieszany, mimo wszystko jest ofiarą.

- Skoro tak twierdzisz. Ciągłe nieprzytomny. Nie wiem, czy w ogóle będziemy mieli okazję z nim porozmawiać.

- Wobec tego jadę.

- Co? Dokąd? Jadę z tobą.

- Myślałem, że musisz kierować akcją.

- Dałam sobie z tym spokój. Jeżeli w szpitalu nie ma cezu, nic tu po

mnie. Zostanę z tobą. Powiem tylko paru osobom, że jadę sprawdzić trop. Bosch zawahał się. W głębi duszy wiedział jednak, że chce, by mu towarzyszyła.

- Czekam w samochodzie.
- Dokąd jedziemy?
- Nie wiem, czy Digoberto Gonzalves jest terrorystą, czy tylko ofiarą, ale wiem jedno. Jeździ toyotą. I chyba wiem, gdzie ją znajdziemy.

17

Harry Bosch wiedział, że w przełęczy Cahuenga prawa fizyki ruchu drogowego nie będą działały na jego korzyść. Przez wąskie gardło przesmyku w łańcuchu górskim samochody na obu nitkach Hollywood Freeway zawsze sunęły w żółwym tempie. Postanowił trzymać się ulic i ruszył w kierunku przełęczy Highland Avenue, mijając Holywood Bowl. Po drodze przekazywał Rachel Walling nowe informacje.

- Karetkę wezwano z punktu ksero na Cahuenga niedaleko Lankershim. Gonzalves musiał być w tej okolicy, kiedy zasłabł. Ktoś zawiadomił, że na parkingu leży człowiek. Mam nadzieję, że właśnie tam stoi jego toyota. Idę o zakład, że jeżeli ją znajdziemy, znajdziemy cez. Pytanie tylko, po co go miał.

- I dlaczego był na tyle głupi, żeby nosić cez w kieszeni bez żadnej ochrony - dodała Walling.

- Zakładasz, że wiedział, co to jest. Może nie miał zielonego pojęcia. Może jest inaczej, niż się nam wydaje.

- Bosch, coś musi łączyć GonzaWesa z Nassarem i El-Fayedem. Prawdopodobnie przeprowadził ich przez granicę.

Bosch omal się nie uśmiechnął. Dobrze pamiętał, że gdy chciała okazać mu serdeczność, zwracała się do niego po nazwisku. Kiedyś tak było.

- Nie zapominaj o Raminie Samirze - zauważył.

Walling pokręciła głową.

- Ciągłe mi się wydaje, że to był fałszywy trop - odrzekła. -Zmyłka.

- Całkiem niezła - powiedział Bosch. - Dzięki niej wszechwładny kapitan Done Badly został wyłączony z gry.

Zaśmiała się.

- Tak go nazywają?

Bosch skinął głową.

- Oczywiście za jego plecami.

- A ty jakie masz przezwisko? Pewnie jakiegoś zimnego twardziela.

Zerknął na nią i wzruszył ramionami. Wahał się, czy nie powiedzieć jej, że w Wietnamie nazywano go Hari Kari, ale musiałby jej tłumaczyć dlaczego, a to nie była na to najlepsza pora i miejsce.

Wjechał z Highland na Cahuenga. Ulica biegła równoległe do autostrady i kiedy spojrział w tę stronę, przekonał się, że miał rację. Hollywood Freeway była zakorkowana w obu kierunkach.

- Wiesz, ciągle miałem w komórce twój numer - powiedział. -Chyba nigdy nie chciałem go usuwać.

- Zastanawiałam się nad tym, kiedy zostawiłeś mi dzisiaj tę wredną wiadomość o popiele z papierosa.

- Przypuszczam, że ty nie zachowałeś mojego numeru, Rachel.

Odpowiedziała po dłuższej chwili milczenia.

- Chyba też ciągle cię mam w komórce, Harry.

Tym razem musiał się uśmiechnąć, mimo że znów był dla niej „Harrym”.



Jest jednak jakaś nadzieja, pomyślał.

Zbliżali się do Lankershim Boulevard. Z prawej strony ulica wpadała w tunel biegnący pod autostradą. Z lewej kończyła się pasażem handlowym, w którym znajdował się punkt Easy Print, skąd wezwano pogotowie. Bosch przebiegał wzrokiem samochody na niewielkim parkingu, szukając toyoty.

Zatrzymał się na pasie lewego skrzyżowania i czekał, by wjechać na parking. Obrócił się na fotelu i szybko spojrzął na auta zaparkowane po obu stronach Cahuenga. Nie dostrzegł żadnej toyoty, ale wiedział, że jest mnóstwo różnych modeli tej marki. Gdyby nie znaleźli samochodu na parkingu przed punktem ksero, będą musieli przyjrzeć się pojazdom przy krawężnikach.

- Masz numer rejestracyjny, wiesz jak wygląda ten wóz? - pytała Walling. - Znasz kolor?

- Trzy razy nie.

Bosch przypomniał sobie, że Rachel ma zwyczaj zadawania wielu pytań naraz.

Gdy zapaliło się żółte światło, skręcił na parking. Nie było wolnych miejsc, ale nie zamierzał parkować. Krążył powoli, oglądając każde auto. Nie było wśród nich żadnej toyoty.

- Kiedy potrzebujesz toyoty, jak na złość nie ma ani jednej - powiedział. - Musi być gdzieś w okolicy.

- Może sprawdźmy na ulicy - zaproponowała Walling.

Skinął głową i skierował forda do alejki na końcu parking. Zamierzał skręcić w lewo, potem zawrócić i z powrotem wjechać w ulicę. Ale gdy sprawdzał, czy nic nie nadjeżdża z prawej, zobaczył starego białego pikapa

z nadbudówką kempingową zaparkowanego w głębi alejki obok zielonego kontenera na śmieci. Samochód stał zwrócony przodem w ich stronę i Bosch nie umiał rozpoznać marki.

- To jest toyota? - zapytał.

Walling odwróciła się i spojrzała.

- Bosch, jesteś geniuszem! - wykrzyknęła.

Bosch skręcił i ruszył w kierunku samochodu, a kiedy się zbliżyli, zobaczył, że to rzeczywiście toyota. Walling też to zobaczyła. Wyciągnęła telefon, lecz Bosch położył na nim rękę.

- Lepiej najpierw sprawdźmy. Mogę się mylić.

- Nie, Bosch, jesteś na fali.

Mimo to schowała telefon. Bosch wolno przejechał obok białej toyoty, obrzucając ją przelotnym spojrzeniem. Następnie zawrócił na końcu uliczki i zatrzymał samochód trzy metry za pikapem. Wóz nie miał z tyłu tablicy rejestracyjnej. Zamiast niej przymocowano do niego kawałek tektury z napisem TABLICA ZGUBIONA.

Bosch żałował, że nie wziął ze sobą kluczy znalezionych w kieszeni Digoberta Gonzalvesa. Wysiedli i zbliżyli się do toyoty, pochodząc z obu stron. Z bliska Bosch zauważył, że uchylne okienko z tyłu nadbudówki kempingowej jest niedomknięte. Sięgnął do szpary szerokości kilku centymetrów i podniósł okienko, zaopatrzone w pneumatyczny zawias, który nie pozwolił mu się zamknąć. Bosch nachylił się i zajrzał do środka. We wnętrzu panował mrok, ponieważ pikap stał w cieniu, a szyby nadbudówki były przyciemniane.

- Harry, masz ten monitor?

Wyjął z kieszeni monitor promieniowania i trzymając go w wyciągniętej

ręce, pochylił się i wsunął głowę do ciemnej przestrzeni bagażowej. Nie rozległ się żaden sygnał alarmowy. Bosch wyprostował się i zawiesił aparat na pasku. Następnie sięgnął do klamki i otworzył tylną klapę.

Część bagażowa pikapa była wyładowana rupieciami. Wszędzie wałały się puste butelki i puszki, wśród których leżało skórzane krzesło biurowe ze złamaną nogą, kawałki aluminium, stary dystrybutor wody i inne śmieci. A przy prawym kole stał szary, ołowiany pojemnik przypominający niewielkie wiadro na kółkach.

- Zobacz - powiedział. - To jest świnia?

- Chyba tak - odrzekła z przejęciem Walling. - Chyba tak!

Na pojemniku nie było żadnej nalepki z informacją o zagrożeniu ani symbolu ostrzegającego przez promieniowaniem. Zostały zerwane. Bosch pochylił się i złapał jeden z uchwytów. Wyciągnął świnie ze sterty śmieci i przesunął ją bliżej tylnej klapy. Pokrywa była zabezpieczona czterema zamkami.

- Otworzymy, żeby sprawdzić, czy materiał jest w środku? - zapytał.

- Nie - odparła Walling. - Wycofamy się i wezwiemy zespół. Mają odpowiednią ochronę.

Ponownie wyciągnęła telefon. Gdy wzywała zespół radiologiczny i wsparcie, Bosch podszedł do przedniej części pikapa. Przez okno zajrzał do szoferki. Pośrodku deski rozdzielczej leżało niedojedzone burrito na zgniecionej brązowej torebce. Część kabiny po stronie pasażera również przykrywały śmieci. Wzrok Boscha zatrzymał się na aparacie fotograficznym, który spoczywał na starej aktówce z urwanym uchwytem, leżącej na siedzeniu pasażera. Aparat nie sprawiał wrażenia brudnego ani zepsutego. Wyglądał na zupełnie nowy.

Bosch pociągnął klamkę. Drzwi były otwarte. Zrozumiał, że Gonzalves zapomniał o swoim samochodzie i dobytku, gdy cez zaczął parzyć mu ciało. Wysiadł i szukając pomocy, powlókł się w stronę parkingu, zostawiając wszystko na łasce losu.

Bosch otworzył drzwi od strony kierowcy i wsunął do kabiny monitor. Nic się nie stało. Żadnego alarmu. Wyprostował się i zawiesił aparat na pasku. Z kieszeni wyciągnął parę lateksowych rękawiczek i nakładając je, słuchał, jak Walling rozmawia z kimś o znalezieniu świni.

- Nie, nie otwieraliśmy - powiedziała. - Mamy otworzyć?

Słuchała przez chwilę.

- Tak myślałam. Przyślij ich tu jak najprędzej i może już wreszcie się to skończy.

Bosch sięgnął do kabiny i wyjął aparat fotograficzny. Był to cyfrowy nikon. Przypomnił sobie, że pod łóżkiem w sypialni Kentów technicy znaleźli pokrywkę obiektywu aparatu tej marki. Sądził, że ma w ręku aparat, którym zrobiono zdjęcie Alicii Kent. Włączył go i tym razem nie był bezradny, mając do czynienia z urządzeniem elektronicznym. Miał własny aparat cyfrowy, który zwykle zabierał ze sobą, jadąc do Hongkongu, by zobaczyć się z córką. Kupił go, gdy wybrali się razem do chińskiego Disneylandu.

Nie miał wprawdzie nikona, ale szybko się zorientował, że w aparacie nie ma zapisanych żadnych fotografii, ponieważ wyciągnięto z niego kartę pamięci.

Odłożył aparat i zaczął przeglądać stertę rzeczy na fotelu pasażera. Poza aktówką był tam dziecięcy pojemnik na kanapki oraz podręcznik obsługi komputera Apple i pogrzebacz do kominka. Żadna z tych rzeczy nie miała

związku ze sprawą i żadna go nie interesowała. Na podłodze przed siedzeniem zauważył kij golfowy i zwinięty plakat.

Odsunął na bok brązową torebkę i burrito, po czym oparł się łokciem o podłokietnik między fotelami, aby sięgnąć do schowka. Spoczywał w nim tylko jeden przedmiot - broń. Bosch wyciągnął ją i obrócił w dłoni. To był rewolwer Smith & Wesson kaliber .22.

- Chyba mamy narzędzie zbrodni - zawołał.

Walling nie odpowiedziała. Wciąż stała za pikapem, z ożywieniem wydając polecenia przez telefon.

Bosch odłożył rewolwer do schowka i zamknął go, uznając, że lepiej zostawić broń na miejscu do przyjazdu ekipy kryminalistycznej. Znów zerknął na zwinięty plakat i z czystej ciekawości postanowił go obejrzeć. Wspierając się na podłokietniku, rozwinął go na zaśmieconym siedzeniu. Plakat przedstawiał dwanaście pozycji jogi.

Bosch natychmiast przypomniał sobie prostokątne odbarwienie, które widział na ścianie w pokoju do ćwiczeń w domu Kentów. Nie miał pewności, ale przypuszczał, że rozmiar plakatu pasowałby do tamtej plamy. Szybko zwinął plakat i zaczął się wycofywać z kabiny, aby pokazać Walling swoje znalezisko.

Wysiadając, zauważył, że oparcie dzielące siedzenia pełni także funkcję schowka. Zatrzymał się i go otworzył.

Zamarł. W schowku był uchwyt na kubek, w którym tkwiło kilka stalowych kapsulek przypominających spłaszczone na obu końcach pociski. Lśniący stal przypominała srebro. Można ją było nawet pomylić ze srebrem.

Bosch wziął monitor i wykonał kilka określonych ruchów nad kapsułami.

Nie usłyszał alarmu. Obrócił aparat w rękach. Na boku urządzenia dostrzegł mały przełącznik. Przesunął go kciukiem. I nagle zawył alarm, wydając serię dźwięków z taką częstotliwością, że brzmiało to jak jeden przeciągły ryk syreny, od którego pękały bębunki.

Bosch wyskoczył z kabiny i zatrzasnął drzwi. Plakat wylądował na ziemi.

- Harry! - krzyknęła Walling. - Co się dzieje?

Podbiegła do niego, zamykając o biodro klapkę telefonu. Bosch wyłączył monitor.

- Co się dzieje?! - zawołała.

Bosch pokazał drzwi pikapa.

- W schowku jest broń, a w środkowej przegródce cz. .

- Co?

- W schowku pod środkowym oparciem jest cz. . Gonzalves wyjął kapsuły ze świni. Dlatego nie miał ich w kieszeni. Były w oparciu między siedzeniami.

Dotknął prawego biodra - miejsca, które poparzył sobie Gonzalves. Gdy siedział w pikapie, ta część ciała znajdowała się tuż obok schowka pod oparciem.

Rachel przez długą chwilę milczała, patrząc w jego twarz.

- Nic ci nie jest? - zapytała w końcu.

Bosch omal się nie roześmiał.

- Nie wiem - powiedział. - Spytaj za dziesięć lat.

Wahała się, jak gdyby wiedziała coś, czego nie mogła mu wyjawić.

- Co?

- Nic. Ale mimo wszystko powinni cię zbadać.

- I co zrobią? Słuchaj, nie byłem w kabinie tak długo. Na pewno

krócej niż Gonzalves, który dosłownie na tym siedział. Prawie z tego jadł. Nie odpowiedziała. Bosch podał jej monitor.

- Był wyłączony. Myślałem, że jest włączony, gdy mi go dałaś.

Wzięła aparat i obejrzała.

- Też tak myślałam.

Bosch uświadomił sobie, że zamiast na pasku, nosił monitor w kieszeni. Dwa razy wyjmując go i chowając, prawdopodobnie nieświadomie go wyłączył. Spojrzał na pikapa, zastanawiając się, czy to możliwe, że właśnie zaaplikował sobie groźną dla zdrowia albo życia dawkę promieniowania.

- Muszę się napić wody - powiedział. - Mam w bagażniku butelkę.

Podszedł do tyłu swojego samochodu. Chowając się przed Walling za uniesioną klapą bagażnika, oparł się rękami o zderzak, starając się rozszyfrować sygnały, jakie jego ciało wysyłało do mózgu. Czuł, że coś się z nim dzieje, lecz nie wiedział, czy to reakcja fizjologiczna, czy przyczyną dreszczy są emocje wywołane tym, co się przed chwilą stało. Przypomniawsobie, co lekarka mówiła o poważnych obrażeniach wewnętrznych, jakich doznał Gonzalves. Czyjego układ odpornościowy przestaje działać? Czy też już spływa do ścieku?

Nagle w myślach mignął mu obraz córki na lotnisku, gdzie widział ją ostatni raz.

Zaklął głośno.

- Harry?

Bosch wyrzwał za klapę bagażnika. Rachel szła w jego stronę.

- Ludzie już tu jadą. Będą za pięć minut. Jak się czujesz?

- Chyba w porządku.

- To dobrze. Rozmawiałam z szefem zespołu. Sądzi, że ekspozycja była za krótka, żeby miała jakieś poważniejsze skutki. Mimo to powinieneś pojechać na izbę przyjęć i się zbadać.

- Zobaczymy.

Sięgnął do bagażnika i wyciągnął litrową butelkę wody ze swojego zestawu awaryjnego. Przydawała mu się podczas trwających dłużej niż zwykle obserwacji. Otworzył ją i pociągnął dwa duże hausty. Woda nie była zimna, ale dobrze mu zrobiła. Zupełnie wyschło mu w gardle.

Zakręcił butelkę i włożył do bagażnika. Podszedł do Walling. Po drodze spojrzął w stronę południa. Zdał sobie sprawę, że alejka biegnie za punktem Easy Print i ciągnie się wzdłuż zapleczy sklepów i biur na Cahuenga. Sięgała aż do Barham.

W alejce w mniej więcej dwudziestometrowych odstępach stały zielone kontenery na śmieci, ustawione prostopadle do tyłu budynków. Bosch uświadomił sobie, że kontenery zostały wysunięte z przestrzeni między budynkami i ogrodzonymi dziedzińcami. Tak jak w Silver Lake, był dzień wywozu śmieci i kontenery czekały na miejskie śmieciarki.

Nagle wszystko pojał. Jak gdyby doszło do syntezy. Dwa elementy łączą się ze sobą, tworząc coś nowego. Szczegóły zdjęć z miejsca zbrodni, które nie dawały mu spokoju, plakat z pozycjami jogi, wszystko nabrało sensu. Promienie gamma przeszły jego ciało i rozjaśniły mu myśli. Już wiedział. Zrozumiał.

- To śmieciarz.

- Kto?

- Digoberto Gonzalves - odrzekł Bosch, spoglądając w głąb alejki. -



Jest dzień wywózki. Wystawiono kontenery, żeby śmieciarki mogły je opróżnić. Gonzalves jest śmieciarzem, śmietnikowym nurkiem. Wiedział, że dzisiaj wystawiają kontenery i że warto będzie tu przyjechać.

Popatrzył na Walling i dokończył myśl:

- Podobnie jak ktoś jeszcze.
- Chcesz powiedzieć, że znalazł cez w kontenerze ze śmieciami?

Bosch skinął głową, wskazując alejkę.

- Tam na końcu jest Barham. Barham można dojechać do Lake Hollywood. Lake Hollywood można dojechać na punkt widokowy. Sprawa nie wychodzi poza jedną stronę mapy.

Walling stanęła przed nim, zasłaniając mu widok alejki. Bosch usłyszał w oddali syreny.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że Nassar i El-Fayed ukryli cez w kontenerze u stóp wzgórza? A ten śmieciarz go znalazł?
- Chcę tylko powiedzieć, że odzyskałaś cez, więc znowu mamy do czynienia ze sprawą zabójstwa. Z punktu widokowego można dojechać na tę alejkę w ciągu pięciu minut.
- Co z tego? Skradli cez i zabili Kenta tylko po to, żeby tu przyjechać i ukryć materiał? Tak sądzisz? A może sądzisz, że po prostu go wyrzucili? Po co mieliby to robić? Czy to w ogóle ma sens? W ten sposób nie wywołałoby paniki, a przecież o to im chodzi.

Bosch zwrócił uwagę, że tym razem zadała sześć pytań naraz, ustanawiając zapewne nowy rekord.

- Sądzę, że Nassar i El-Fayed w ogóle nie mieli w rękach tego cezu - odparł.

Podszedł do toyoty i podniósł z ziemi zwinięty plakat. Podał go Rachel.

Syreny wyły coraz głośniej.

Walling rozwinęła plakat i spojrzała na niego.

- Co to jest? Co to znaczy?

Bosch zabrał plakat i zaczął go rolować.

- Gonzalves znalazł go w tym samym kontenerze, w którym znalazł broń, aparat i ołowianą świnie.

- No i? Co to znaczy, Harry?

W alejkę skręciły dwa samochody federalnych i ruszyły w ich stronę, omijając slalomem wystawione kontenery. Kiedy się zbliżyły, Bosch zobaczył, że za kierownicą pierwszego wozu siedzi Jack Brenner.

- Słyszysz mnie, Harry? Co to zna...

Nagle Boschowi ugięły się kolana i osunął się na Rachel, zarzucając jej rękę na szyję, aby nie upaść.

- Bosch!

Złapała go i przytrzymała.

- Eee... nie czuję się za dobrze - wymamrotał. - Chyba lepiej będzie... możesz mnie zabrać do samochodu?

Pomogła mu się wyprostować i zaczęła go prowadzić w stronę samochodu. Bosch opierał rękę na jej ramionach, słysząc za sobą trzask zamykanych drzwi, kiedy agenci wysiedli z wozów.

- Gdzie masz kluczyk? - zapytała Walling.

Kiedy Bosch podawał jej kluczyki, podbiegł do nich Brenner.

- Co jest? Co się stało?

- Został napromieniowany. Cez jest w schowku pod środkowym oparciem w toyocie. Uważajcie. Zabieram go do szpitala.

Brenner odsunął się, jak gdyby Bosch był nosicielem zakaźnej choroby.

- W porządku - rzekł. - Zadzwoń, kiedy będziesz mogła.

Bosch i Walling szli do samochodu.

- No, Bosch, trzymaj się - mówiła Walling. - Bądź dzielny, zaraz się tobą zajmujemy.

Znów zwróciła się do niego po nazwisku.

18

Samochód szarpnął gwałtownie, gdy Walling wyjechała z alejki i skręciła na południe, włączając się do ruchu na Cahuenga.

- Zabieram cię do „Queen of Angels”, żeby doktor Garner mogła cię obejrzeć - powiedziała. - Trzymaj się, zrób to dla mnie, Bosch.

Wiedział, że czułe nazywanie po nazwisku niebawem się skończy.

Wskazał pas lewego skrzyżowania prowadzący na Barham Boulevard.

- Daj spokój ze szpitalem - powiedział. - Zawieź mnie do domu Kentów.

- Co?

- Później pojedę się zbadać. Jedź do domu Kentów. Skręć tu. Jedź!

Wjechała na pas lewego skrzyżowania.

- Co się dzieje?

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

- To znaczy, że to zasłabnięcie przed chwilą było...

- Musiałem cię stamtąd zabrać, musiałem cię zabrać od Brennera, żeby to sprawdzić i z tobą pogadać. Bez świadków.

- Co sprawdzić? O czym pogadać? Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Myślałam, że ratuję ci życie. Teraz Brenner albo ktoś inny zapisze sobie na koncie odzyskanie cezu. Wielkie dzięki, gnojku. To było moje miejsce zdarzenia.

Rozpiął marynarkę i wyciągnął zrolowany i złożony plakat.

- Nie przejmuj się tym - powiedział. - Ty będziesz mogła zapisać sobie na koncie aresztowania. Tylko może nie będziesz chciała.

Rozłożył plakat, zaginając górną część i kładąc ją na kolanach. Interesowała go dolna część.

- Dhanurasana - powiedział.

Walling zerknęła na niego, a potem na plakat.

- Zaczyniesz wreszcie mówić, o co tu chodzi?

- Alicia Kent ćwiczy jogę. W jej pokoju do ćwiczeń widziałem maty.

- Ja też. Co z tego?

- Widziałaś odbarwienie od słońca na ścianie po jakimś obrazie, kalendarzu albo plakacie?

- Tak, widziałam.

Bosch uniósł plakat.

- Idę o zakład, że ten będzie pasował jak ulał. To jest plakat, który Gonzalves znalazł razem z cezem.

- I co to oznacza? Jeżeli plakat faktycznie będzie pasował?

- Że to była zbrodnia prawie doskonała. Alicia Kent ukartowała zabójstwo męża i gdyby Digoberto Gonzalves przypadkiem nie znalazł wyrzuconych dowodów, uszłoby to jej na sucho.

Walling lekceważąco pokręciła głową.

- Daj spokój, Harry. Twierdzisz, że weszła w zмовę z

międzynarodowymi terrorystami, żeby zabili jej męża w zamian za cez?  
Nie wierzę, że w ogóle to robię. Muszę wracać na miejsce zdarzenia.

Spojrzała w lusterka, przygotowując się do manewru zawracania. Jechali Lake Hollywood Drive i od domu Kentów dzieliły ich dwie minuty.

- Nie, jedź dalej. Jesteśmy prawie na miejscu. Alicia Kent weszła w znowę, ale nie z żadnym terrorystą. Dowodem jest cez w śmieciach. Sama mówiłaś, że Moby i El-Fayed nie mogli ukraść cezu, żeby go wyrzucić. Jaki z tego wniosek? To nie była kradzież. To naprawdę było morderstwo. Cez był fałszywym tropem. Tak jak Ramin Samir. A Moby i El-Fayed? Też mieli nas zmylić. Ten plakat pomoże to udowodnić.

- Jak?

- Dhanurasana, łuk.

Przysunął plakat bliżej, żeby mogła zobaczyć pozycję jogi w dolnym rogu. Ilustracja przedstawiała leżącą na brzuchu kobietę, z rękami z tyłu, trzymając się za kostki w taki sposób, że jej tułów był wygięty w łuk. Wyglądała, jak gdyby ją związano.

Walling zerknęła na zakręt przed sobą, po czym jeszcze raz przyjrzała się pozycji na plakacie.

- Wejdziemy do domu i sprawdzimy, czy plakat pasuje do plamy na ścianie - rzekł Bosch. - Jeżeli tak, to znaczy, że ona i morderca zdjęli go, bo nie chcieli ryzykować, że zobaczymy go i skojarzymy z tym, co ją spotkało.

- To naciągane, Harry. I to mocno.

- Wcale nie, jeżeli popatrzymy na to w szerszym kontekście.

- A ty oczywiście potrafisz go przedstawić.

- Jak tylko wejdziemy do domu.

- Mam nadzieję, że nie pozbyłeś się klucza.
- Jasne, że nie.

Walling skręciła w Arrowhead Drive i wcisnęła gaz. Ale po chwili zwolniła i znów z niedowierzaniem pokręciła głową.

- To niedorzeczne. Przecież podała nam imię „Moby”. Nie mogła wiedzieć, że jest w kraju. Poza tym twój świadek twierdzi, że w punkcie widokowym morderca nacisnął spust, wzywając Allaha. Jak...

- Najpierw spróbujmy przyłożyć plakat do ściany. Jeżeli pasuje, wszystko ci dokładnie wytłumaczę. Obiecuję. Jeżeli nie pasuje, to rękę słowem - przestanę ci zawracać głowę.

Ustąpiła i przez ostatni odcinek drogi nie odezwała się ani słowem. Przed domem Kentów nie było już wozu FBI. Bosch przypuszczał, że wszyscy jak jeden mąż ruszyli do miejsca odnalezienia cezu.

- Dzięki Bogu, że nie muszę jeszcze raz spotykać się z Maxwellem - powiedział.

Walling nawet się nie uśmiechnęła.

Bosch wysiadł, niosąc plakat oraz teczkę ze zdjęciami, które technicy zrobili w domu Kentów. Kluczami Stanleya Kenta otworzył drzwi i od razu skierowali się do pokoju ćwiczeń. Stanęli po obu stronach prostokątnego odbarwienia na ścianie, a Bosch rozwinął plakat. Trzymając go za górne rogi, przyłożyli plakat do rogów plamy. Bosch przesunął drugą ręką przez środek plakatu, wygładzając go na ścianie. Plakat pasował idealnie. Co więcej, ślady po taśmie na ścianie pasowały do śladów i resztek taśmy na plakacie. Bosch nie miał najmniejszych wątpliwości. Plakat znaleziony przez Digoberta Gonzalvesa w kontenerze przy Cahuenga z pewnością pochodził z domowego studia jogi Alicii Kent.

Rachel puściła swoją stronę plakatu i wyszła z pokoju.

- Będę w salonie. Nie mogę się doczekać twoich wyjaśnień.

Bosch zrolował plakat i poszedł za nią. Walling usiadła na tym samym fotelu, na którym przed kilkoma godzinami posadził Maxwella. Bosch stanął przed nią.

- Bali się, że plakat ich zdradzi - powiedział. - Jakiś sprytny agent czy detektyw mógłby zobaczyć pozycję łuku i zacząć się zastanawiać. Kobieta ćwiczy jogę, może mogłaby wytrzymać związana na łóżku, może to był jej pomysł, może zrobiła to, żeby pomóc wprowadzić nas w błąd. Woleli więc nie ryzykować. Plakat musiał zniknąć. Trafił do kontenera na śmieci razem z cezem, bronią i wszystkim, czego użyli. Z wyjątkiem kominiarek i lipnej mapy, które podrzucili razem z samochodem pod domem Samira.

- Jest mistrzynią przestępstwa - powiedziała Walling z drwiną w głosie.

Bosch ciągnął, niezrażony jej sarkazmem, wiedział, że ją przekona.

- Jeżeli każesz swoim ludziom przeszukać tamten szereg kontenerów, znajdziesz resztę - tłumik z butelki po coli, rękawiczki, pierwszy zestaw opasek, którymi ją związano, wszystkie...

- Pierwszy zestaw opasek?

- Zgadza się. Zaraz do tego dojdę.

Na Walling nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Lepiej dojdź do wszystkiego po kolei. Bo w tej historii jest mnóstwo dziur. Co z imieniem „Moby” ? Co z wzywaniem Allaha przez mordercę? Co...

Bosch podniósł rękę.

- Zaczekaj - powiedział. - Muszę się napić wody. Wyszło mi w gardle

od tego gadania.

Poszedł do kuchni, pamiętając, że rozglądając się tam wcześniej, widział w lodówce butelki schłodzonej wody.

- Chcesz coś? - zawołał.

- Nie - odkrzyknęła Walling. - Nie jesteśmy u siebie, zapomniałeś?

Bosch otworzył lodówkę, wyciągnął butelkę wody i wypił połowę, stojąc przed otwartymi drzwiami. Zimne powietrze też dobrze mu zrobiło.

Zamknął lodówkę, lecz natychmiast otworzył ją ponownie. Coś zauważył.

Na górnej półce stała plastikowa butelka z sokiem winogronowym.

Wyciągnął ją i obejrzał, przypomniawszy sobie, że gdy przeglądał śmieci w garażu, znalazł papierowe ręczniki ze śladami soku winogronowego.

Kolejny kawałek układanki trafił na właściwe miejsce. Bosch odstawił butelkę na miejsce, po czym wrócił do salonu, gdzie Rachel czekała na dalszy ciąg. Nadal nie zamierzał siadać.

- Dobra, kiedy złapaliście na wideo w porcie terrorystę znanego jako Moby?

- Co to ma wspólnie...

- Proszę cię, odpowiedz na pytanie.

- Dwunastego sierpnia zeszłego roku.

- Dobra, dwunastego sierpnia. A potem co, ogłoszono jakiś alarm w FBI i Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego?

Skinęła głową.

- Ale nie od razu - powiedziała. - Dopiero po dwóch miesiącach analizy wideo potwierdzono, że to byli Nassar i El-Fayed. Napisałam komunikat. Wszedł dziewiątego października i zawierał informację o tym, że widziano ich obu w kraju.



- Dlaczego nie ogłosiliście tego publicznie? Pytam z czystej ciekawości.

- Bo mieliśmy... właściwie nie mogę ci powiedzieć.

- Właśnie powiedziałaś. Pewnie obserwowaliście jakąś osobę czy miejsce i liczyliście na to, że się tam pojawią. Gdybyście to podali do publicznej wiadomości, mogliby zejść do podziemia i już nigdy by się nie pokazali.

- Możemy wrócić do tematu?

- Jasne. A więc komunikat wychodzi dziewiątego października. Tego dnia zrodził się plan zamordowania Stanleya Kenta.

Walling skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na niego. Bosch pomyślał, że być może zaczyna rozumieć, do czego zmierza, i nie jest zachwycona.

- Najlepiej zacząć od końca i cofnąć się do początku - powiedział Bosch. - Alicia Kent podała wam imię Moby'ego. Skąd mogła je znać?

- Usłyszała, jak jeden zwracał się tak do drugiego.

Bosch przecząco pokręcił głową.

- Nie, powiedziała ci, że usłyszała. Ale jeżeli kłamała, skąd wiedziałaby, jakie imię ma podać? Czyżby to był zbieg okoliczności, że podała pseudonim faceta, który pół roku wcześniej był widziany w kraju - i to akurat w okręgu Los Angeles? Nie sądzę, Rachel, ty chyba też nie. Takiego prawdopodobieństwa nie da się obliczyć.

- No dobrze, więc twierdzisz, że imię podał jej ktoś z biura albo innej agencji, do której trafił mój komunikat.

Bosch skinął głową i wycelował w nią palec.

- Zgadza się. Podał jej imię, żeby mogła z nim wyskoczyć, kiedy będzie ją przesłuchiwał ten mistrz z FBI. Imię razem z planem

podrzucenia samochodu przed domem Ramina Samira miało zmylić trop, żeby FBI i reszta zaczęli szukać terrorystów, którzy nie mieli z tym nic wspólnego.

- „Podał” ? On?

- Właśnie do tego zmierzam. Masz rację, imię mógł jej przekazać każdy, kto widział komunikat. Przypuszczam, że w grę wchodziłoby sporo osób. Sporo w samym Los Angeles. Jak więc zawęzić tę grupę do jednego człowieka?

- Ty mi powiedz.

Bosch otworzył butelkę i wypił resztę wody. Trzymając w ręce pustą butelkę, kontynuował:

- Spróbujmy ją zawęzić, cofając się jeszcze dalej. Gdzie mogły się przeciąć drogi Alicji Kent i jednej z osób, które wiedziały o Mobym?

Walling zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Przy takich parametrach, gdziekolwiek. W kolejce w supermarkecie albo gdy kupowała nawóz do róż. Gdziekolwiek.

Bosch naprowadził ją dokładnie tam, gdzie zamierzał.

- Wobec tego należy zawęzić parametry - ciągnął. - Gdzie mogłaby spotkać kogoś, kto wiedział o Mobym, a jednocześnie wiedział, że jej mąż ma dostęp do materiałów radioaktywnych, które mogłyby interesować Moby'ego?

Walling lekceważąco potrząsnęła głową.

-Nigdzie. Musiałoby dojść do nadzwyczajnego zbiegu okoliczności, żeby...

Urwała, kiedy wreszcie do niej dotarło. Doznała olśnienia. I szoku, gdy zrozumiała, co Bosch ma na myśli.

- Mój partner i ja na początku zeszłego roku odwiedziliśmy Kentów,

żeby ich ostrzec. Chyba chcesz mi dać do zrozumienia, że jestem podejrzana.

Bosch pokręcił głową.

- Mówiłem o podejrzanym w rodzaju męskim, pamiętasz? Nie przyjechałaś tu sama.

Gdy pojęła sugestię, w jej oczach zamigotała złość.

- To absurd. Wykluczone. Nie wierzę, że mógłbyś...

Nie dokończyła, jak gdyby odnalazła w pamięci jakiś szczegół, który mógł podważyć jej zaufanie i lojalność wobec partnera. Bosch wychwycił ten sygnał i podszedł bliżej.

- Co? - spytał.

- Nic.

- Co?

- Słuchaj, dobrze ci radzę - powiedziała stanowczo - lepiej nie mów nikomu o swojej teorii. Masz szczęście, że ja pierwsza ją usłyszałam. Bo gadasz jak jakiś pomylenieć, któremu zależy tylko na wendecie. Nie masz dowodów, nie masz motywu, nie masz żadnych obciążających zeznań, nic. Tylko chorą hipotezę opartą na... plakacie z pozycjami jogi.

- Nie ma innego wyjaśnienia, które pokrywa się z faktami. Mówię o faktach sprawy. Nie o fakcie, że FBI, Departament Bezpieczeństwa i reszta rządu federalnego byliby zachwyceni, gdyby to był zamach terrorystyczny, bo dzięki temu udowodniliby, że są potrzebni i odwrócili uwagę krytyków od swoich wpadek. Wbrew temu, co myślisz, są dowody i są obciążające zeznania. Gdybyśmy podłączyli Alicii Kent wykrywacz kłamstw, przekonałabyś się, że wszystko, co powiedziała mnie, tobie i temu mistrzowi przesłuchiwania to łgarstwo. Prawdziwym mistrzem była Alicia

Kent. Mistrzynią manipulacji.

Walling pochyliła się i spuściła wzrok na podłogę.

- Dziękuję, Harry. Tak się składa, że tym mistrzem przesłuchiwania, z którego tak sobie szydzisz, jestem ja.

Bosch na moment otworzył usta.

- Och... tak... to przepraszam... ale to nie ma znaczenia. Ważne, że Alicia Kent jest mistrzynią kłamstwa. Nakłamała nam, ale skoro już wiemy, jak było naprawdę, łatwo ją będzie zdemaskować.

Walling wstała z fotela i podeszła do okna panoramicznego. Pionowe żaluzje były zasłonięte, ale rozchyliła je palcami i wyjrzała na ulicę. Bosch widział, że rozmyśla nad jego teorią, analizując wszystkie szczegóły.

- A świadek? - spytała, nie odwracając się. - Słyszał, jak morderca krzyknął „Allah”. Też należał do spisku? A może przypadkiem wiedzieli, że tam jest, i krzyknęli „Allah” w ramach swojej mistrzowskiej manipulacji?

Bosch delikatnie odchrząknął. Gardło go piekło i coraz trudniej było mu mówić.

- Nie, to akurat lekcja na temat słyszenia tego, co chce się usłyszeć. Przyznaję się, że kiepski ze mnie mistrz przesłuchiwania. Chłopak powiedział mi, że morderca krzyknął, naciskając spust. Mówił, że nie jest pewien, ale brzmiało to jak „Allah”, co oczywiście zgadzało się z tym, co wtedy myślałem. Usłyszałem to, co chciałem usłyszeć.

Walling odsunęła się od okna, usiadła i znów założyła ręce. Bosch w końcu także usiadł na fotelu naprzeciw niej.

- Ale skąd świadek mógł wiedzieć, że krzyczał morderca, a nie ofiara?  
- ciągnął. - Siedział ponad pięćdziesiąt metrów od nich. Było ciemno. Skąd

mógł wiedzieć, że to nie Stanley Kent wykrzyczał ostatnie słowo przed egzekucją? Imię kobiety, którą kochał, bo miał umrzeć, nie wiedząc nawet, że go zdradziła.

- Alicia.

- Otóż to. „Alicia” zagłuszona przez strzał zmieniła się w „Allaha”.

Walling opuściła ręce i wychyliła się do przodu. To był dobry znak. Z języka jej ciała Bosch odczytał, że powoli osiąga cel.

- Mówiłeś wcześniej o pierwszym zestawie opasek-powiedziała. - Co miałeś na myśli?

Bosch skinął głową i podał jej teczkę z fotografiami z miejsca zdarzenia. Najlepsze zostawił na koniec.

- Przyjrzyj się tym zdjęciom - rzekł. - Co widzisz? Otworzyła teczkę i zaczęła oglądać fotografie. Przedstawiały różne ujęcia sypialni Kentów.

- Sypialnie - odparła. - Czegoś nie zauważyłam?

- Otóż to. - Co?

- Chodzi o to, czego nie widzisz. Na zdjęciu nie ma ubrania. Alicia powiedziała nam, że kazali jej usiąść na łóżku i się rozebrać. Mamy uwierzyć, że zanim ją związali, pozwolili jej schować ubranie? Włożyć do kosza na brudną bieliznę? Popatrz na ostatnie zdjęcie. Jest z e-maila, którego wysłali do Stanleya Kenta.

Walling przerzuciła dokumenty w teczce i znalazła wydruk zdjęcia z e-maila. Oglądała je w skupieniu. Bosch dostrzegł w jej oczach błysk zrozumienia.

- Co teraz widzisz?

- Szlafrok - odrzekła z przejęciem. - Kiedy pozwoliliśmy się jej ubrać,

poszła po szlafrok do garderoby. Na fotelu nie było szlafroka!

Bosch przytaknął i zaczęli wspólnie uzupełniać brakujące elementy historii.

- Co nam to mówi? - zapytał. - Że terroryści byli tak uprzejmi, że kiedy zrobili zdjęcie, powiesili szlafrok w garderobie?

- A może pani Kent została związana dwa razy, a szlafrok zniknął między jednym a drugim?

- Popatrz jeszcze raz na to zdjęcie. Zegar na nocnej szafce jest wyłączony.

- Dlaczego?

- Nie wiem, może się bali, żeby na fotografii nie znalazł się żaden ślad wskazujący na godzinę. Może pierwszego zdjęcia w ogóle nie zrobiono wczoraj tylko podczas próby generalnej dwa dni albo dwa tygodnie temu.

Rachel skinęła głową, a Bosch widział, że już mu wierzy.

- Pierwszy raz została związana do zdjęcia, a potem przed naszym przyjazdem - powiedziała.

- Tak jest. Dzięki temu mogła pomóc w realizacji planu na punkcie widokowym. Nie zabiła męża, ale siedziała w drugim samochodzie. Gdy Stanley już nie żył, cez trafił do śmieci, a samochód podrzucono Samirowi, wróciła ze swoim współnikiem do domu i dała się związać.

- Kiedy przyjechaliśmy, wcale nie zemdląca. Grała zgodnie z planem. A zoczyła łóżko tylko po to, żeby lepiej sprzedać nam numer.

- Zapach moczu zamaskował też zapach soku winogronowego.

- O czym ty mówisz?

- O sinych śladach na jej kostkach i przegubach. Teraz wiemy, że nie leżała związana przez parę godzin. Mimo to miała sińce. W lodówce stoi

otwarta butelka soku winogronowego, a w kubie na śmieci leżą papierowe ręczniki z granatowymi plamami. Zrobiła sobie sińce sokiem.

- O Boże, nie mogę w to uwierzyć.

- W co?

- Byłam z nią w taktycznym, w małym pokoiku. Zdawało mi się, że czuję zapach soku winogronowego. Myślałam, że ktoś tam był przed nami i pił sok. Czułam go!

- Sama widzisz.

Nie było już wątpliwości. Bosch zdołał ją przekonać. Nagle jednak przez twarz Walling niczym chmura przemknął cień niepokoju i zwątpienia.

- Ale co z motywem? - spytała. - Mówimy o agencie federalnym. Żeby go oskarżyć, musimy mieć wszystko, nawet motyw. Nie można niczego pozostawiać przypadkowi.

Bosch był przygotowany na to pytanie.

- Sama widziałaś motyw. Alicia Kent to piękna kobieta. Jack Brenner jej pragnął, a na drodze stał mu Stanley Kent.

Walling w szoku otworzyła szeroko oczy. Bosch dowodził dalej.

- To właśnie motyw, Rachel. Sama...

- Ale przecież...

- Daj mi skończyć. Wyglądało to tak. Ty i twój partner zjawiliście się tu w zeszłym roku, żeby ostrzec Kentów przed zagrożeniem związanym z jego pracą. Między Alicią i Jackiem coś zaiskrzyło. Zainteresowała go, on zainteresował ją. Zaczynają się potajemnie umawiać na kawę, na drinka, wszystko jedno. Sprawa rozwija się krok po kroku. Nawiązują romans i angażują się coraz bardziej, aż wreszcie dochodzą do wniosku, że trzeba

coś zrobić. Ona musi zostawić męża. Albo muszą się go pozbyć, bo stawką jest ubezpieczenie i połowa firmy. To wystarczający motyw, Rachel, i o to chodzi w tej sprawie. Nie o ciez ani terroryzm. Mamy podstawową formułę: seks plus pieniądze równa się morderstwo. To wszystko.

Pokręciła głową, marszcząc brwi.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Jack Brenner jest żonaty, ma troje dzieci. Jest spokojnym, nudnym facetem i nie interesują go skoki w bok. Nie był...

- Każdego faceta interesują skoki w bok. Nieważne, czy jest żonaty ani ile ma dzieci.

-Pozwolisz mi skończyć? - spytała cicho. - Mylisz się co do Brennera. Poznał Alicję Kent dopiero dzisiaj. Kiedy tu przyjechałam w zeszłym roku, nie był moim partnerem. Ani razu nie mówiłam ci, że to był on.

Wiadomość wstrząsnęła Boschem. Od początku zakładał, że jej obecny partner współpracował z nią też w zeszłym roku. Przedstawiając jej swoją wersję wypadków, cały czas miał w głowie obraz Brennera.

- Na początku roku we wszystkich zespołach w taktycznym były przetasowania. W ramach promowania lepszej koncepcji współpracy. Z Jackiem pracuję od stycznia.

- Kto był twoim partnerem w zeszłym roku, Rachel?

Przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy.

- Cliff Maxwell.

19

Harry Bosch omal się nie roześmiał, lecz był zbyt zszokowany, więc tylko z niedowierzaniem pokręcił głową. Rachel Walling powiedziała mu, że



wspólnikiem Alicii Kent w morderstwie był Cliff Maxwell.

- Nie mogę w to uwierzyć - rzekł w końcu. - Pięć godzin temu morderca leżał tu na podłodze, skuty kajdankami!

Rachel wydawała się upokorzona świadomością że morderstwa Stanleya Kenta nie dokonał nikt obcy, a kradzież cezu okazała się jedynie dobrze rozegranym podstępem.

- Rozumiesz już resztę? - spytał Bosch. - Rozumiesz, jak to się miało potoczyć dalej? Po śmierci jej męża tak bardzo jej współczuje, że zaczyna ją odwiedzać, poza tym prowadzi sprawę. Zaczynają się spotykać, zakochują się w sobie i nikt się niczemu nie dziwi. Wszyscy nadal szukają Moby'ego i El-Fayedą.

- A co by się stało, gdybyśmy ich złapali? - podjęła Walling. - Mogliby się wszystkiego wypierać, dopóki Osama bin Laden nie umarłby ze starości w swojej jaskini, ale kto by im uwierzył i kogo by to obchodziło? Nie ma lepszego pomysłu, niż zrobić terrorystów w zbrodnię, której nie popełnili. Nie zdołaliby się obronić.

Bosch pokiwał głową.

- Zbrodnia doskonała - rzekł. - Plan posypał się tylko dlatego, że Digoberto Gonzalves zajrzał do kontenera. Gdyby nie on, ciągle ścigalibyśmy Moby'ego i El-Fayedą, przekonani, że Samir ukrywał ich w swoim domu.

- Co teraz zrobimy, Bosch?

Bosch wzruszył ramionami, lecz mimo to odpowiedział:

- Chyba zastawimy klasyczną pułapkę na szczury. Wsadzamy oboje do pokojów przesłuchań, odsłaniamy karty i zapowiadamy, że kto pierwszy zacznie mówić, może liczyć na ugodę z prokuratorem. Stawiałbym na

Alicię. Złamię się, pewnie zrzuci całą winę na niego, powie, że działała pod jego wpływem.

- Coś mi mówi, że masz rację. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby Maxwell miał tyle oleju w głowie, żeby tego dokonać. Pracowałam z...

Zadzwoił jej telefon. Wyciągnęła aparat z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz.

- To Jack.

- Dowiedz się, gdzie jest Maxwell.

Odebrała i najpierw odpowiedziała na parę pytań o stan Boscha, zapewniając Brennera, że nic mu nie jest, tylko traci głos, bo boli go gardło. Bosch poszedł po następną butelkę wody, ale słuchał z kuchni.

Walling mimochodem spytała o Maxwella.

- Przy okazji, powiedz mi, gdzie jest Cliff? Chciałam z nim pogadać o tym zajściu z Boschem w korytarzu. Nie podobało mi się, co...

Urwała, słuchając odpowiedzi, a Bosch dostrzegł wyraz zaniepokojenia w jej oczach. Coś było nie tak.

- Kiedy? - zapytała.

Po chwili wstała.

- Słuchaj, Jack, muszę kończyć. Boscha chyba zaraz zwolnią. Zadzwoię, gdy tylko wszystko tu załatwimy.

Zamknęła telefon i spojrzała na Boscha.

- Nie cierpię go tak okłamywać. Nie wybaczy mi tego.

- Co powiedział?

- Że na wiadomość o znalezieniu cezu zjechało się tam za dużo agentów - ściągnęli prawie wszyscy z centrum i czekali na zespół radiologiczny. Maxwell zgłosił się na ochotnika, że pojedzie po świadka

do „Marka Twaina”. Nikt tam nie dotarł, bo odwołałam zespół, który go miał odebrać.

- Pojechał sam?
- Tak mówił Jack.
- Dawno?
- Pół godziny temu.
- Zabije go.

Bosch szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

20

Tym razem prowadził Bosch. W drodze do Hollywood powiedział Walling, że Jesse Mitford nie ma telefonu w pokoju. Zakres usług w hotelu Mark Twain pozostawiał wiele do życzenia. Bosch zadzwonił więc do szefa zmiany w komendzie Hollywood i poprosił o wysłanie patrolu do hotelu, aby sprawdzono, czy świadek jest bezpieczny. Następnie zadzwonił na informację i został połączony z recepcją hotelu.

- Alvin, tu detektyw Bosch. Byłem u was rano, pamiętasz?
- Tak, tak. O co chodzi, detektywie?
- Czy ktoś pytał o Stephena Kinga?
- Hmm, nie.
- A czy w ciągu ostatnich dwudziestu minut wpuszczalesz kogoś, kto wyglądał na gliniarza albo nie mieszkał w hotelu?
- Nie, detektywie. Co się stało?
- Posłuchaj, musisz iść na górę i powiedzieć Stephenowi Kingowi, żeby się stamtąd zabierał, a potem zadzwonił na moją komórkę.
- Jestem sam w recepcji, detektywie. Nie mam kogo tu zostawić.
- To bardzo pilne, Alvin. Muszę go wyciągnąć z hotelu. To ci zajmie

najwyżej pięć minut. Zapisz mój numer: trzy dwa trzy, dwa cztery cztery, pięć sześć trzy jeden. Zapisaleś?

- Zapisalem.

- Dobra, idź. Gdyby ktoś poza mną go szukał, powiedz, że się wymeldował, odebrał resztę pieniędzy i wyszedł. Idź, Alvin, z góry dziękuję.

Bosch zamknął telefon i popatrzył na Rachel. Jego mina wskazywała, że nie dowierza recepcjoniście.

- Ten facet to chyba ćpun.

Przyspieszył, starając się koncentrować na prowadzeniu samochodu. Właśnie skręcili z Barham na Cahuenga i jechali na południe. Przypuszczał, że jeśli nie utkną w korku, powinni dotrzeć do „Marka Twaina” w ciągu pięciu minut. Bezradnie potrząsnął głową. Maxwell miał pół godziny przewagi, więc zapewne już był w hotelu. Mógł się zakraść tylnym wejściem i dopaść Mitforda.

- Maxwell mógł tam wejść od tyłu - powiedział do Walling. -Podjadę od strony alejki.

- Wiesz - odrzekła Walling - może wcale nie chce mu zrobić krzywdy. Zabierze go z hotelu, pogada z nim i sam oceni, czy chłopak widział tyle, żeby stanowić zagrożenie.

Bosch pokręcił głową.

- Wykluczone. Maxwell na pewno wie, że jeżeli zostanie znaleziony, jego plan rozleciał się na kawałki. Musi zlikwidować wszystkie zagrożenia. Najpierw pozbędzie się świadka, potem Alicii Kent.

- Alicii Kent? Myślisz, że mógłby wykonać ruch przeciwko niej? Przecież to wszystko stało się przez nią.

- To już nie ma znaczenia. Do głosu doszedł instynkt samozachowawczy, a Alicia stanowi zagrożenie. To nieuniknione. Przekroczył granicę, żeby z nią być. Teraz przekroczy następną, żeby ratować własny...

Bosch umilkł i poczuł, że oblewa go zimny pot, kiedy nagle coś sobie uświadomił. Głośno zaklął i wyjeżdżając z przełęczy Cahuenga, wcisnął gaz do deski. Przeciął trzy pasy Highland Avenue przed Hollywood Bowl i z piskiem opon zawrócił tuż przed nadjeżdżającymi samochodami. Dodał gazu i fordem gwałtownie zarzuciło, gdy ruszył w stronę wjazdu na południową nitkę Hollywood Freeway. Rachel złapała się deski rozdzielczej i uchwytu drzwi.

- HARRY, CO TY WYPRAWIASZ? JEDZIESZ W ZŁĄ STRONĘ!

Włączył syrenę i niebieskie światła ostrzegawcze na masce i tylnej szybie.

- MITFORD TO ZMYŁKA! - odkrzyknął w odpowiedzi. - JADĘ DOBRZE. KTO JEST WIĘKSZYM ZAGROŻENIEM DLA MAXWELLA?

- ALICIA?

- JASNE, A TERAZ MA NAJLEPSZĄ OKAZJĘ, ŻEBY JĄ DOPAŚĆ W TAKTYCZNYM. WSZYSCY SĄ W ALEJCE PRZY CEZIE!

Na autostradzie panował znośny ruch, a dźwięk syreny pomagał go przerzedzić. Bosch doszedł do wniosku, że Maxwell mógł już dotrzeć do centrum, jeżeli udało mu się uniknąć korków.

Rachel otworzyła telefon i zaczęła wstukiwac numery. Próbowala kilka razy, lecz nikt nie odbieral.

- NIE MOGĘ SIĘ DO NIKOGO DODZWONIĆ! - krzyknęła.

- GDZIE JEST TAKTYCZNY?

Walling nie wahała się ani chwili.

- NA BROADWAYU. WIESZ, GDZIE JEST MILLION DOLLAR THEATER? TO W TYM SAMYM BUDYNKU. WEJŚCIE OD TRZECIEJ.

Bosch wyłączył syrenę i wyciągnął telefon. Zadzwoił do swojego partnera, a Ferras odebrał natychmiast.

- Ignacio, gdzie jesteś?

- Właśnie wróciłem do biura. Technicy obejrzeni wóz i...

- Posłuchaj. Rzuć wszystko i przyjedź pod wejście do budynku Million Dollar Theater na Trzeciej. Wiesz, gdzie to jest?

- Co się dzieje?

- Wiesz, gdzie jest Million Dollar Theater?

- Tak, wiem.

- Spotkamy się przy wejściu na Trzeciej. Wszystko wyjaśnię na miejscu.

Zamknął telefon i znów włączył syrenę.

21

Następne dziesięć minut zdawały się trwać dziesięć godzin. Bosch kluczył między samochodami, aż wreszcie dotarł do zjazdu na Broadway. Skręcając, wyłączył syrenę i pomknął w dół zbocza. Od celu dzieliły ich trzy skrzyżowania.

Million Dollar Theater zbudowano w czasach, gdy przemysł filmowy chwalił się swoimi dziełami w kinach wytwornych jak pałace przy odcinku Broadwayu znajdującym się w centrum. Odkąd ostatni raz wyświetlono tu premierową produkcję, minęło jednak parę dziesiątków lat. Bogato

zdobioną fasadę zasłaniał kiedyś podświetlany afisz, który zamiast filmów reklamował odrodzenie religijne. Dziś kino czekało puste na ratunek i remont, a nad nim wznosił się dwunastopiętrowy budynek, niegdyś uważany za okazały, gdzie dziś mieściły się biura średniej jakości oraz mieszkalne lofty.

- Niezłe miejsce na tajne biuro tajnej jednostki - powiedział Bosch, gdy gmach wyłonił się przed nimi. - Nikt by się nie domyślił.

Walling nie odpowiedziała. Znów próbowała się do kogoś dodzwonić. Po chwili ze złością zatrzasnęła klapkę telefonu.

- Nie mogę się połączyć nawet z sekretarką. Zawsze wychodzi na lunch dopiero po pierwszej, więc w biurze zawsze ktoś jest, gdy agenci wychodzą wcześniej.

-Gdzie dokładnie jest to biuro i w której części jest Alicia Kent?

- Mamy całe siódme piętro. Jest tam mały salonik z kanapą i telewizorem. Posadzili ją tam, żeby mogła oglądać telewizję.

- Ile osób pracuje w wydziale?

- Ośmioro agentów, sekretarka i kierowniczką biura. Kierowniczką właśnie poszła na urlop macierzyński, a sekretarka jest na lunchu.

Mam nadzieję. Ale nie mogli zostawić Alicii Kent samej. To wbrew przepisom. Ktoś musiał z nią zostać.

Bosch skręcił w prawo w Trzecią i natychmiast zatrzymał wóz przy krawężniku. Ignacio Ferras już na nich czekał, oparty o swoje volvo kombi. Przed nim stał zaparkowany jeszcze jeden samochód. Radiowóz federalny. Bosch i Walling wysiedli. Bosch podszedł do Ferrasa, a Walling zajrzała do radiowozu.

- Widziałeś Maxwella? - spytał partnera Bosch.

- Kogo?
- Agenta Maxwella. Faceta, którego rano rozłożyliśmy na łopatki w domu Kentów.
- Nie, nikogo nie widziałem. Co...
- To jego samochód - powiedziała Walling, podchodząc do nich.
- Ignacio, to jest agentka Walling.
- Iggy.
- Rachel.

Podali sobie ręce.

- Dobra, więc musi być na górze - powiedział Bosch. - Ile tu jest klatek schodowych?
- Trzy - odrzekła Walling. - Ale na pewno wszedł do tej najbliższej samochodu.

Wskazała podwójne stalowe drzwi niedaleko rogu budynku. Bosch podszedł tam sprawdzić, czy są zamknięte. Ferras i Walling ruszyli za nim.

- Co się dzieje? - spytał Ferras.
- Maxwell to nasz morderca - odparł krótko Bosch. - Poszedł na górę...  
-Co?

Bosch sprawdził drzwi wyjściowe. Od zewnątrz nie było żadnych klamek ani uchwytów. Odwrócił się do Ferrasa.

- Słuchaj, mamy mało czasu. Uwierz mi, to Maxwell. Wszedł tu, żeby załatwić Alicię Kent. Wej...
- Co ona tu robi?
- FBI ma tu swoje biuro. Tam jest Alicia. Koniec pytań, zgoda? Po prostu słuchaj. Agentka Walling i ja wjedziemy windą na górę. Ty zaczekasz przy tych drzwiach. Jeżeli Maxwell wyjdzie, rozwalasz go.



Rozumiesz? Rozwalasz go.

- Dobra.
- W porządku. Wezwij wsparcie. Idziemy.

Bosch poklepał Ferrasa po policzku.

- trzymaj fason.

Zostawili Ferrasa i skierowali się do głównego wejścia. W budynku nie było żadnego holu, tylko korytarz z windą. Drzwi otwierało się przyciskiem, a Walling za pomocą karty magnetycznej odblokowała przycisk z siódmką. Winda ruszyła w górę.

- Coś mi mówi, że nigdy nie będziesz go nazywał Iggy - powiedziała Walling.

Bosch zbył jej uwagę milczeniem, ale nagle coś mu przyszło do głowy.

- Czy kiedy winda dojeżdża na piętro, włącza się jakiś dzwonek czy brzęczyk?
- Nie pamięć... chyba tak. Tak, na pewno.
- No to świetnie. Będzie nas miał jak na dłoni.

Bosch wyciągnął z kabury swojego kimbera i odbezpieczył. Walling zrobiła to samo ze swoją bronią. Bosch odsunął Walling na bok, sam przywierając do drugiej ściany windy. Uniósł pistolet. Winda wreszcie dotarła na siódme i w korytarzu rozległ się cichy dźwięk dzwonka. Drzwi zaczęły się rozsuwać, ukazując najpierw Boscha.

Nikogo nie było.

Kiedy wysiedli, Rachel wyciągnęła rękę w lewo, dając mu znak, że tam znajdują się biura. Bosch przyjął pozycję strzelecką i na lekko ugiętych nogach ruszył korytarzem, trzymając broń w pogotowiu.

Nadal nie było nikogo.

Szedł zwrócony w lewo, podczas gdy Rachel osłaniała go z prawej. Dotarli do obszernego pomieszczenia - biura wydziału - gdzie znajdowały się dwa rzędy boksów oraz trzy oddzielne gabinety w otwartym planie. Między boksami umieszczono duże stojaki ze sprzętem elektronicznym, a na każdym biurku stały dwa monitory komputerowe. Biuro sprawiało wrażenie, jak gdyby w każdej chwili można je było spakować i przenieść w inne miejsce.

Bosch wszedł dalej i przez okno jednego z gabinetów zobaczył mężczyznę, który siedział na krześle z odchyłoną do tyłu głową i otwartymi oczami. Wyglądał, jakby miał na szyi czerwony śliniaczek. Ale Bosch wiedział, że to krew. Mężczyzna dostał strzał w pierś.

Pokazał go Rachel. Na jego widok szybko wciągnęła haust powietrza i wydała ciche westchnienie.

Drzwi do gabinetu były uchylone. Podeszli do nich i Bosch otworzył je, a Walling osłaniała ich z tyłu. Gdy Bosch znalazł się w gabinecie, zobaczył Alicję Kent siedzącą na podłodze, opartą plecami o ścianę.

Kucnął przy niej. Miała otwarte, lecz nieruchome oczy. Między jej stopami leżał pistolet, a ściana za nią była zbryzgana krwią i fragmentami mózgu.

Bosch odwrócił się i obejrzał pomieszczenie. Zrozumiał, na czym polegała inscenizacja. Miało to wyglądać tak, jak gdyby Alicia Kent wyrwała agentowi broń z kabury, zastrzeliła go, a potem usiadła na podłodze i odebrała sobie życie. Nie było żadnego listu z wyjaśnieniem, lecz Maxwell nie mógł wymyślić niczego lepszego, mając do dyspozycji niewiele czasu. Bosch odwrócił się do Walling. Opuściła broń i stała, patrząc na martwego agenta.

- Rachel - powiedział. - On tu musi jeszcze być.

Wyprostował się i wyszedł, by przeszukać biuro. Zerkając przez szybę, dostrzegł jakiś ruch za stojakami ze sprzętem. Zatrzymał się, uniósł broń i za jednym ze stojaków zauważył człowieka zmierzającego w kierunku drzwi z tabliczką WYJŚCIE.

W tym momencie Maxwell wyskoczył z ukrycia i rzucił się do drzwi.

- Maxwell! - krzyknął Bosch. - Stój!

Maxwell błyskawicznie się obrócił i uniósł pistolet. W chwili, gdy dotknął plecami drzwi, zaczął strzelać. Szyba pękła, a odłamki szkła prysnęły na Boscha. Odpowiedział ogniem i posłał sześć kul w kierunku otwartych drzwi, ale Maxwella już nie było.

- Rachel? - zawołał, nie odrywając oczu od drzwi. - Jesteś cała?

- Tak.

Jej głos dobiegł z dołu. Gdy padły strzały, rzuciła się na podłogę.

- Dokąd prowadzą tamte drzwi?

Rachel wstała. Bosch ruszył do wyjścia, oglądając się na nią. Zobaczył kawałki szkła na jej ubraniu i rozcięcie na policzku.

- Na schody prosto do jego samochodu.

Bosch wybiegł z biura na klatkę schodową. Otworzył telefon i wcisnął przycisk szybkiego wybierania, dzwoniąc do partnera. Ferras odebrał, zanim rozległ się pierwszy sygnał.

- Schodzi!

Bosch rzucił telefon i biegiem ruszył po schodach. Słyszał tupot kroków Maxwella na stalowych stopniach i instynkt mówił mu, że agent jest już za daleko.

Bosch pokonał trzy półpiętra, przeskakując po trzy stopnie. Słyszał kroki biegnącej za nim Walling. Po chwili z dołu dobiegł się głuchy łomot, gdy Maxwell dotarł do drzwi wyjściowych. Zaraz potem rozległy się krzyki i huk strzałów. Następowaly tak szybko po sobie, że nie można było określić, kto strzelał pierwszy i ile padło strzałów.

Dziesięć sekund później Bosch dopadł do wyjścia. Wyskoczył na chodnik i zobaczył Ferrasa opartego o tylny zderzak samochodu Maxwella. W jednej ręce trzymał broń, a drugą ścisnął łokieć. Na rękawie wykwitła plama krwi. Ruch na Trzeciej zamarł, a piesi biegli chodnikiem, szukając schronienia.

- Dostał dwa razy - krzyknął Ferras. - Tędy uciekł.

Wskazał głową stronę, gdzie Trzecia przechodziła w tunel biegnący pod Bunker Hill. Bosch podbiegł do partnera i zobaczył ranę przy stawie barkowym. Nie wyglądała źle.

- Wezwałeś wsparcie? - zapytał Bosch.

- Już jadą.

Ferras skrzywił się, chwytając mocniej uszkodzoną rękę.

- Naprawdę dobrze się spisałeś, Iggy. Trzymaj się, a ja idę dorwać tego faceta.

Ferras skinął głową. Bosch odwrócił się i w drzwiach ujrzał Rachel z twarzą umazaną krwią.

- Tędy - powiedział. - Maxwell dostał.

Ruszyli Trzecią, biegnąc obok siebie. Po kilku krokach Bosch znalazł trop. Maxwell musiał być poważnie ranny i tracił dużo krwi. Tym łatwiej było go wyśledzić.

Kiedy jednak dotarli na róg Trzeciej i Hill, trop się urwał. Na ulicy nie

było śladów krwi. Bosch zajrzał w głąb długiego tunelu, ale nie zauważył nikogo poruszającego się pieszo. Rozejrzał się po Hill Street i nie zobaczył nic, dopóki jego uwagi nie przyciągnęło jakieś zamieszanie przed Grand Central Market.

- Tam - powiedział.

Szybko skierowali się w stronę dużej hali targowej. Przed wejściem Bosch odnalazł ślady krwi i wpadł do środka. Dwupiętrowa hala była skupiskiem budek zjedzeniem, stoisk i sklepików z przeróżnymi towarami. W powietrzu unosił się silny zapach kawy i tłuszczu, docierający zapewne do każdego piętra budynku ponad halą. Panował tu tłok i hałas, które utrudniały Boschowi podążanie tropem Maxwella.

Nagle tuż przed nimi rozległy się krzyki i ktoś dwa razy strzelił w powietrze. Ludzie natychmiast wpadli w popłoch. Dziesiątki klientów i sprzedawców z wrzaskiem zalało przejście, w którym stali Bosch i Walling, i rzuciło się w ich kierunku. Bosch zorientował się, że za chwilę zostaną stratowani. Jednym ruchem odsunął się w prawo, chwytając Walling w pasie i pociągając ją za szeroki betonowy filar.

Gdy tłum przecwałował obok, Bosch wyjrzał zza filaru. Hala była pusta. Nigdzie nie widział Maxwella, lecz po chwili dostrzegł ruch w jednej z lad chłodniczych przed sklepikiem mięsnym na końcu korytarza. Przyjrzał się uważniej i zdał sobie sprawę, że coś się poruszyło za ladą. Patrząc przez szyby witryny, w której wystawiono porcje wołowiny i wieprzowiny, Bosch zobaczył twarz Maxwella. Agent siedział na podłodze, oparty plecami o lodówkę w głębi sklepu.

- Jest przed nami, w mięsnym - szepnął Bosch do Walling. - Idź w prawo do końca przejścia. Będziesz go mogła zająć z prawej.

- A ty?
- Pójdę prosto i odwrócę jego uwagę.
- Możemy poczekać na wsparcie.
- Nie zamierzam czekać.
- Tak myślałam.
- Gotowa?
- Nie, zamienimy się. Ja pójdę prosto i odwrócę jego uwagę, a ty zajdziesz go z boku.

Bosch wiedział, że to lepszy plan, ponieważ znała Maxwella, a Maxwell znał ją. Oznaczało to jednak, że Rachel naraża się na największe niebezpieczeństwo.

- Na pewno? - spytał.
- Tak. Tak będzie lepiej.

Bosch jeszcze raz wyjrzał zza filaru i stwierdził, że Maxwell nie ruszył się z miejsca. Miał czerwoną i spoconą twarz. Bosch popatrzył na Walling.

- Ciągle tam jest.
- Dobrze. Chodźmy.

Rozdzielili się i ruszyli. Bosch szybko pokonał przejście między stoiskami, które biegło równoległe do korytarza kończącego się sklepem mięsnym. Kiedy dotarł do końca, znalazł się w meksykańskim barze o wysokich ścianach. Miał osłonę i zza rogu mógł z boku zajrzeć za ladę sklepu mięsnego. Zobaczył Maxwella pięć metrów od siebie. Agent siedział bezwładnie oparty o lodówkę, wciąż ściskając broń w obu rękach. Jego koszula była przesiąknięta krwią.

Bosch schował się z powrotem, zebrał siły i przygotował się, by wyjść i zbliżyć się do Maxwella. Wtedy jednak usłyszał głos Walling.

- Cliff? To ja, Rachel. Pomogę ci.

Bosch spojrział zza rogu. Walling stała na otwartej przestrzeni, półtora metra od lady chłodniczej, z bronią opuszczoną wzdłuż boku.

- Nie potrzeba mi żadnej pomocy - odpowiedział Maxwell. - Już za późno.

Bosch zorientował się, że gdyby Maxwell chciał do niej strzelić, pocisk musiałby przebić przednią i tylną szybę witryny. Przednia szyba była ustawiona pod kątem, więc musiałby nastąpić cud, żeby pocisk trafił Rachel. Ale cuda się zdarzają. Bosch uniósł broń, oparł ją o ścianę i był gotów strzelić, gdyby musiał.

- Daj spokój, Cliff - ciągnęła Walling. - Nie kończ tego w ten sposób.

- Nie mam wyjścia.

Nagle ciałem Maxwella wstrząsnął głęboki, mokry kaszel. Na jego ustach pojawiła się krew.

- Jezu, naprawdę dostałem - wykrztusił przed kolejnym atakiem kaszlu.

- Cliff? - nie ustępowała Walling. - Pozwól mi tam wejść. Chcę ci pomóc.

- Nie, jak wejdiesz, wtedy...

Dalsze słowa utonęły w huku, gdy Maxwell otworzył ogień do lady chłodniczej, strzelając na oślep do szklanych drzwi, które rozprysnęły się na kawałki. Rachel zrobiła unik, a Bosch wyszedł z ukrycia i uniósł pistolet, trzymając go oburącz. Nie strzelał, lecz nie spuszczał oka z lufy broni Maxwella. Gdyby wycelował do Walling, był gotów strzelić Maxwellowi w głowę.

Maxwell opuścił broń i wybuchnął śmiechem. Krew sączyła się z kącików

jego ust, nadając mu wygląd upiornego kłowna.

- Chyba... chyba właśnie zabiłem befsztyk z polędwicy.

Znowu się zaśmiał, ale zaraz zaniósł się kaszlem, który wyraźnie sprawiał mu ból. Kiedy się uspokoił, zaczął mówić.

- Chcę tylko powiedzieć... że to ona. Ona chciała, żeby zginął. A ja... chciałem jej. To wszystko. Ale upierała się, że to ma tak wyglądać... zrobiłem, co chciała. I za to... niech mnie szlag trafi.

Bosch zrobił krok w jego stronę. Przypuszczał, że Maxwell jeszcze go nie zauważył. Kiedy zrobił jeszcze jeden krok, Maxwell znów się odezwał.

- Przykro mi. Rachel? Powiedz im, że mi przykro.

- Cliff - odpowiedziała Walling. - Sam im to możesz powiedzieć.

Bosch zobaczył, jak Maxwell przyłożył sobie lufę do podbródka i bez wahania nacisnął spust. Siła strzału odrzuciła mu głowę do tyłu, a na drzwi lodówki trysnęła struga krwi. Pistolet wylądował na betonowej podłodze między jego wyciągniętymi nogami. W chwili śmierci Maxwell przyjął tę samą pozycję co jego kochanka, kobieta, którą właśnie zabił.

Walling obeszła witrynę, stanęła obok Boscha i oboje popatrzyli na martwego agenta. Rachel milczała. Bosch spojrział na zegarek. Dochodziła pierwsza. Poprowadził sprawę od początku do końca w ciągu nieco ponad dwunastu godzin. Straty zamknęły się liczbą pięciu ofiar śmiertelnych, jednej osoby rannej i jednej umierającej na chorobę popromienną.

Sam też nie wyszedł bez szwanku. Bosch zastanawiał się, czy w ostatecznym rozrachunku nie dołączy do listy ofiar. Gardło paliło go żywym ogniem, a w piersi czuł bolesny ucisk.

Spojrząwszy na Rachel, zobaczył strużkę krwi spływającą po jej policzku.

Będą musieli założyć jej szwy na ranę.



- Wiesz co? – rzekł - Zawiozę cię do szpitala, jeżeli ty zawieziesz mnie.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Dorzuć Iggy'ego umowa stoi.

Bosch zostawił ją przy Maxwellu i wrócił pod Million Dollar Theater sprawdzić, jak się czuje jego partner. Kiedy szedł, ulicę zaczęły wypełniać radiowozy i tłumy gapiów. Bosch uznał, że zostawi zabezpieczenie miejsc zdarzenia funkcjonariuszom patroli.

Ferras siedział w otwartych drzwiach samochodu, czekając na karetkę. Trzymał rękę pod dziwnym kątem i wyraźnie cierpiał. Koszulę miał we krwi.

- Chcesz wody? - spytał go Bosch. - Mam w bagażniku butelkę.

- Nie, zaczekam. Chciałbym, żeby już przyjechali.

Z oddali dobiegł charakterystyczny dźwięk syreny karetki pogotowia, która zbliżała się do nich.

- Harry, co tam się stało?

Bosch oparł się o tok samochodu i powiedział mu, że Maxwell popełnił samobójstwo, kiedy go otoczyli.

- To dopiero zejście - rzekł Ferras. - W osaczeniu, bez wyjścia.

Bosch skinął głową ale milczał. Gdy czekali na ratowników, wrócił myślą na punkt widokowy na wzgórzu, gdzie ostatnią rzeczą, jaką Stanley Kent zobaczył przed śmiercią, było miasto mieniące się u jego stóp tysiącami pięknych świateł. Może Stanley owi zdawało się, że to niebo, które na niego czeka.

Lecz Bosch nie sądził, by to miało jakiegokolwiek znaczenie, czy człowiek umiera osaczony w sklepie mięsny, czy na wzgórzu ze świetlistą

panoramą raj. Schodzisz z tego świata i finał nie ma większego znaczenia. Wszyscy spływamy do ścieku, pomyślał. Niektórzy są bliżej czarnej dziury niż inni. Niektórzy widzą, co się święci, inni nie mają pojęcia, kiedy wpadną w wir, który na zawsze wciągnie ich w ciemność.

Ważne, żeby z nim walczyć, powiedział sobie Bosch. Nigdy się nie poddawać. Nigdy nie dać się pokonać wirowi.

Zza rogu wyjechała karetka, ominęła kilka zaparkowanych na Broadwayu samochodów, po czym zahamowała u wylotu alejki i wyłączyła syrenę. Bosch pomógł partnerowi wstać i razem podeszli do ratowników.